

kwiecień '89

# kultura

## WIEZALEŻNA

# 50!

kwiecień '89

# kultura

## NIEZALEŻNA

# 50

## SZKICE

Jan Walc - Trudny rachunek	- 3
Edward Balcerzan - Wprowadzenie do wieczoru autorskiego Adama Michnika	- 11
Piotr Sławiński - Koniec Himelbacho- wego świata	- 23
Jacek Bocheński - Potencjał wolności	- 36
Jerzy Boniecki - Agnastyka myśli nieśmiała	- 45

## SWIADECTWA

Rozmowa ze Stefanią Kossowską	- 52
-------------------------------	------

## PROZA

Wacław Solski - Deszcz	- 64
Janusz Jankowiak - Urodziny	- 74

## WIERSZE

Bogusława Łatawiec	- 82
--------------------	------

## POLEMIKI

Jacek Trznadel - Tzvetan Todorov: Une histoire à dormir debout	- 87
--	------

## RECENZJE

Anna Czabanowska-Wróbel - Złudzenia i prawdy	- 94
Bogusława Łatawiec - Obserwacja się opłaca	- 101
Juliusz Jarosławski - Gawędy mistyczne	- 108
Jan Palusiński - Generalska biografia	- 114

## FELIETONY

Ludwik Vaculík - Sierpniowy listopad	- 119
Leopolda - Moim zdaniem...	- 124

## LISTY

Szanowny Panie Wałęsa!	- 128
Wiktor Woroszyński - Prawda i nie- prawda grobów	- 138
Stanisław Lorenz	- 141

## ODRZUCONE

Mysia Obcinalska - Interwencje cenzury w "Dziennikach" Marii Dąbrowskiej	- 144
---	-------

## REALIA

Czesław Bielecki - Głos w dyskusji...	- 154
WYDARZENIA /red. Leon Bober/	- 158
NOWOŚCI WYDAWNICZE	- 166

Copyright by

KULTURA NIEZALEŻNA

Numer oddano do druku 16 kwietnia 1989 r.

# SZKICE

JAN WALC

## TRUDNY RACHUNEK

Z Marią Dąbrowską mam zadawniony osobisty rachunek. I myślę, że nie ja jeden, chociaż tu spróbuję mówić tylko za siebie. I nie jest to niestety ten rodzaj rachunku, jaki miewa się z wielkim pisarzem epoki, która na naszych oczach odchodzi w przeszłość, rachunku sprowadzającego się do długu, jaki u wielkiego pisarza zaciągamy.

Urodziłem się bezpośrednio po wojnie i w związku z tym udało mi się nie zdażyć na stalinizm i dojrzewać w epoce popaździernikowej, kiedy Maria Dąbrowska była niekwestionowanym autorytetem moralnym liberalnej inteligencji. Tak się jeszcze złożyło, że Dąbrowska bywała w domu mojego dzieciństwa /jeszcze pradziadek przed rewolucją 1905 roku przyjaźnił się ze Stanisławem Stempowskim/, więc nawet miałem okazję znać ją osobiście i obserwować atencję, jaką była powszechnie otaczana. Na rok przed maturą urwałem się ze szkoły i poszedłem na jej pogrzeb, pierwszy pogrzeb nie-rodzinny w jakim uczestniczyłem.

Była połowa lat 60-tych i właśnie wtedy przyszło mi wchodzić w dorosłe życie. Wchodziłem w nie jako członek Związku Młodzieży Socjalistycznej. Wiem oczywiście, że innym zdarzały się większe nieszczęścia, które mnie, ze względu na datę urodzenia, zostały



oszczędzone. Przyszło mi dorastać w czasach jak na polskie standardy wyjątkowo spokojnych i w związku z tym wiele złego uczynić na szczęście nie mogłem, jeżeli jednak na niebezpieczną drogę wstąpiłem, to Maria Dąbrowska należała do liderów tej formacji, która mnie na tę drogę popchnęła.

I jeżeli "naprawdę nie wiedzieliśmy, że żyjąc tu i teraz trzeba udawać, że żyje się gdzie indziej i w innych czasach i co najwyżej walczyć z umarłymi przez żelazną kurtynę obłoków", to kiedyś się wreszcie dowiedzieli, przyszedł czas, aby się zastanawiać nad źródłami naszej uprzedniej ślepoty i naiwności. Ów proces "dowiadywania się" i związanych z nim refleksji, mozolny i rozłożony na lata, stwarzał wrażenie, że kolejne odkrycia i rewelacje nie polegają bynajmniej na znajdowaniu czegoś nowego, a przeciwnie, że zamiast iść naprzód musimy przede wszystkim zająć się moralną archeologią, odzyskać wartości, które nasi poprzednicy starannie przed nami ukryli.

Oni się jakoś tak umówili, że "Biel najlepiej opisać jest szarością, ptaka - kamieniem, słoneczniki - w grudniu" i język, którego używali, a i nas uczyli używać, służył do przedstawiania tego, co ponure i szare w kolorze olśniewającej bieli, kamieniem dławiącą rzeczywistość kwitował zachwyconym "pochwalone niech będą ptaki", a po kolejnych grudniach starał się nas wprowadzić w słoneczny nastrój. Data urodzenia przesądziła o tym, że nie mogłem w żadnej sprawie dać się oszukać Józefowi Stalinowi ani nikomu z tych, których jemu udało się oszukać, bo zanim zaczęło mnie to dotyczyć, już nikt im nie wierzył - natomiast autorytetem moralnym była Maria Dąbrowska.

Wpajano mi przekonanie, że "zmiana", która "tu zaszła", była w sposób oczywisty zmianą na lepsze, a jeżeli rządzą nami

"ludzie stamtąd", to są oni równie dobrzy, a może nawet lepsi, niż ludzie stąd, a przyświeca nam jutrzienka swobody - "gwiazda zaranna".

I dlatego moja lektura jej "Dzienników" musi mieć charakter osobistego rozliczenia; czytając je rozpoznaję z ogromną wyrazistością klimat, w którym się wychowywałem a co więcej mogę rok po roku śledzić, jak do tego wszystkiego doszło, jak zamierały i karlały wartości składające się w epoce rozbiorowej na etos polskiej inteligencji.

Powojenne tomy "Dzienników", te, które mnie bezpośrednio dotyczą opisując zdarzenia, które miały miejsce już za mojego życia, wydają się mówić o czasach niezwykle odległych, zupełnie nieprzystawalnych do kategorii, jakimi przywykłem się posługiwać jako człowiek dorosły; my, którzy "naprawdę nie wiedzieliśmy", dowiedzieliśmy się w roku 1968 - ja miałem wtedy 20 lat - i chociaż Havlowskie "życie w prawdzie" to termin o 10 lat późniejszy, to przecież właśnie rok 68 kończy epokę kłamstwa, której wstrząsającym świadectwem są "Dzienniki" Marii Dąbrowskiej.

Kłamstwo jest tych "Dzienników" tematem najistotniejszym. W przeciwieństwie do rozmaitych nawiedzonych czy oszukanych, którym później wystawiano rachunki za ich naiwność, Maria Dąbrowska kłamała z pełną świadomością, używała swojego autorytetu dla legitymizacji władzy komunistycznej w Polsce. W "Dziennikach" wielokrotnie uzasadnia tę swoją postawę, stojąc na stanowisku, że kłamać jest rzeczą godziwą, jeżeli za cenę kłamstwa chroni się jakieś wartości.

Wolno zupełnie co innego myśleć, a co innego mówić; nawet więcej: ten, kto "in pectore" bardziej niezależny, może sobie pozwolić na najbardziej nawet służalcze wystąpienia oficjalne /1/. Zasada "noblesse oblige" działa tu "à rebours": Dąbrowska

uważa, że zwykli, prości ludzie mogą sobie pozwolić na bezkompromisowość, ale intelektualisci, a szczególnie pisarze muszą godzić się na kompromisy, które stanowią cenę ich publicznego istnienia. Pisarce wydaje się, że jest w pełni świadoma niebezpieczeństw przyjmowanej postawy, nieraz w "Dziennikach" daje zresztą wyraz swoim wątpliwościom, zdaje się jednak lekceważyć znaczenie samego aktu kolaboracji.

Bo właśnie o kolaborację tu chodzi: z "Dzienników" wynika jednoznacznie, że Dębrowska uważa komunistów za wrogów, z którymi jednak nie podejmuje walki, a przeciwnie, współpracuje z myślą o korzyściach, jakie współpraca taka mogłaby przynieść. A więc uważając komunistów za wrogów gotowa jest publicznie wyrażać dla nich poparcie, starając się oczywiście nie popierać ich silniej niż potrzeba, bo wcale nie czuje się ich sojusznikiem ani z nimi nie identyfikuje.

Zadufana w sobie nie widzi Dąbrowska oczywistych konsekwencji swojego postępowania - i pakuje się w pułapkę pokręconego wallenrodyzmu, w którym już sama nie jest w stanie się rozeznać. Pomysł Mickiewicza opierał się na unikalności jego bohatera, jednak jego praktyczne zastosowanie, owo Wallenrodów "sto tysięcy", które dostrzegali już Słowacki, sprowadziło go nie tylko do absurdu, ale do rozmiarów epidemii atakującej narodową moralność; bo przecież doszło w końcu w Polsce do sytuacji dokładnie odwrotnej niż ta, którą zbudował Mrozek w "Policji" - nie ma już ani jednego prawdziwego policjanta, za to są sami przebrani w policyjne mundury rewolucjoniści.

Kiedy się zaczyna grę w Wallenroda, ma się na widoku wielkie i ważne cele, i tym łatwiej wtedy pogubić się w drobiazgach, z których życie się składa. Mickiewicz zresztą też nie poświęcił w ogóle uwagi kosztom, jakie jego bohater musiał

codziennie płacić za wprowadzanie w życie swojego szatańskiego planu, ograniczając się jedynie do wzmianki o zalewaniu robaka i ogólnym poczuciu dyskomfortu psychicznego. Powojenne tomy "Dzienników" stanowią wstrząsający rejestr takich kosztów; Dąbrowska nieustannie się dziwi, że znowu ją o coś nagabują, jest zawsze "w duchu" przeciwna i również zawsze ulega - w słowniku Wallenroda nie ma zwrotu "non possumus".

Ten słownik to w ogóle ogromny problem - nie sposób dzisiaj czytając "Dzienniki" Dąbrowskiej nie zauważyć, jak miesza się pisarce jej własny język z językiem wystąpień oficjalnych - sama nie zauważa, jak pisząc o Zachodzie, a szczególnie o polskiej emigracji i problemach z nią związanych przejmuje sposób myślenia i wyrażania się właściwy komunistom. "Głos Ameryki" czy "Wolna Europa" to w jej ustach najgorsze inwektywy, słuchanie tych rozgłośni to przejaw ostatecznego kretynizmu. Na tej drodze pomieszania pojęć zdarza się Dąbrowskiej zejść naprawdę daleko - oto notując kąśliwe uwagi pod adresem stachanowszczyzny, jako obraźliwe dla niej określenie znajduje formułę: "monte-cassinizm pracy" /2/.

To pomieszanie języków, to dwójmyślenie powoduje, że nigdy nie wiadomo na pewno, czy akurat poruszamy się w sferze kategorii względnych, czy bezwzględnych: oto w dwudziestoleciu międzywojennym Dąbrowska odmawiała przyjmowania orderów i zaszczytów państwowych w proteście przeciw niedostatkowi przedwojennej demokracji i przetrzymywaniu ludzi w więzieniach z powodów politycznych. Jeśli po wojnie zaszczyty i orde-ry przyjmowała, choć demokracji było mniej, a więźniów politycznych więcej, to dlatego przecież, że władze II Rzeczypospolitej uważała za swoje, mimo wszelkich konfliktów, jakie z nimi miała, gdy odznaczenia z rąk Bieruta przyjmowała już jako Wallen-



rod, czując się zwolniona z obowiązku identyfikacji z szafarzem tych zaszczytów.

Jeżeli powiadam, że mam z Marią Dąbrowską osobisty rachunek, to właśnie dlatego, że znaczenia różnych skądinąd oczywistych słów, choćby takich jak Monte Cassino czy "Polonia restituta" musiałem się później uczyć na nowo.

Zanim przejdę do aktywów pisarki w tym rachunku, poruszyć muszę jeszcze jedną jego drażliwą pozycję: kwestię antysemityzmu. Jego eksplozja w roku 1968 była i dla mnie osobiście i dla całego mojego pokolenia doświadczeniem wstrząsającym. Wtedy, a jeszcze i przez wiele następnych lat, żywiłem nadzieję, że była to prowokacja ze strony Moczara i jego adherentów, adresowana do najprymitywniejszych warstw polskiego społeczeństwa. Lektura "Dzienników" rozwiewa te złudzenia, sprawa okazuje się tragicznie skomplikowana.

W okresie międzywojennym Maria Dąbrowska publicznie potępiała ekscesy antysemityczne, za co zresztą była sama napastowana i w sposób oczywisty należy ją zaliczać do przeciwników antysemityzmu. A przecież jednocześnie przez całe 50 lat, kiedy "Dzienniki" prowadzi, przy każdej okazji, albo i bez okazji, dzieli ludzi, z którymi się styka, na Żydów i nie-Żydów, z chorobliwą skrupulatnością, robiąc od czasu do czasu uwagi, które - wedle kryteriów jakimi ja zwykłem się posługiwać - po prostu wykluczają ich autora z towarzystwa. "Izrael wkroczył do Egiptu. Też ci agresor! I po co się pchają tam, skąd ich Mojżesz szczęśliwie wyprowadził"/3/.

Zarzucanie Dąbrowskiej antysemityzmu jest zajęciem wyglądającym na bezsensowne, sprowadzające problem do absurdu; jeśli pojęcie antysemityzmu definiować tak szeroko, aby i ją pomieścić, to czy taka kategoria może być jeszcze do czegoś przydatna? A z drugiej strony przecież niepodobna



przejsć nad tym problemem milcząco do porządku dziennego: jeśli ktoś występujący w roli autorytetu moralnego i przeciwnika antysemityzmu na każdym zebraniu czy imieninach zastanawia się, kto z obecnych jest, a kto nie jest Żydem, to ci faceci od pogromów mają odwaloną połowę roboty. Nie oni zresztą stanowią tu intelektualny i moralny problem - "ślepy miecz" - do pochwy, "rękę - karać", zgoda, ale co zrobić z głową?

W głowie straszne zamieszanie; to, którego sam doświadczyłem, wydaje mi się do pewnego stopnia, zawinione przez Marię Dąbrowską; wypadałoby prześledzić, kto jej tak strasznie w głowie namieszał, ale odpowiedź na to pytanie wymaga głębokiej analizy dziejów polskiej i europejskiej lewicy. I dla tej analizy "Dzienniki" Marii Dąbrowskiej będą źródłem bezcennym. Polska wraz z całą Europą przeszła w XX wieku straszliwą chorobę; wartości kultury śródziemnomorskiej podeptał nie tylko naród Goethego i Beethovena, a Quislinga wydała nie tylko Norwegia. Aby się to nie mogło powtórzyć, musimy zrozumieć i przyczyny i przebieg tej choroby. Fakt, że Dąbrowska pozostawiła nam do tej pracy swoje unikalne "Dzienniki", wydaje się mieć większe znaczenie niż wszystkie zarzuty, jakie jej można postawić.

Łatwo być mądrym po szkodziu, kiedy już wszystko wiadomo; dzisiaj zapewne każdy kadet z Saint-Cyr czy West Point potrafi wygrać bitwę pod Waterloo, ale powinien mieć dość rozumu, aby nie uważać się od razu za lepszego od Napoleona. I mówiąc o "Dziennikach" Dąbrowskiej stale o tym pamiętam, i dlatego przypomnę w tym miejscu co powiedziałem już na początku: miałem szczęście dorastać w czasach wyjątkowo spokojnych i dramatyzm losów autorki "Dzienników" został mi oszczędzony.

A rzeczą pierwszorzędnej wagi jest to, że te "Dzienniki" przez całe życie pisała, widząc w tym najważniejszy swój obowiązek. I zdawała sobie sprawę z wagi tego obowiązku. Zapisała 2 lipca 1951: "Zostaną 'giganty' fabryczne, wieżowce, mosty, kanały, biurowce, bloki. Nie zostanie świadectwo ani jednej ludzkiej tragedii, ani jednego ludzkiego uczucia. Pokolenie epoki stalinowskiej pozostanie dla historii w sensie ludzkim nieme" /4/.

Dąbrowska była wyjątkowo wyczulona na wagę opisywania świata, czego "Noce i dni" są wymownym świadectwem. Z wielu zbiegających się przyczyn - bo komunistyczna cenzura jest tylko jedną z nich - nie była w stanie opisać świata swojej dojrzałości tak, jak opisała świat swojego dzieciństwa, i "Dzienniki" są swoistą kroniką tej niemożności. Niejednokrotnie tłumacząc swoje uczestnictwo w rozmaitych imprezach oficjalnych chęcią ich opisanie, starała się przynajmniej dać świadectwo temu, co się dokoła nie działo, i jeżeli nawet i ten pamiętnik artysty zagryzmołony jest, w siebie pochylon i nie wiem jak pokrętny, to przecież - wielce rzeczywisty i to stanowi o jego dla nas wartości.

A może jednak jestem dłużnikiem Marii Dąbrowskiej? Może to wszystko musiało się wydarzyć tak, jak się właśnie było wydarzyło, abyśmy dzisiaj mogli swobodnie o tym mówić, może Dąbrowska, biorąc na siebie tę straszną miarę zniewolenia i kłamstwa, była w istocie nie Wallenrodem a Winkelriedem i przyczyniła się do tego, że mnie i moim rówieśnikom dane było wyzwolić się z tego uplątania, bo - jak mówi poeta "wszystko w wolność się zamienia, gdy zniewolenia pełna miara" - więc nie jest i chyba nie będzie nigdy dla mnie jasne,

jak właściwie ten mój rachunek z Marią Dąbrowską wygląda.

Jan Walc

1/ Określenie pisarki. Por. t. 3, s.342.

2/ tom 3, s. 118.

3/ tom 4, s. 308.

4/ tom 4, s. 51-52.

EDWARD BALCERZAN

WPROWADZENIE DO WIECZORU AUTORSKIEGO ADAMA  
MICHNIKA

Eseje Adama Michnika chętnie używają miejsca cudzym tekstom. Są szczodre, gościnne dla cytatu. Jeżeli istnieje w naszym piśmiennictwie - intuicyjnie wyczuwalna - objętościowa norma cytowania, to trzeba stwierdzić, iż Michnik tę normę bezustannie łamie. Robi to w pełni świadomie. Jego książka "Z dziejów honoru w Polsce" nosi podtytuł "Wypisy więzienne"; w tym momencie interesuje mnie nie tyle "więziennosc", ile "wypisowość", antologijność eseistyki Michnika. Traktuje on cudze słowo jak surowiec, który wchłania, przetwarza, odtwarza, streszcza, parafrazuje, odwraca, rozplata, układa kalejdoskopy cytatów, ich dialogi, i wie, że jest to poczynanie śmiałe. "Nie jest to zapewne najlepszy sposób lektury - przyznaje autor "Wypisów...", - ale za to z pewnością dość niekonwencjonalny."

Również w sposób niekonwencjonalny, w pełni zgodny natomiast z techniką pracy pisarskiej Michnika, zostało pomyślane przez niego nasze dzisiejsze spotkanie.

Oto podczas gdy wielu innych autorów wolałoby mieć dla siebie najwięcej czasu, zadowalając się krótkim powitaniem ze strony organizatorów, Adam Michnik inaczej: wyraził życzenie, bym wprowadził go obszerniejszą wypowiedzią. Widocznie i tym razem potrzebuje cudzego słowa - jako surowca...

Przyjmując zadanie, czytając jego książki, próbowałem jednocześnie zdobyć rozeznanie w tym, jak i co o Michniku się mówi, jak przedstawia się recepcja jego prac. Nie ma tu jednomyślności. Opinie są sprzeczne, style poróżnione, retoryki - nieprzenikalne, a i nienawidzące się wzajem. Zrazu tedy przeciwstawiają się sobie postawy Michnikowi nieprzyjazne i przyjazne. Jakoż wśród głosów nieprzyjaznych, podobnie jak i przyjaznych, obserwujemy coraz to nowe zróżnicowania. W sumie można wyodrębnić pięć stanowisk. Ludzie niechętni Michnikowi traktują go już to jako przypadek całkowicie beznadziejny, już to widzą dla niego szanse resocjalizacji. Pierwsi utrzymują, iż najlepiej byłoby go odseparować od zdrowej części społeczeństwa, wypłoszyć z Polski - niech znika w otchłani obczyzny! Drudzy sądzą, że Michnika dałoby się jeszcze wychować, przekonać, wyciągnąć z mazi, w którą wdepnął niebacznie. Dla pierwszych nasz gość to po prostu "pies łańcuchowy imperializmu", dla drugich - pijane dziecko we mgle.

Z kolei postawy przyjazne wyrażają się poprzez trzy style, trzy sposoby mówienia o Michniku. Nazwałbym je naprędce: stylem teologicznym, kolokwialno-koleżeńskim i badawczym. Próbką stylu tak patetycznego, że prawie teologicznego, może być oracja Czesława Miłosza, skomponowana na uroczystość nadania Michnikowi doktoratu honoris causa. Mówił Noblista: "Adam Michnik jest dla mnie czymś w rodzaju cudu." I jeszcze mówił: "Nie pojmuję, jak tam, w Polsce mogło powstać zjawisko, któremu na imię Michnik".

Styl kolokwialno-koleżeński bardzo pięknie ilustruje trzynasty odcinek poematu Stanisława Barańczaka "Przywracanie porządku". Pojawia się tu postać A. Nie ma wątpliwości, że A. to Adam, i z całą pewnością nie Zagajewski, lecz właśnie Michnik.

A., ten list nie dojdzie na pewno, sam  
nie wiem,  
czy jest sens pisać. Czytam twoje artykuły  
przemycane z Białoleki. Twój triumfalnie  
jąkający się dyszkant,  
kosmyk włosów owijany wokół palca, celofan  
z opakowania papierosów zwijany i rozwijany  
w rękach, gdy perorujesz. Widzę to i nie  
widzę,  
słyszę cię i nie słyszę przez mury,  
przez szum Atlantyku,  
przez zgrzyt gąsiennic. W przerwach między  
jednym a drugim  
pobiciem czy aresztowaniem cwaniackie  
powiedzionka,  
"gówno w prążki", "nie ma się co obcyndalać",  
a zaraz potem żarliwe sprawy życia i  
śmierci,  
wciąż tym samym zacinającym się falsetem  
Może dlatego wszystko tak dobrze pamiętam,  
przez ten natarczywy rytm twojego jękania.  
Prawda. A. Nie ma się co obcyndalać.  
Trzeba  
pamiętać tylko te parę prostych zdań,  
pytań właściwie, tak krótkich, że można  
je wszędzie przemycić  
na skrawku celofanu, zwijanym i rozwijanym w palcach.

I wreszcie styl badawczy. Niewiele dotąd powiedziano o Michniku jako krytyku literatury. "Dziś po raz pierwszy wystąpię nie w roli ekstremy, lecz w roli pisarza", za-



uważył nasz gość na krótko przed tym spotkaniem. Godną zapamiętania analizą twórczości eseistycznej Michnika jest Piotra Stasińskiego szkic pt. "Ptak stroszy pióra" - o interpretacji publicystycznej", rzecz ogłoszona w 45 numerze "Kultury Niezależnej"; do spostrzeżeń Stasińskiego będę się raz po raz odwoływał.

Widzę siebie wśród ludzi nastawionych do Adama Michnika przyjaźnie. Nie mogę jednak swej czytelniczej przyjaźni wyrazić ani w języku Miłosza, ani Barańczaka. Nie potrafię mówić o żywym człowieku w kategoriach cudu; niedostępny mi jest także styl koleżeński, za mało znam prywatność naszego gościa. Pozostaje trzecia możliwość: badawcza, profesjonalna. I w tej trzeciej perspektywie kilka uwag o książkach Michnika, o jego sposobie obcowania z literaturą.

Adam Michnik jest historykiem. Jest notabene absolwentem wydziału historycznego naszego uniwersytetu. Czym jest historia dla Michnika?

"Z wierszy Herberta wyniosłem przekonanie, że w dzieje gatunku ludzkiego nie jest wpisany żaden zewnętrzny sens; historia nie ma żadnego celu, ku któremu zmierza. W wierszach Herberta nie ma miejsca na żadną - religijną bądź świecką - eschatologię. Sens historii nadają ludzie. Mówiąc ściślej: różni ludzie nadają różne sensy."

Odnosi się to wprawdzie do Herbertowej wizji historii, i to wizji odnalezionej w wierszach, ale, sądzę, wyraża także pogląd czytelnika do tych wierszy - Adama Michnika. Bo i zdaniem Michnika historia nie ma gotowego sensu. Nie ma sensu danego z zewnątrz. Nie ma w sobie mądrości czy Ducha Dziejów. Takim sensem nie jest postęp, bo historia nie dąży sama z siebie do jakichkolwiek wartości. Natomiast, powtórzmy cytowane słowa, różni ludzie nadają historii różne sensy. Być historykiem to znaczy nadawać własne sensy pewnym epizodom

dziejów narodowych /temu celowi jest poświęcony na przykład esej Michnika o Powstaniu Listopadowym/. Być historykiem to jednocześnie rozpoznawać własny los w losach ludzi minionych epok. W "Polskich pytaniach" mówi się o tym wprost: "Historia nie uzasadnia żadnych postaw lub też uzasadnia wszystkie. Historia - myślę - pozwala nam jedynie odnaleźć na swych kartach samych siebie."

Siebie czyli kogo? Dla autora "Polskich pytań" znaczy to: człowieka znajdującego się w obliczu zniewolenia totalitaryzmem. Michnik pięknie i precyzyjnie rekonstruuje dwa współczesne widzenia systemu zniewalającego. Pierwszy odnajduje w wierszach Herberta, drugi w utworach Miłosza. Wedle Herberta totalitaryzm to tyle co triumf najniższych instynktów homo sapiens. Totalitaryzm to regularny bandytyzm, nic więcej. Jeżeli zaś wytwarza "coś więcej", jakąś literaturę, ideologię, filozofię, to sam w nią nie wierzy. Więc i nam nie warto się nią zajmować. Jest rzeczą intrygującą, że Michnik wydobył tę interpretację totalitaryzmu z poezji, a dopiero później, w wywiadzie udzielonym Jackowi Trznadłowi, Herbert sformułował wprost takie rozumienie sprawy, potwierdzając diagnozę krytyka. Z kolei wedle Miłosza totalitaryzm to zjawisko nieporównanie bardziej złożone. Totalitaryzm może mieć w sobie pamięć biografii ludzi, którzy nie kierowali się niskimi pobudkami, nie pragnęli uciech bandyckich, przeciwnie, startowali z pozycji szlachetnych. Totalitaryzm bywa zdradą tych ludzi, wykojeniem ich intencji. Miewa własną perspektywę intelektualną, kuszące wizje, zniewalające umysł filozofie. Jak Adam Michnik wobec tych dwu koncepcji się określa? Bliższy jest mu Miłosz. Nie akceptuje Herbertowej wzdargi, nie chce wszystkich losów zniewolonych wpisać do dziedziny hańby. Prowadzi z poetą spór - nad wyraz delikatny. To niewiarygodne, stwierdza,

izby system tak prymitywny, jakim miałyby być, zgodnie z ujęciem Herberta, stalinizm, wyzwał odpowiedzi takie, jakie znajdziemy w poezji Herberta: tak intelektualnie wyrażone. Owszem: "Zbigniew Herbert okazał się całkowicie niepodatny na idee i argumenty Nowej Wiary. 'To wcale nie wymagało wielkiego charakteru' - napisał po latach. Aliści jego własna twórczość jest także - sądzę - pośrednim potwierdzeniem potęgi diamentu. Przecież te wiersze, ten niezwykły zapis precyzji intelektualnej, moralnego napięcia i duchowego skupienia mogły powstać z odrzucenia - pogardliwego, zgodą - tylko takiej pokusy, która była powszechna i rzeczywista; z przewyciężenia rozdarcia, które nie było papierowe."

Zbliżając się - dyskretnie - ku stanowisku Miłosza, Michnik przeciwstawia się wyłączności jego taktyki. Nie zgadza się z tym mianowicie, by wiedzę o historii najnowszej wypełniać tylko świadectwami zniewolenia, zdrad, upadków, klęsk moralnych itd. Oczywiście - to wszystko istniało. Ale istniał także opór wobec zniewolenia. W biografii niektórych ludzi, nie tylko w biografii Herberta; w niektórych tekstach - ogłaszanych nawet w czasach najczarniejszego stalinizmu - odnajdziemy niemało świadectw walki o godność. "Z dziejów honoru w Polsce" to dzieło nachylone ku temu właśnie - jasnemu - nurtowi; to zgodnie z intencją Autora, jego "Anty-Zniewolony umysł". Ów nurt twórczości niepokornej omawia Michnik na przykładzie "Guseł" Witolda Kuli, "Przemija postać świata" Hanny Malewskiej, aforyzmów Henryka Elzenberga, opowiadań Jana Józefa Szczepańskiego, poezji Herberta, twórczości Miłosza; a także tekstów Tyrmanda, Kisielewskiego - o dziejach honoru i godności mówią w istocie wszystkie szkice Michnika, poświęcone literaturze polskiej czy obcej /na przykład szkic o Tomaszu Mannie/.

Jest w tym wyborze tematu krytycznoliterackich prac Michnika pewien gest moralny, a nawet można by powiedzieć: zamysł wychowawczy. Oto bowiem gdy beznadziejny obraz zniewolenia staje się jedynym obrazem naszej powojennej współczesności, zaczynamy wierzyć, że próżno szukać w niej wzorów godnych naśladowania czy postaw, z którymi chcielibyśmy się identyfikować, szukamy takich wzorów i postaw poza granicami naszych czasów - w przeszłości odległej, na przykład w dwudziestolecu międzywojennym /Piłsudski, Dmowski/. Skoro tu, w dziejach najnowszych, panoszy się tylko mrok, oportunizm, poniżenie, nędza moralna, widzi się, prawem kontrastu, tam, w przeszłości, Arkadię ludzi mężnych i prawych. A takie Arkadie nie istnieją. Łatwo ulegamy podwójnej mistyfikacji: fałszywą wizję czarnej współczesności równoważy równie fałszywa wizja... świetlanej przeszłości!

Wiele innych zagrożeń, wynikających z życia opozycji, zwłaszcza z życia konspiracji, poddaje Michnik bezpardonowej krytyce. Boleje nad opozycyjną nowomową. Przeciwnstawia się tandetnym retorykom, w których czarno-białe zostaje zastąpione białoczarnym. Tak na przykład polemizując z głośnym "Traktatem o gnidach" Piotra Wierzbickiego pisze: "Jakby w odpowiedzi na stalinowskie czytanki, którymi byliśmy kiedyś karmieni, otrzymujemy czytanekę à rebours, gdzie barwy są równie zagęszczone i jaskrawe, a obraz świata równie infantylny." Po drugie, zwraca uwagę na niebezpieczeństwa opozycyjnych bezruchów czy bezwładów, które prowadzą do humorystycznej "niezłomności". Taka "niezłomność" oślecia, uniemożliwia rozumienie przemian świata /gdy na przykład z uporem każe utożsamiać caryzm ze stalinizmem, stalinizm z breżniewizmem, aż do "izmów" polityki ostatnich lat/ i paraliżuje w końcu jakiekolwiek działanie racjonalne. Po trzecie - szowinizm. Autor "Polskich pytań" jest żarliwym



przeciwnikiem wszelkich szowinizmów, głównie narodowych; ze szczególną konsekwencją przeciwstawia się szowinizmowi antyrosyjskiemu. I po czwarte - zagrożenie, które Michnik określa jako widmo "Biesów", postach demokratycznego podziemia. Opór stawiany totalitaryzmowi dyktuje niekiedy konspiratorom reguły życia - jakże dalekie od ideałów, o które walczą. Odpowiedzią na totalitaryzm duży staje się totalitaryzm mały, demoralizujący kolektywy podziemne, niweczący ich najpiękniejsze przesłania i porywy.

Jak na tym tle przedstawia się Michnikowe widzenie literatury?

Literatura to dla niego jedno z ważnych świadectw historycznych. Eseje Michnika stawiają wierszom, powieściom i aforyzmom te same pytania, które historyk stawia przemówieniom polityków, akcjom propagandy, gazetom, donosom, rozkazom, protokołom, listom itd., a także tekstom obyczajów, znaczącym biografiom, mitom. Piotr Stasiński nazywa to publicystyczną interpretacją literatury. Jego zdaniem jest to w pełni prawomocny sposób czytania dzieł literackich, charakterystyczny dla wielu niespecjalistycznych stylów odbioru, powiadamiający badacza o jednej z ważnych form życia społecznego poezji i prozy, o tym, jak twórczość pisarska spełnia swe powinności obywatelskie. Interpretacja publicystyczna musi bagatelizować literackość literatury, upraszczać poetykę dzieła, dokonywać drastycznych redukcji: nie ma na to rady. Eseje Michnika potwierdzają trafność tez Stasińskiego. Potwierdzają - do pewnej granicy. W odniesieniu do wewnętrznych mechanizmów tekstu artystycznego - istotnie - egzegeza publicystyczna przyczynia się do poważnych spustoszeń; potrafi przecież dać niejedno interesujące spostrzeżenie na temat recepcji dzieła sztuki, jego uwikłań socjologicznych, reguł wartościowania.



Kilka przykładów pokazujących uproszczenia, uniewrażliwienia na labirynty wewnętrznej poezji. Najpierw przykład analizowany przez Stasińskiego. Powiada Michnik, iż "Dziecię Europy" Miłosza nie jest - to prawda! - wykładem przekonań autora. W tym wierszu przemawia ktoś inny, obcy autorowi, nawet wrogi. "Dziecię Europy" to "monolog cynicznego propagandysty Przodującego Ustroju". Stasiński uważa tę efektowną tezę za daleko idące uproszczenie. "Podmiotu tego wiersza nie da się określić za pomocą roli społecznej, jest to bowiem - by tak rzec - pogładowy konstrukt ideologiczno-emocjonalny, spersonifikowany po to tylko, aby na przemian odrzucać i zapraszać do wspólnoty z sobą".

W podobny sposób Michnik "demaskuje" narratora poematu prozą Herberta pt. "Próba rozwiązania mitologii". Tu z kolei wydaje mu się, iż narrator to donosiciel. W tekście Herberta nie znajdują dowodów na rzecz tej brawurowej idei Michnika. Nie ma tu zwłaszcza tropu, który prowadziłyby nas do rozwiązania zagadki; po co, w imię jakich interesów narrator miałby składać donosy Urzędowi Bezpieczeństwa na rozwiązującego własną działalność /i własną mitologię/ oddział Armii Krajowej? Sądzę, iż poemat Herberta opowiada głos bezosobowy, a przede wszystkim - pozbawiony jakichkolwiek namietności. Taki głos to dla poety obrona przed rozpaczą, przed lamentem, a w rezultacie przed mistyfikacją klęski.

Jeszcze Herbert. Jego znany "Kamyk". Wiersz o niemożliwości porozumienia między człowiekiem a przyrodą martwą, dziką, obcą.

naprawdę między przyrodą a losem ludzkim  
nie ma istotnego związku

powiedzenie że trawa szydzi z katastrofy  
jest wymysłem niepokieszonych i

chwiejnych

- pisał Herbert w "Górze naprzeciw pałacu".  
To samo w "Kamyku":

- Kamyki nie dają się oswoić

Cóż, Michnik kocha Herberta, nie może więc przyjąć do wiadomości, iżby taki kamyk stawiał opór komuś tak wspaniałemu jak Herbert. Ani, że kamyki mogłyby odrzucić przyjaźń ludzi szlachetnych i prawych. Kamyki winny mieć rozeznanie w tym, komu się dawać oswoić, a komu nie. Oto wywód Michnika: "Komu kamyki nie dają się oswoić? Tym, którzy chcą nimi ciskać". Hm. Przeciwnikom pojednania narodowego? Obawiam się, że tu już Michnika naprawdę poniosło daleko od tekstu, w stronę nie tyle interpretacji, ile manipulacji publicystycznej.

Takich drobnych nagięć czy przegięć znalazłoby się więcej. Nie znaczy to wcale, iżby Michnik nie potrafił uszanować wielkich osobliwości sztuki literackiej, a jedynie upraszczał i nagiął. Nie. Potrafi upominać się o specyficznie literackie widzenie literatury. Interesują go sensy tekstów - wcale nie dowolne, wcale nie narzucone przez sytuację społeczną: wbrew ich wewnętrznej intencji. Przeciwnie. Dociera do sensów zgodnych z całością dorobku danego pisarza. Wyśmiewa odbiór eksponujący aluzyjność fragmentów tekstu, takich jak np. "Chińczyki trzymają się mocno", fragmentów łączonych z problematyką bieżącą w sposób arbitralny, chwilowy, bezzasadny. Przeciwstawia się z całą mocą praktykom narzucania fragmentom dzieła - znaczeń sprzecznych z jego wymową globalną. Powiada w pewnym eseju, iż w dniach polskiego Października usiłowano w Brunonie Jasieńskim widzieć "legendę polskiej lewicy", słowa motta do jego powieści "Zmowa obojętnych" wywieszono "w oszklonej gablocie zrewoltowanego warszawskiego uniwersytetu", ale choć motto brzmi pięknie i może porywać wyobraźnię, to jednak nie potwierdziły jego sensu moralnego ani socrealistyczna "Zmowa...", ani biografia autora. Rodzi się natychmiast pytanie, co wyznacza ów globalny sens dzieła - w horyzencie etycznym? Bo

przecież nie całkowity brak załamania moralnych, klęsk godności, brzydkich kompromisów itp. Gdyby w grę miały wchodzić jedynie dorobki nieskazitelne od początku do końca, niewielu bohaterów miałaby eseistyka literacka Michnika. Zajmuje się on nie tylko dziejami honoru, ale także dziejami ludzi, którzy usiłują odzyskać honor kiedyś stracony. Przypuszczam, że autor "Polskich pytań" powiedziałaby, iż dopóki twórca żyje, dopóty ma szansę ocalenia swej godności - nowymi dziełami. Dla badacza literatury jest to kwestia niesłychanie złożona, bodaj jedna z najtrudniejszych, z jakimi boryka się socjologia i aksjologia twórczości pisarskiej. Co określa ostateczny sens etyczny dorobku danego twórcy? Interpretacje Michnika wyrażniają i dramatyzują niejedno takie zagadnienie z zakresu socjologii odbioru, dziejów norm literackich, teorii koniunktur i ocen.

Prace Michnika nie zrównują literatury z nieliteraturą - w przestrzeni aksjologicznej. Michnik twierdzi, że literatura stanowi wyższą, doskonalszą formę poznawania świata i przeciwdziałania zniewoleniu. Pisze, iż "prawdy tego narodu odkrywają poeci, a nie politycy. Nie rozumie Polski ten, kto nie wsłuchuje się w głos polskiej literatury." A tak charakteryzuje wiersz Herberta pt. "17.IX": "Ten wspaniały wiersz, pełen heroizmu i gorzkiej ironii, lepiej niż artykuł publicystyczny opowiada o polskim doświadczeniu". Autor "Z dziejów honoru w Polsce" odsłania więc nie tylko mechanizmy, które literaturze pozwalają ocalić honor człowieka, ale także wartości, które stają się ocaleniem honoru polskiej literatury.

x x x

Wieczór autorski Adama Michnika odbył się 14 grudnia 1988 r. w poznańskim Towarzystwie Literackim im. A. Mickiewicza, w sali Collegium Novum UAM. Cytaty pochodzą z następujących źródeł: A. Michnik "Szansę

polskiej demokracji", Londyn 1984. Tegoż autora "Z dziejów honoru w Polsce. Wypisy więzienne", Paryż 1985, oraz "Polskie pytania", Paryż 1987. P. Stasiński: "Ptak stroszy pióra..." - o interpretacji publicystycznej", "Kultura Niezależna" 1988, nr 45. S. Barańczak: "Atlantyda i inne wiersze", Wrocław 1987. Z. Herbert: "Wiersze zebrane", Warszawa 1982.

Edward Balcerzan

PIOTR SŁAWIŃSKI

KONIEC HIMILSBACHOWEGO ŚWIATA

"Byli wypróbowani przyjaciele!  
Gdzież ich teraz szukać? Dawno  
odeszli. Deszcz, wiatr i słoń-  
ce oraz czas zatarły ich naz-  
wiska wymalowane czarną farbą  
na metalowych tabliczkach do  
złudzenia      przypominających  
ludzkie serca."

/J.Himilsbach: Żydowski poje-  
dynek./

Proza Himilsbacha, podobnie jak np. twór-  
czość Marka Nowakowskiego wyrosła z pewnego  
nurtu literatury pokolenia 56. Z nurtu  
konfrontującego na gruncie etyki dwie,  
jakże różne społeczne sfery: rzeczywistość  
wielkomiejską oraz światek marginesu - do-  
menę nie tylko złodziei czy prostytutek,  
lecz także zdeklasowanych inteligentów i  
wszelkiego typu nieudaczników życiowych.  
Zestawienie to wypada zdecydowanie na ko-  
rzyść tej peryferyjnej mikrostruktury.  
Przestrzegając bowiem swoistych norm i  
niepisanych praw, zdołała w jakiejś mierze  
ocalić wartości moralne pod postacią szcze-  
gólnego kodeksu honorowego. Zbiurokratyzo-  
wany zaś i rządzony totalitarnie świat  
wielkomiejskiego centrum jawi się jako  
sfera całkowicie przeżarta kryzysem moral-  
nym i dehumanizacją.

Alę utwory Himilsbacha oglądać można  
również niezależnie od kontekstu, jaki  
wyznacza proza przełomu październikowego.  
Wówczas nabierają one jakby nowego znacze-  
nia, układając się w opowieść o dziejach  
społeczności peryferyjnej - od zarania aż  
po jej zmierzch.



## 1. Mit i codzienność.

Pytając o genezę świata marginesu w utworach autora "Monidia", trzeba cofnąć się do czasów sprzed września 1939. U schyłku epoki, na krótko przedtem, zanim zawierucha dziejowa ogarnęła rzeczywistość, urodził się bohater, a zarazem narrator większości opowiadań. Jego los został mocno spleciony z przemianami, jakie wkrótce dokonać się miały w otoczeniu. Bohater stał się więc ich obserwatorem i komentatorem; zarazem jednak przeobrażenia owe nie pozostały bez wpływu na jego osobowość oraz miejsce, jakie przyszło mu później zająć w hierarchii społecznej.

Bohater ów ma oczywiście różne wcielenia, występuje pod różnymi nazwiskami. Może być nim zatem Jan Szmelc z "Chrzcin" /w: "Monidio"/, Karolak z "Przyjęcia na dziesięć osób plus trzy" /w: "Przepychanka"/, czy też Rydzewski z "Marcusa Fajery" /w: "Łzy sołtysa"/. W gruncie rzeczy są oni jednak wariantami tej samej postaci. Tak rozumiany bohater rodzi się w świecie już ukształtowanym. Można powiedzieć, że otoczenie "zastaje", podobnie jak swoją w nim pozycję.

Obojętnie, czy będą to obrzeża Warszawy, czy też miasteczko położone nieco dalej od wielkiej aglomeracji /np. Mińsk Maz. w "Kombatantach" z "Przepychanki"/, wyróżnikiem owego świata jest ubóstwo. Ubóstwo jest też w pewnym sensie wyposażeniem bohatera, podarunkiem na przyszłość, jaki otrzymuje od losu.

Innym wyróżnikiem jest odrębność. Świat ten, bez względu na położenie wobec jakiegoś centrum, znajduje się na uboczu, jest hermetycznie odizolowany od otoczenia. Z rzadka tylko gości przybyszów z zewnątrz. A jeśli już, to jawią się oni jako postacie dziwne, obce, jakby nieziemskie. Taki status zyskuje wędrowny fotograf Marcus Faje-

ra, który występuje tutaj po to jedynie, by dać swoje nazwisko nieślubnemu dziecku zupełnie obcej kobiety i odejść, nie żądając żadnej zapłaty. Bezinteresowność Marcusa stanowi dla miejscowych zagadkę, jego motywacje są niezrozumiałe, wręcz nie do pojęcia.

Podobnie egzotyczną personą jest Felek Dębski, mąż tytułowej bohaterki, innego opowiadania /"Florka" w: "Monidło"/, wyróżniający się spośród otoczenia zarówno swymi manierami, jak też zaradnością i swoistą filozofią życiową. To prawda, że Florka przeżywała przy nim nieustanną huśtawkę nastrojów, od euforii po czarną rozpacz. Felek uosabiał jednak jej marzenia o lepszym życiu, o wywindowaniu się ponad przeciętność.

Rojeniom o sławie mógł się też przez krótki czas oddawać Heniek Tatała /"Cyrk" w: "Monidło"/. Z dnia na dzień wyrósł bowiem na miejscowego gladiatora, gdy dyrektor objazdowej trupy cyrkowej zaproponował mu wzięcie udziału w walce zapaśniczej. I chociaż, występując przez tydzień, nie wygrał ani jednego pojedynku, stał się postacią znaną w miasteczku, mówiło się o nim. Otarł się przy tym o "wielki świat", który nagle zagościł w jego stronach.

Marcus Fajera, Felek Dębski, cyrkowcy, to postacie koncentrujące na sobie uwagę wszystkich. Ich obecność jest rodzajem święta. Codziennność natomiast - szara, uboga i monotonna. Nie dzieje się zbyt wiele, bo cóż właściwie może się dziać w tym zakątku zapomnianym przez Boga i ludzi? Taki stan rzeczy zastaje, rodząc się, nasz bohater. Świat, o którym mowa nie pojawił się jednak w tej samej chwili. Jego historia sięga dużo głębiej w przeszłość:

"Miasto, w którym przyszedłem na świat /.../, było miastem jedynym w swoim rodzaju

na podwarszawskim węźle kolejowym /.../.  
/.../ to miasto przez z górą sto lat, to  
jest mniej więcej od czasów napoleońskich  
do ostatnich dni przed pierwszą wojną świa-  
tową, było miastem pobytowym, a i po zakoń-  
czeniu wojny pozostało nadal główną rezy-  
dencją i bazą wypadową wszelkiego asorty-  
mentu ludzi spod ciemnej gwiazdy, obieży-  
światów i rozmaitego kalibru wykolejeńców  
/.../".

/"Miasto zesłańców", w: "Przepychanka"/  
Ow czas sprzed pierwszej wojny jest  
o z a s e m m i t y c z n y m środowis-  
ka, w którym wyrasta bohater. Działali wte-  
dy znákomici kasiarze, najlepsi włamywacze,  
pierwszej klasy szulerzy i oszuści, tacy  
jak "Złota Rączka" i Józef Malesa. Byli to  
światowcy. Zjeździli niemal całą kulę ziem-  
ską - od Detroit po Petersburg. Żadna kasa  
pancerna nie była dla nich przeszkodą,  
w mgnieniu oka rozróżnić potrafili najsub-  
telniejszy szlif klejnotu. Wytworni, o  
nienagannych manierach, stanowili doskonały  
duet. Okres ich prosperity skończył się  
nagle i zupełnie przypadkowo. Gdzieś w  
Rosji pod Saratowem dokonali zuchwałej  
kradzieży w stylu Arsena Lupina. I kiedy,  
rozkoszując się powodzeniem, wracali z goś-  
cinnych występów, w pociągu okradzeni zost-  
tali przez drobnego złodziejaszka. Gorącz-  
kowe próby odzyskania kuferka z łupem  
ściągnęły całą lawinę nieszczęść. "Złota  
Rączka", zamknięty w jakimś klasztorze,  
gdzie ponoć doszedł nawet do godności prze-  
ora, pewnego dnia popełnił samobójstwo.  
Malesa natomiast trafił do "miasta zesłań-  
ców" na podwarszawskim węźle kolejowym.  
Stopniowo biedniejąc i rozmieniając na  
drobne swoją dawną sławę, dożywał tutaj  
swoich dni.

Malesa umarł jeszcze przed drugą wojną,  
a więc - można przyjąć - w czasach, na  
które przypadają początki biografii naszego  
bohatera. Był żywą legendą, wspomnieniem

o erze świetności. Została po nim wdowa oraz grono znajomych: matka opowiadającego historię w "Mieście zesłańców", Mańka Pędzel, Heńka z "krowią nogą", policmajster Kielak - zatem osoby, z którymi stykał się bohater i od których zasłyszał najpewniej opowieść. Opowieść funkcjonującą jako p r z e k a z t r a d y c j i.

Ale postać Malesy jest nie tylko łącznikiem ze "złotym wiekiem" i uosobieniem żywotnej tradycji. Jego losy trzeba widzieć również jako ezemplifikację procesów zachodzących w świecie przedstawionym. A jest to droga w dół po równi pochyłej: z przyzwoitego mieszkania do ciemnego pokoiku, z ekskluzywnych lokali do podrzędnej knajpy. Symbol pauperyzacji i zmierzchu świata złodziei-artystów. Rzeczywistość, w której wyrasta bohater jest już pozbawiona jakichkolwiek atrybutów świetności. Zaludniają ją z jednej strony postacie-cienie, jak właśnie Malesa, z drugiej zaś - imigranci ze wsi /np. matka Rydzewskiego z "Marcusa Fajery"/, wypędzeni przez nędzę z rodzinnych stron. Degrengolada jednych i ubóstwo drugich wytyczyły wspólny los, zacierając wszystkie między nimi różnice. Ich życie, przez swój spowolniony rytm i brak perspektyw na przyszłość, przypomina raczej wegetację.

Zauważmy jednak, że jest to społeczność w istocie bezkonfliktowa. Bieda bowiem wszystkich zrównuje a peryferyjność sprawia, że antagonizmy i fermenty wielkiego świata praktycznie tutaj nie docierają. A jeśli już /antysemickie ekscesy w "Cyrku"/, to są dalekim zaledwie pogłosem wydarzeń i waśni, pozbawionych gruntu, na którym mogłyby przybrać szersze i bardziej dramatyczne formy. Błache w końcu kradzieże i wybryki, nie wywołujące zresztą niczyjego zdziwienia, nie mogą stać się zarzewiem jakichś istniejących konfliktów społecznych.



Lokalne prawo uosabia policmajster Kielak, który zna na wylot wszystkich mieszkańców swojego rewiru. Stąd też bez najmniejszych kłopotów porusza się w tym środowisku. Sam zresztą doń przynależy i ani sposobem myślenia, ani sposobem bycia nie wyrasta ponad jego miarę.

Liberalny i swojski charakter instytucjonalnego prawa, jakie reprezentuje Kielak, przejawia się najistotniej w łagodności kar wymierzanych złoczyńcom. Owa łagodność odzwierciedla wyraźnie stosunek społeczności do sprawców wykroczeń, nacechowany przede wszystkim wyrozumiałością. Bo jest to przecież środowisko ludzi niespokojnych, skłonnych do różnych brewerii. Każdy ma pod tym względem bogatą przeszłość, która bynajmniej nie stanowi zamkniętego rozdziału. Toteż wywołanie awantury na ogół nie spotyka się tutaj z potępieniem. Co więcej - dla obserwatorów awantura bywa raczej źródłem rozrywki, stanowiąc formę spektaklu urozmaicającego monotonną codzienność. Gdy zaś przybierze oblicze cokolwiek niebezpieczne, wtedy ludzie posyłają po Kielaka - "jedyne go glinę w mieście". Taką sytuację przedstawia opowiadanie "W imieniu prawa" /w: "Monidło"/. Oto niejaki Stańczak po wypiciu większej ilości alkoholu napastował pewną dziewczynę. Choćby incydent zakończył się zupełnie niegroźnie i nikt nie doznał uszczerbku, to jednak wywołał w Stańczaku trudny do wyciszenia wstyd. Objawiło się to w sposób zgoła osobliwy: Stańczak wdrapał się mianowicie na dach budynku, skąd zaczął ostrzeliwać z pistoletu gromadzącą się publiczność. Wezwany na pomoc Kielak podjął próbę rozładowania napięcia, uderzając w ton łagodnej perswazji, co nie przyniosło jednak rezultatu. Wówczas nastąpiła wymiana ognia, zakończona kapitulacją Stańczaka, któremu zabrakło amunicji. Wybryk jego,



obiektywnie rzecz biorąc, nosił - jak się wydaje - wszelkie znamiona czynu terrorystycznego i powodował zagrożenie zbiorowe. Jednakże z punktu widzenia społeczności przedstawionej w opowiadaniu sprawa wyglądała całkiem inaczej. Stańczak w jej oczach był twórcą widowiska, i to widowiska pożądanego, którego finał przyjęto ze smutkiem:

"Ludzie z nieukrywanym żalem odprowadzili ich wzrokiem do zakrętu bocznej uliczki, potem niechętnie zaczęli się rozchodzić, nie wiedząc, co właściwie robić z resztą popołudnia."

Kielak zaś, w którego rękach spoczywała wykładnia prawa, postąpił zgodnie z nastrojem środowiska, a więc opinii publicznej, i po dwóch dniach zwolnił Stańczaka, karząc go jedynie dziesięciozłotowym mandatem i konfiskatą broni.

Wśród równych w ubóstwie prawo nie musi być nadmiernie represywne. Bo cóż w końcu można tutaj ukraść, prócz starej bielizny suszącej się na strychu? /"Policmajster Kielak", w: "Monidło"/. Stąd nieistotność, mała dotkliwość tego typu czynów. Trzeba ponadto wziąć pod uwagę zbliżony rodowód oraz wyposażenie charakterologiczne postaci - ich sposób postrzegania i oceny rzeczywistości. Wielu ma za sobą bogatą więzienną przeszłość. Przeszłość ta jest źródłem tradycji, dostarcza bowiem najbardziej nośnych wzorców postępowania, a zarazem zwyczajów i norm, składających się na osobliwy, lecz naturalny i powszechnie akceptowany "kodeks prawny". Instytucjonalne zaś prawo, reprezentowane przez Kielaka, jest tylko słabym echem odległych i obcych norm, zaadaptowanych tutaj w jedynie możliwy do przyjęcia sposób.

## 2. Historia.

Ten mikrokosmos, który wydawał się nie-naruszalny, ukształtowany raz na zawsze, leżący niejako poza historyczną rzeczywistość

tością, wkrótce jednak uległ daleko idącym przemianom. Opowieść o nim, którą otrzymujemy za pośrednictwem bohatera, jest jak gdyby sumą pewnych wrażeń, obrazów i przeżyć zapamiętanych z dzieciństwa oraz relacji zasłyszanych w tym okresie /i później/ od innych. Tak więc dzieciństwo bohatera spleta się ze schyłkiem epoki. Dorastanie przypada już na czas drugiej wojny.

Wojna stanowi pierwszą istotną ingerencję rzeczywistości zewnętrznej w światek postaci Himilsbacha. Jej wizerunek kształtuje się we wspomnieniach głównego bohatera. Oglądamy ją zatem oczami dziecka. Z suchej, beznamietnej, właściwie czysto sprawozdawczej narracji, wyłania się obraz wojny jako motoru spustoszeń w sferze emocjonalnej i moralnej, niszczącego więzi międzyludzkie. Nie jest to bynajmniej okres wielkich czynów i heroicznych postaw. Przeciwnie. Dominuje w nim pragnienie przetrwania za wszelką cenę, wręcz zwierzęca walka o byt. Ujawnia się przy tym cała gama ludzkiego zła: interesowność, zawiść, okrucieństwo, co obserwuje i czego niejednokrotnie doświadcza bohater-narrator.

Wraz z wkroczeniem Niemców głód i upodlenie stały się udziałem mieszkańców miasteczka. Odtąd determinantą tego środowiska stał się i n s t y n k t p r z e t r w a n i a. Zaspokojenie głodu stanowić zaczęło podstawową rację wszelkiej atywności, a sposób w jaki zdobywa się żywność przestał mieć znaczenie. Toteż matka Jana Szmelca z "Chrzcin" zupełnie wszystko jedno, kto jest jej kochankiem - polski komunista czy niemiecki żołnierz. Ważne są jedynie ilość i jakość jedzenia, które w zamian przynoszą. Podział na wrogów i swoich - w tej perspektywie nie istnieje.

Pochodną takiego stosunku do życia staje się z a s a d a a b s o l u t n e j i n t e r e s o w n o ś c i. Wszelkie z pozoru nawet szlachetne poczynania wobec

innych, są w rzeczywistości wynikiem głębokiej kalkulacji, podyktowane perspektywą osiągnięcia jakichś korzyści. Ujawnia się to wyraźnie w postępowaniu Mańki Pędzel, która po śmierci matki bohatera zdecydowała przysparzać sierotę pod swój dach:

"/.../ Z kradzionego Niemcom węgla na stacji część sprzedawałem na lewo, a zarobione tą drogą pieniądze pomnażałem niejednokrotnie grą w karty. Mańka biorąc mnie do siebie ani myślała, że będę jej zawadzał w domu, wprost przeciwnie, wiedziała, że stanę się wyręką i żywicielem, jak wielu chłopców w moim wieku, którzy byli jedynymi żywicielami licznych rodzin.

Rano wychodziłem z domu, wieczorem wracałem zmęczony, bez słowa rzucałem na stół część zarobionych pieniędzy /.../".

/"Chrzcziny"/

Wyprawa po węgiel została dokładniej przedstawiona w innym opowiadaniu - "Wawa" /w: "Monidło"/, będącym niejako kontynuacją "Chrzczin". Aby zdobyć węgiel, szesnastoletnia Heńka musiała oddać się niemieckiemu strażnikowi. Kiedy później, zaskoczona przez patrol podczas załadunku węgla, została ciężko ranna i Niemcy przewieźli ją do szpitala, stała się tam po raz drugi ofiarą, lecz już nie wrogów, a swoich:

"/.../ dopiero po miesiącu wyszła ze szpitala, tak porwali w niej bebechy, a i później długo jakoś nie mogła dojść do siebie. Przez jakiś czas nigdzie nie pokazywała się na mieście. Czekala aż jej włosy na głowie odrosną, które ścięli jej do gołej skóry maszynką partyzanci, co przyszedł pewnej nocy do szpitala odbić jednego ze swoich."

/"Wawa"/

Czyn ten wydaje się mieć dwójakie odniesienia. Po pierwsze jest skutkiem działania twardego prawa Polski podziemnej, lecz po wtóre - to zwykły akt przemocy wobec kogoś zupełnie bezbronnego, kto - jeśli nawet

dopuszczył się haniebnego postępku - otrzymał zań surową nauczkę. Innymi słowy - jest on wyrazem przemieszania dość odległych pojęć o sprawiedliwości ze zwykłym okrucieństwem i mściwością.

Symbolem degradacji, jaka się dokonała, jest znana nam już postać Kielaka. Przed wojną łagodny i wyrozumiały policmajster, teraz przeistoczył się w złowrogiego współnika okupantów, który bez zmrżenia oka dokonuje egzekucji żydowskiego dziecka:

"Staliśmy obok bezsilni.

Widzieliśmy, jak Kielak straciwszy cierpliwość, odtrącił lufą karabinu chłopaka od nóg żandarma. Pociągnął za spust /.../. Chłopak łapiąc się rękami za brzuch odskoczył w bok. Padł drugi i ostatni strzał.

Chłopak upadł na śnieg zwinięty w kłębek. Żandarm pochylił się do nóg. Podniósł z ziemi czapkę chłopaka, z uwagą obejrzał ją dokładnie, a potem lekko opuścił na twarz leżącemu."

/"Nasza ulica", w: "Monidło"/

Świat jako śmietnik. Taka perspektywa wyłania się z relacji narratora opowiadającego o czasach wojny. Jan Szmelc zdobywa wtedy życiowe ostrogi, osiąga przedwczesną dojrzałość, słowem - przechodzi swój chrzest. Zakończenie utworu "Chrzczyny" można rozumieć jako metaforę: tytułowa uroczystość, a następnie libacja, w której uczestniczy ochrzczony bohater, znajdują swój finał na śmietniku.

### 3. Nowe czasy

Po wojnie światek bohaterów Himilsbacha zetknął się już na dobre z rzeczywistością zewnętrzną. Oba kręgi zaczęły się początkowo przenikać, a następnie społeczność, egzystująca dotąd w oddaleniu, została niejako osaczona przez otoczenie. Zjawisko to uwidacznia się przejrzyście, gdy zestawimy dwa opowiadania. W "Działce rosyjskie-

go Boga" /w: "Przepychanka"/ bohaterowie żyją jeszcze w ubogiej, peryferyjnej dzielnicy na przedmieściu, zwanej "Dziadowskim Dołem". Związek z miastem jest już jednak wyraźnie zaznaczony, istnieje bowiem droga, łącząca te dwie odrębne dotąd przestrzenie. W innym utworze - "Przyjęcie na dziesięć osób plus trzy" /w: "Przepychanka"/ - "Dziadowski Dół" jest już dzielnicą miasta.

Następstwem takiej zmiany położenia było podważenie dotychczasowej autonomii świątka. Swoistość jego tradycji i obyczajów nie może być tolerowana przez ekspansywne otoczenie, które poprzez nieustanną presję próbuje narzucić tutaj własne normy. Dobrodusznego policmajstra Kielaka sprzed wojny zastąpił teraz dzielnicowy Tufta. Kielak był jednym ze swoich, jego działalność pozostawała w zgodzie z tutejszym poczuciem sprawiedliwości i nawet w pewien sposób przyczyniała się do podtrzymania harmonii społecznej. Tufta natomiast jest prześladowcą, który stara się wymusić na bohaterach zachowania zupełnie im obce lub wręcz przez nich potępiane. W pierwszym przypadku próbuje nakłaniać do podjęcia pracy /"Przyjęcie..."/. Innym razem stara się z bohaterów uczynić donosicieli /"Przyjęcie..."; "Sroka", w: "Łzy sołtysa"/. W obu sytuacjach metodą działania jest zastraszenie i szantaż. Działalność Tufty, w przeciwieństwie do Kielaka, ma charakter wybitnie represyjny i jednocześnie doskonale odzwierciedla mechanizm ingerencji rzeczywistości zewnętrznej w strukturę społeczną, która, z racji odmienności preferowanych wzorców zachowań, dopiero w tym kontakcie nabiera cech *m a r g i n e s u s p o ł e c z n e g o*. Przeobrażenie to następuje równocześnie z utratą naturalnego otoczenia, jak np. przedwojenne "miasto zesłańców" czy nawet powojenny "Dziadowski Dół", a więc wraz z zanikiem podmiejskich



peryferii, albo dzielnic wyraźnie wyodrębnionych i wyizolowanych. W nowym środowisku, w mieście, które zaanektowało owe enklawy, nie ma już możliwości życia w izolacji. Jedyną oazą, jak gdyby przystanią na obcym lądzie, jest budka z piwem u Słepego Olka w "Przyjęciu..." i "Świcy" /"Łzy sołtysa"/, albo knajpa "U Fiksa" ze "Sroki". Dzielnicowy Tufta dociera jednak i tutaj...

Bohaterowie, poddani nieustannemu ciśnieniu, przyjmują wobec rzeczywistości, w którą zostali wtłoczeni, postawy zróżnicowane. Zestaw ról obejmuje w zasadzie dwa typy zachowań: - usilne zabieganie o akceptację nowego otoczenia w drodze podporządkowania się dyktowanym przez nie prawom i obyczajom, przy jednoczesnej rezygnacji z przestrzeganych dotąd wzorów postępowania;

- nieprzyjęcie norm nowego otoczenia, skutkiem czego jest napiętnowanie odrzucającego te normy i zaliczenie go do sfery "marginesu społecznego".

Próby przystosowania się do nowych warunków są z reguły źródłem porażek. Zrywając z dawnym środowiskiem bohaterowie trafiają w otoczenie nieprzyjazne, w którym nie potrafią się odnaleźć. Nadzieje na poprawę losu bywają złudne. Jest to niekiedy przyczyną tragedii osobistych /"Łzy sołtysa"/. Usiłując przenosić tutaj wzory zachowań ze świata, z którego odeszli, narażają się na śmieszność, albo pakuja się w tarapaty /"Droga kariery", w: "Moni-dło"; "Party przy świecach", w: "Łzy sołtysa"/. Wreszcie, gdy niezadowoleni i niedowartościowani starają się stworzyć wokół siebie choćby tylko atmosferę sukcesu, wykreować namiastkę wielkoświatowego życia, zostają natychmiast sprowadzeni na ziemię /"Party przy świecach"/. Ich miejsce w nowej rzeczywistości wydaje się z góry przesądzone i usytuowane gdzieś w jej dolnych rejonach. Ponad ten pułap po prostu

nie są w stanie się wznieść. Chociaż rozpaczliwie próbują, efekty są opłakane.

Istnieje wszakże kategoria bohaterów zdecydowanych pozostać na "swoim miejscu". Decyzja ta może być pochodną niepowodzenia doznanego w konfrontacji z nową rzeczywistością, mimo podejmowanych prób i szczerych intencji. Stefan Cykulada z "Działki rosyjskiego Boga" zostaje np. oszukany w pierwszej uczciwej pracy, jaką podjął.

Prócz niepomysłnych doświadczeń w działaniach na rzecz zmiany dotychczasowego modelu życia, tym, co skłania do trwania w światku, którego centrum wyznacza budka z piwem, jest pesymistyczne przekonanie o nieprzekraczalności granic. Bo jedynym, co w praktyce oferuje bohaterom nowa rzeczywistość, pozostaje status wyrobnika za nędzny grosz. W obliczu takiej perspektywy wolą oni żyć dalej, jak żyli do tej pory, mimo, że pozostają w niezgodzie z normami społeczeństwa, które postrzega ich jako pasożytów, degeneratów i kryminalistów. Wybór ten bywa jednak brzemienny w skutki. Dokonujący go, z reguły prędzej czy później trafiają do więzienia za popełnione, bądź niepopełnione czyny /Cykulada, Karolak, Sroka/. Zdarza się, że kończą jak "Mojka":

"/.../ Bardzo zdolny złodziej, można powiedzieć nawet fachura w swoim fachu, i pewnego dnia, nie wiadomo nawet dlaczego, wykoleił się. Zaczął pić na umór dzień i noc, zaniedbał się, wszystko powynosił z domu, zmarnował za grosze, przestał się nawet golić. Zaczął pić wszystko: sztamajkę i wodę brzoową. Sam o sobie mówił: piłem spirytus i nic, piłem wódkę i nic, piłem likier Baczewskiego i nic, a benzol mi szkodzi. Doszło do tego, że wylądował w Głupiejewie /.../. Można śmiało powiedzieć, że Mojka nigdy, do końca życia nie wyliże się już z tego, w co się stoczył, jak wielu

zdolnych ludzi, posiadających nadmiar fantazji i humoru."

/"Przyjęcie na dziesięć osób plus trzy"/

Równocześnie świat ten kurczy się i rozpada coraz bardziej. Jako osobny twór przestrzenny, pewien obszar, np. dzielnica, praktycznie już nie istnieje:

"- Tak; kotku. Nazbierało się tutaj rozmaitej hołoty z całego świata. Pan Bóg musiał zwariować, skoro tyle nieszczęścia zgromadził w naszej dzielnicy. Kiedyś mieszkali tutaj porządni ludzie, a dziś? Sam popatrz! Każda pani magister, każdy z tych fagasów wielki urzędnik za pięć złotych z własnym atramentem" - powie Sroka.

Znikają też ludzie. Jedni wywędrowali dokądś, szukając szczęścia, inni lądują w więzieniu, albo staczają się na dno i wszelki ślad po nich ginie.

Garstka tych, którzy pozostali, skupia się jeszcze na ostatnim skrawku ziemi, w piwiarni u Ślepego Olka. Ale kiedy przybytek ten zniknie, ich świat, jeśli rozumieć pod tym pojęciem pewną ministrukturę społeczną, ulegnie całkowitemu rozpadowi.

Piotr Sławiński

JACEK BOCHEŃSKI

## POTENCJAŁ WOLNOŚCI

Nazwa "drugi obieg" nie pochodzi od jego twórców. Ci, kiedy zaczynali, mówili raczej o niezależnych, nieoficjalnych lub niecenzurowanych wydawnictwach. Nie używali słowa obieg, bo żadnego obiegu jeszcze nie było, mógł dopiero powstać, ale jego inicjatorzy nie wiedzieli przecież, czy się uda i czy przetrzyma represje. W swoich rozmowach i tekstach chcieli nazwać istotną cechę samej inicjatywy: rewoltę przeciw cenzurze.

Natomiast późniejsze określenie "drugi obieg" wynaleźli ci, których cenzurowano. Liczebniki porządkowe są dyskretne, cenzuralne. Drugi to znaczyło nie wiadomo jaki, ale jakby mniej ważny, mniejszy, pewnie gorszy. Trochę licha to nazwa dla wszystkiego, co miało gruntownie zmienić kondycję kulturalną kraju. Jednak ta skromna nazwa spodobała się także realizatorom owego drugiego obiegu, bo zaczęli jej wkrótce używać. I właśnie ona z czasem ogólnie się przyjęła.

Myślę, że miała pewną zaletę. Wskazywała na możliwość wielości, uświadamiała, że poza czymś jednym może istnieć coś innego, czyli torowała drogę pluralizmowi. Jakie to przyniosło skutki, przekonałem się niedawno w pociągu.

Do przedziału wszedł kolejarz. Usiadł, żeby przez chwilę odpocząć. Napomknął, że zima dziwna taka w tym roku, jakby jej nie było, i niebezpieczna dla rolników. A inflacja straszna. To i to ma podrożeć wkrótce o pięćdziesiąt procent, a to i to o sześćdziesiąt.

- Skąd pan tak dokładnie wie? - zapytałem.

- Czytałem w pierwszym obiegu - wyjaśnił.

Czytał w pierwszym obiegu! Nie czytał po prostu w gazecie, której nie trzeba charakteryzować, bo w każdej widzenie rzeczy jest jednakowe. Czytał t y m r a - z e m w pierwszym obiegu i mówi mi, żebym wiedział, bo mógł czytać w drugim.

Nie myślę, że skoro tak wyglądają alternatywy czytelnicze jednego kolejarza, to może obiegi należałoby już ponumerować w odwrotnym porządku. Z faktu, co i jak czyta pewien kolejarz, nie wynika żadna prawda ogólna o czytającej większości. Ale wynika, że na przykład ten kolejarz, który prawdopodobnie jest także telewidzem, nauczył się rozróżniać źródła informacji.

Można powiedzieć, że w płaszczyźnie społecznej początkiem wielkiego przewrotu było przyswojenie sobie pojęcia drugi nie przez twórców, ale przez odbiorców kultury. Coraz bardziej doceniam to słowo.

W dziejach drugiego obiegu wyróżniają się trzy okresy. Pierwszy przypada na lata siedemdziesiąte. Nazwałbym go pionierskim. Drugi łączy się z powstaniem i gwałtownym rozrostem "Solidarności" w latach 1980/81. Trzeci wreszcie to okres podziemny, który od stanu wojennego trwa do dzisiaj i dobiega już, być może, końcowej fazy swego rozwoju. Czy nastąpi po nim okres czwarty, a jeśli nastąpi, to jaki, oto pytanie.

W sensie twórczym okres pionierski zapoczątkowało zredagowanie i przepisanie przez kalkę w sześciu egzemplarzach pierwszego numeru niecenzurowanego kwartalnika literackiego "Zapis". Numer nosił datę "styczeń 1977". Wkrótce po warszawskim "Zapisie" powstał w Łodzi "Nieregularny Kwartalnik Literacki Puls". Stworzony przez ludzi młodszych, odróżniał się stylem i temperamentem, a jego zasługą było może to, że usiłował przerzucić pomost od literatury do sztuk plastycznych. W "Pulsie" zaczęto reproduковать grafiki i fotografie.

Inne periodyki pionierskie, "Spotkania", "Krytyka", "Res Publica", przejawiały wyraźne zróżnicowanie światopoglądowe. W przeciwieństwie do "Zapisu" i "Pulsu" cechowała je przewaga eseistyki i publicystyki. Ze względu jednak na formalny poziom tworzyły raczej kulturę myśli, niż narzędzia użytkowe kultury politycznej. Oczywiście, narzędzia takie, i to liczne, zawsze istniały w drugim obiegu, na przykład pionierski "Robotnik", który poprzedził już bezpośrednio powstanie "Solidarności". Ale rozróżnienie między obu jakościami jest ważne, bo ignorowanie tej różnicy legło potem u podłoża wielu zarzutów czynionych drugiemu obiegowi w złą i dobrą wiarę, do czego też wróć.



W sensie technicznym początkiem drugiego obiegu nie było jednak zredagowanie żadnego czasopisma. Było nim uruchomienie powielacza. Otóż jeszcze we wrześniu 1976 ukonstytuował się Komitet Obrony Robotników. Członek KORu Mirosław Chojecki oraz współpracujący z nim Grzegorz Boguta stworzyli Niezależną Oficynę Wydawniczą NOWA. Zrazu powiełała ona biuletyny KORu, lecz niebawem podjęła się drukowania "Zapisu" w nakładach od kilkuset do kilku tysięcy egzemplarzy. Rozpoczęła wydawanie książek. Zaszedł fakt przełomowy. Powstał obieg.

O znaczeniu publikowanych dzieł nie będę tu mówić, skoro nawet w pierwszym obiegu opinie na ich temat, do niedawna jak najgorsze, ulegają ostatnio nadzwyczajnej ewolucji. Obszerny artykuł, doceniający przynajmniej częściowo liczby i wartości, można już było przeczytać w "Polityce".

Nie można było przeczytać w "Polityce" o czymś, co stanowi czynnik absolutnie kluczowy całej sprawy. Mianowicie drugi obieg miał swój początek w jeszcze jednym sensie, psychologicznym, przez "Politykę" nie zauważonym. Tym początkiem było przezwyciężenie strachu.

To tyle o okresie pionierskim.

Nastąpił potem wielki rozrost ilościowy i jakościowy. Podczas historycznych szesnastu miesięcy "Solidarności" rozmnożyły się nie tylko wydawnictwa, redakcje, tytuły i nakłady. Drugi obieg objął nowe rodzaje sztuk, nauk, liczne branże kulturalne. Z drugiej strony trudno powiedzieć, do której kultury, oficjalnej czy nieoficjalnej należał wtedy Miłosz albo Wajda. Cechą charakterystyczną okresu "Solidarności" wydaje się to, że dzięki względnej swobodzie zaczęły się zacierać granice między obiegami, podobnie jak dzieje się teraz.

Czym się sprawa wówczas skończyła, wiemy: trzynastym grudnia i generalnym odejściem w podziemie. Oczywiście, stan wojenny miał wszelką kulturę niezależną unicestwić, zdruzgotać drugi obieg, przerazić twórców

internowaniami, a dla lepszego efektu psychologicznego wessać niektóre ich dzieła w obieg oficjalny. Wszystkie te próby zawiodły. Drugi obieg ocalał, a raczej szybko się odrodził i - rzecz paradoksalna - jeszcze bardziej się rozrósł. Wcale też nie zniżył ambicji, ale właśnie podwyższył, jakby wyczuł, że tym razem niebezpieczeństwo dla kultury jest być może śmiertelne, ostateczne, nie inne niż zagrożenie gospodarki, przyrody, zdrowia i życia narodu.

W krótkim przemówieniu trudno mi przytaczać spisy, cyfry i szczegóły. Zrobię jeden wyjątek. Jest rok 1982, stan wojenny. Tysiące ludzi siedzi w obozach i więzieniach. Wozy opancerzone dudnią po ulicach miast. W drugim obiegu ukazują się książki. Wymienię w porządku alfabetycznym nazwiska tylko niektórych autorów: Barańczak, Marian Brandys, Dmowski, Dürenmatt, Gombrowicz, Jaspers, Wojciech Karpiński, Kisielewski, Kołakowski, Konwicki, Krynicki, Michnik, Marek Nowakowski, Orwell, Piłsudski, Sartre, Schopenhauer, Tyrmand, Stanisław Witkiewicz, Woroszyński, Zagajewski. Powtarzam: jest to tylko dorobek stanu wojennego, tylko w produkcji wydawniczej, a ściślej mówiąc - tylko w części produkcji.

Cała reszta, opublikowana do dni dzisiejszego, stanowi bibliotekę złożoną z kilku tysięcy pozycji.

Była taka myśl, wywołana szokiem stanu wojennego, gdy zdawało się, że wszelkie życie kulturalne ulega zagładzie, gdy przestały wychodzić nawet pisma pierwszego obiegu, a jednocześnie aktorzy nie chcieli grać w teatrach, otóż była wtedy taka myśl utopijna, że w tej sytuacji nie ma innego wyjścia, jak tylko zastąpić cały pierwszy obieg drugim. Mówiono wtedy o stworzeniu społeczeństwa niezależnego i w takim samym sensie o stworzeniu wszechobejmującej kultury niezależnej. To, oczywiście, nie zostało nigdy zrealizowane, bo było niemożli-

we, ale i w praktyce niepotrzebne. Pierwszy obieg, siłą rzeczy ograniczony, manipulowany i niewydolny, lecz pełniący zarazem istotne, wartościowe funkcje, też się odrodził. Drugi obieg nie musiał obejmować wszystkiego, musiał natomiast współtworzyć z pierwszym konieczny dla autentyczności kultury układ komplementarny.

I dziś możemy powiedzieć tak: Nie udało się w Polsce ochronić gospodarki, prawa, czystego powietrza, wody, zdrowia oraz wielu innych rzeczy, jednak dzięki drugiemu obiegowi udało się w newralgicznym punkcie ochronić kulturę. Chodzi o potencjał wolności, który ona zawiera.

Ale czy nie jesteśmy mimo wszystko zbyt zarozumiali?

Ileż oskarżeń i krytyk wysłuchał drugi obieg! Z ilu stron! A nie było też chyba zarzutu, którego sam by sobie oszczędził.

Teza oficjalna brzmiała tak: prócz nielicznych wyjątków są w drugim obiegu same propagandowe śmiecie, wobec czego ewentualne wyjątki przejdziemy, a poza tym nie ma o czym mówić.

Z emigracji odzywały się znów głosy: To szlachetne, ale prowincjonalne i bez głębi. Już w dziewiętnastym stuleciu wielkie dzieła polskie powstawały poza krajem.

Trzecie zastrzeżenie wypowiadano właśnie w kraju, choć nie tylko: Niezależność według kryteriów politycznych? Proszę bardzo, ale nie w kulturze! Bo to jest nadal zależność. Artyście chodzi o inną, wyższą niezależność.

Co się tyczy tezy oficjalnej, była ona oparta na umyślnym bałamuctwie. Rzecz jasna, że w drugim obiegu, któremu początek dały bądź co bądź biuletyny KORu, najwięcej było zawsze publikacji ściśle użytkowych, pism ulotnych, druków informacyjnych, manifestów i broszur, zyskujących z czasem wartość dokumentu, ale bez wartości artystycznej czy naukowej. Chciałbym zapytać,

czy w jakiegokolwiek kulturze piśmiennej jest inaczej.

Równolegle istniał obszar z aspiracjami kulturotwórczymi, a on też miał różne piętra. Gdy komuś zależało na tym, żeby zdyskredytować literaturę czy malarstwo drugiego obiegu, udawał, że mu się mylą obszary, tak zwane "pisemka" z poezjami Herberta. W najlepszym razie powoływał się na twory sztuki stosowanej z możliwie niskiego piętra. Chciałbym zapytać, czy w jakiegokolwiek kulturze artystycznej arcydzieła są częste. Są oczywiście wyjątkami, jak szczyty. Tylko, że nie ma szczytów wiszących w pustocie. Żeby był szczyt, musi być pod nim góra.

Jeszcze jedno. Działalność drugiego obiegu jest swobodna, wielopodmiotowa i spontaniczna. Włączyć się w nią może na własną rękę każdy, kto ma jakie takie środki. Nikt nie kontroluje całości, nikt jej nie programuje i nie przesiewa. Cóż dziwnego, że ukazują się znakomite dzieła, ale również kicze, wypociny grafomanów i fiksatorów, rzeczy niesmaczne, głupie, nawet haniebne, by wspomnieć osławione brednie z warszawskiego kościoła na Zagórnej.

A cóż dziwnego, że do struktur drugiego obiegu, do środowisk, które podjęły się tego zaiste heroicznego trudu, przenikają także złe obyczaje, intrygi, interesowność, pożalowania godne kłótnie i zaciętrzewienia, zdradzające niekiedy stylem powszedni, peerelowski styl komunistyczny? Drugi obieg jest taki, jak nasze życie, jest odzwierciedleniem naszej duszy zbiorowej z jej cnotami, wypaczeniami i przywarami. Nic jednak nie zmieni faktu, że to ten bezcenny drugi obieg, póki istnieje, daje naszej kulturze praktyczną gwarancję wolności, póki innej gwarancji nie mamy.

To prawda, że od początku skupiał on głównie twórczość, którą z przyczyn politycznych dyskryminował pierwszy obieg. Co

nie znaczy, żeby polityczne były zawsze pobudki twórców. Wielu z nich czuło się po prostu godniej w drugim obiegu. Ale jego obiektywne umiejscowienie w opozycji wobec cenzury i przemocy nadawało mu siłą rzeczy rolę polityczną. Zawsze doceniałem płynące stąd niebezpieczeństwo zwężenia horyzontów. I rzeczywiście, jeśli zważyć, ile miejsca zajął w sztukach drugiego obiegu motyw walki z policją, a ile motyw metafizyczny, to w tej proporcji na pewno nie odbija się cała głębia spraw człowieka i świata. Tylko coś ją tak bardzo odbija - dajmy na to - we współczesnej beletrystyce Zachodu? A w najnowszej beletrystyce emigracyjnej? Nie dzielimy jednak twórczości na emigracyjną i krajową. Drugi obieg przyswoił wiele fundamentalnych dzieł, powstałych na emigracji. One do niego też należą. Może zresztą, pochłonięci tu w Polsce rozpaczliwymi zmaganiem o ratowanie egzystencji narodu, tracimy coś z oczu, my - prowincjusze? Może jakaś ważniejsza perspektywa uniwersalna nam umyka? Niechże nam ją przedstawi, kto widzi. Przyjmujemy.

Jest głęboką prawdą, że poddając się imperatywowi politycznemu - a dodałbym: tak samo ideologicznemu, patriotycznemu i nawet religijnemu - artysta gotów stracić szansę wielkości. Ma on słuchać tylko osobliwego sumienia estetycznego, które nosi w sobie. Jednak polityka, ogólnie złowroga dla artysty, ociera się w szczególnych sytuacjach o sprawy związane z wielkimi wzruszeniami, jak sprawiedliwość, krzywda, obowiązek, ból, ofiara, a zajmowanie się tym od czasów Sofoklesa nigdy twórczości nie spłaszowało. Słusznie więc odżegnuje się artysta od imperatywu politycznego. Byleby tylko nie mylił go z moralnym. Bo wtedy zamiast wielkości zyskać może małość.

Kończąc, chcę oddać hołd wszystkim, którzy zrobili drugi obieg w Polsce, a



okupili to znoszeniem prześladowań, zatrzymań, przesłuchań, rewizji, pobić, którzy ukrywali się, stawiali przed kolegami, sądami, byli internowani i więzieni.

Chcę oddać hołd licznym anonimowym drukarzom, kolporterom, magazynierom, transportowcom, ludziom ciężkiego, fizycznego trudu, którzy pracowali w stresie, w niewygodnych i niezdrowych pomieszczeniach, babrali się w farbach i chemikaliach, wdychali wyziewy, nosili ciężary, a także duszę na ramieniu, co jest cięższe.

Obfitość ciosów, wymierzonych rozmaitym realizatorom drugiego obiegu w ciągu całej jego historii, sprawia, że wyliczenie imiennej listy ofiar, chociaż godni uczczenia są wszyscy, nie byłoby praktycznie możliwe. Pomyślmy więc tylko o tych wielu i o cenie, jaką za wolne słowo, obraz, teatr, film zapłacono.

Dziękujemy drugiemu obiegowi, bo dobrze zasłużył się kulturze polskiej.

Życzymy mu, żeby jak najszybciej okazał się niepotrzebny i nie musiał istnieć.

Przyrzekamy mu, że póki jego zbędność nie stanie się pewna, nie pozwolimy go zniszczyć.

Jacek Bocheński

---

Przemówienie wygłoszone na Niezależnym Forum Kultury, które odbyło się w Warszawie pierwszego kwietnia b.r. Tytuł pochodzi od redakcji.

O karmie, myśli twórczej i wkładzie jed-  
nostki

Pojęcie "karma" tak, jak go używa Arnold Toynbee zawiera całokształt dorobku ludzkości, jej kumulatywne doświadczenie. Już na pierwszy rzut oka pociąga nas ono optymistyczną implikacją, iż pomimo ogromu i chaosu jaki obejmuje słowo "ludzkość", tak w czasie jak przestrzeni, nic w końcu nie ginie. Karma, w ciągłym procesie gromadzenia, zachowuje nie tylko widoczny w literaturze, architekturze, czy sztuce dorobek ludzkości, ale pozwala także na przekazanie każdego ludzkiego doświadczenia. Karma stanowi więc /lub zawiera/ to, co Leszek Kołakowski określa mianem reprodukcji kulturalnej. Potwierdzenie jej istnienia znajdujemy empirycznie we wszystkich ludzkich sytuacjach, w których pewne indywidualne lub zbiorowe reakcje mieszczą się w określeniu "mądrość życiowa". Określenie to bowiem wykracza w naszym odczuciu poza ramy danego społecznego środowiska, a nawet określonej kultury i odnosi się jakby do wielu społeczeństw, kultur lub nawet ludzkości, jako całości. Tą samą rolę karmy jako kumulacji doświadczeń ogólnoludzkich raczej, aniżeli uniwersalistycznego wspólnego mianownika, uznać musimy tam wszędzie, kiedy pomimo subiektywizmu narzuconego nam przez własną kulturę potrafimy w znacznym stopniu zrozumieć reakcje czy zachowanie ludzi z innej kultury, skądinąd całkowicie nam obcej. Że tak się dzieje mamy tego codzienne przejawy kiedy np. urodzeni i wychowani w kulturze europejskiej oglądamy film hinduski, japoński obraz, czy ceremonię buddyjską. Oczywiście znajdujemy

tam szereg elementów, które uznajemy jako obce i musimy przyznać, iż przynależność do innej kultury nie pozwoli nam nigdy na pełne zrozumienie tego dzieła lub obrządku. Dla naszych uwag istotne jest jednak to, co byliśmy w stanie zrozumieć, a z własnych doświadczeń wiemy, iż stanowi to znaczny margines.

Skoro więc możemy myśleć o karmie, jako o wspólnym dorobku, stale napełniającym się "skarbcu" doświadczeń całej ludzkości, powstaje pytanie jaki w tym zbiorze jest udział każdego z nas, tj. udział jednostki. Jest to pytanie niebagatelne z punktu widzenia tzw. sensu życia i jakiegoś naszego własnego odniesienia do tej ogromnej i niepojętej całości, której na krótki czas pobytu na ziemskim padole staliśmy się częsteczką. Aby odpowiedzieć na to pytanie trzeba zatrzymać się chwilę dla omówienia pojęcia myśli twórczej oraz biologicznie ustalonego faktu odrębności każdego człowieka.

W pojęciu konwencjonalnym myśl ludzka może być uznana za twórczą wówczas dopiero jeśli i kiedy zostanie ona uzewnętrzniona. Tak więc - używając przykładów polskiego psychologa Jarosława Rudniańskiego - obraz musi zostać namalowany, koncert fortepianowy zagrany lub napisany, organizacja rzeczywście utworzona i funkcjonująca, teoria naukowa zapisana za pomocą słów i symboli. O ile z podanymi przykładami nietrudno się zgodzić, komplikacje powstają z chwilą kiedy bezpośrednich autorów tych dzieł czy działań uznać mamy za jedynych ich twórców. Mimo, iż zainteresowane osoby tj. autorzy uważają to za oczywiste i niezależnie od słuszności przyznania im ogromnej większości laurów za powstałe dzieło czy działanie twórcze, pretensja do wyłączności stoi w wyraźnym konflikcie z przyjętym przez nas pojęciem karmy. W jakimś bowiem sensie, w pewnym mikroskopijnym naj-

częściej, a z pewnością niemożliwym do uchwycenia stopniu, każdy człowiek w czasie swej krótkiej wizyty na ziemi, jako członek ludzkości - budowniczy karmy - staje się współtwórcą tych wszystkich dzieł, które powstaną od momentu jego zjawienia się "na arenie". Ściślej: od momentu kiedy zacznie on nie tyle wewnętrznie formułować, ile głośno wyrażać /za pomocą języka / swoje spójne myśli.

Biologiczna odrębność, wyjątkowość i niepowtarzalność każdej jednostki wyraża się w strukturze genetycznej i wielu cechach zewnętrznych. Intelktualna i uczuciowa odrębność i wyjątkowość każdego człowieka znajduje natomiast swój wyraz w specyficznym /i niepowtarzalnym przez inne osoby/ formułowaniu myśli. Ten właśnie moment stanowi o tym, iż każdy człowiek, już przez sam fakt wyrażania swoich myśli, choćby tylko werbalnie, za pomocą języka, daje swój twórczy wkład do ogólnej karmy. Warunkiem jest oczywiście, aby wyrażona myśl miała swego odbiorcę, przynajmniej w sensie rozmowy z drugim człowiekiem. Nie wymagając od osoby wypowiadającej myśli jej utrwalenia w postaci zapisu czy dzieła sztuki musimy uznać, iż nawet "ten sam pogląd" wypowiediany przez różnych ludzi nie będzie brzmiał identycznie /o ile oczywiście wypowiadający pogląd będzie miał ambicje samodzielnego jego sformułowania raczej aniżeli operowania utartymi i powtarzanymi w całości sloganami/. W życiu codziennym wymiana ludzkich poglądów, uczuć czy obserwacji odbywa się za pomocą epizodycznych "spotkań słownych" lub rozmów towarzyskich. Rzadko się zdarza, aby jakieś oryginalne sformułowanie myśli zostało uznane jako takie przez audytorium w czasie rozmowy. Dyskusje, czy spory, w czasie których następuje wyrażanie lub wymiana sprzecznych czy w ogóle różnych poglądów bardzo rzadko kończy się uznaniem "drugiej strony"

za przekonaną lub potwierdzeniem przyjęcia obcego /nowego/ poglądu. Co najwyżej później, niekiedy po dłuższym okresie i w wyniku przemyślenia jesteśmy gotowi zaakceptować napotkaną myśl w części lub w całości w jej nowym, oryginalnym sformułowaniu naszego byłego rozmówcy. Częściej natomiast skłaniamy się do mglistego przyznania, iż rozmowa czy spotkanie słowne zrobiły na nas wrażenie, nawet jeśli mamy trudności w jego sprecyzowaniu lub nie mamy po prostu takiej ambicji. Świadomi jesteśmy jednak wpływu myśli wypowiedzianych przez innych na nasze własne działanie, nasz sposób spojrzenia na świat zewnętrzny lub też na nas samych. W wypadku osoby, uznanej według pojęć konwencjonalnych za twórczą /literat, malarz, naukowiec/ wspomniany wpływ musi w jakimś stopniu znaleźć wyraz w dziele czy działaniu twórczym przyszłego autora. A przecież dotąd wspomnieliśmy jedynie o roli wpływu świadomego. Ta część wpływu innych osób na nas samych, wpływu który sobie uświadamiamy, jest niewątpliwie dużo mniejsza od wpływu nieświadomego, tj. wpływu innych, z którego nawet nie zdajemy sobie sprawy. Uznać więc musimy, iż w społecznym procesie kontaktów międzyludzkich każdy człowiek ma swój twórczy wkład do ogólnego dorobku lub karmy nawet, jeśli nie pozostawi "po sobie" żadnego śladu poza wypowiadaniem swoich myśli i nie otrzyma nigdy i od nikogo potwierdzenia ich wpływu na innych.

### O przypadku, winie i sensie życia

Przyjęcie aktualnego naukowego poglądu o procesie ewolucji i uznanie roli genetycznego przypadku w sformułowaniu Jacques Monod nie musi bynajmniej przyczyniać się do naszej indywidualnej alienacji i poczucia zagubienia w niewymiernym świecie. Wprost przeciwnie. Nie tylko bowiem z bio-



logicznego, ale - co dla nas ważniejsze - z filozoficznego punktu widzenia rola przypadku ze wszech miar zasługuje na uznanie. Byłoby więc rzeczą całkowitego przypadku, iż urodziłem się w rodzinie bogatego kupca brylantów w Antwerpii, nie zaś w jednej z setek tysięcy rodzin żyjących /i umierających/ na ulicy w Kalkucie. Uświadomienie sobie mojej uprzywilejowanej sytuacji może mieć dla mnie - jeśli to tylko do końca przemyślę i właściwie wykorzystam - dobroczynne skutki w zakresie mojego samopoczucia, świadomości własnej oraz odniesienia do reszty rodzaju ludzkiego, w sensie zrozumienia pourquoi vivre i jakiejś "własnej roli" w okresie "krótkiej ziemskiej wizyty". Przeciwwstawienie sytuacji bogacza z Antwerpii i rękodzielnika z Kalkuty jest oczywiście celowo krańcowe. Uznajmy jednak, że każda moja sytuacja czy środowisko, w którym drogą przypadku się znalazłem jest relatywnie lepsza od okoliczności, sytuacji czy środowiska wielu innych ludzi. Oni wszak również /przynajmniej przez sam fakt urodzenia się/ stali się podmiotami swych warunków czy udziałem swego losu drogą zupełnego przypadku, tj. bez ich własnej woli. Z faktu, iż ujmując rzecz relatywnie, sytuację własną uznać muszę zawsze za uprzywilejowaną czy lepszą od wielu innych ludzi, wynikają bardzo poważne konsekwencje w zakresie postulatu comment vivre. Zakładam oczywiście, iż posiadam pewne podstawowe poczucie sprawiedliwości i chciałbym móc uważać siebie za tzw. przyzwoitego człowieka.

Podstawową konsekwencją będzie więc zobowiązanie "wobec drugiego, mniej uprzywilejowanego człowieka", pojęte w bardzo szerokim sensie. Już sama świadomość tego zobowiązania nadaje mojemu życiu istotny cel. Wysiłek zaś jaki wkładam w wywiązanie się z tego zobowiązania daje mi zrozumiałe poczucie satysfakcji, nawet /a może szcze-

gólnie/ wówczas, kiedy adresat tego wysiłku nie jest świadomy mojego w nim udziału. Natomiast forma, w jakiej to następuje jest rzeczą drugorzędną; istnieją po temu wielorakie sposoby i niezliczone okazje, zależnie od potrzeb, okoliczności, osobowości zainteresowanych jednostek i innych czynników. Każdy kto miał kiedyś sposobność spełniania tak pojętego zobowiązania nie mógł nie doświadczyć uczucia głębokiego zadowolenia i świadomości własnej przydatności. Ta świadomość z kolei nadaje życiu dodatkowy wymiar wartości, proporcjonalny rzecz jasna do stopnia włożonego wysiłku czy poświęcenia. W tym miejscu konsekwencje uświadomionego sobie zobowiązania "wobec drugiego człowieka" doznają jednak istotnych komplikacji. Okazuje się bowiem, iż większość z nas nie jest w stanie zdobyć się w praktyce na taki stopień wysiłku czy osobistych wyrzeczeń, aby z przyjętego w sensie moralnym zobowiązania wywiązać się całkowicie, tj. do logicznego końca. Konsekwentne spełnienie przyjętej przez nas normy etycznej wymagałoby wszak stopnia poświęcenia niwelującego fakt własnego uprzywilejowania i gotowości zrównania własnej sytuacji i dzielenia własnego losu z osobą uznaną dotychczas za mniej uprzywilejowaną.

Jest chyba rzeczą ludzką, iż tego rodzaju przypadki całkowitego poświęcenia dla innych należą do rzadkości. Nie wolno też chyba nikomu tak wielkiego stopnia wyrzeczeń od nikogo oczekiwać, a tym bardziej wymagać. Przyznanie tego faktu nie niweluje jednak niewesołej prawdy, iż w praktyce częściowo tylko spełniona została przyjęta przez nas dobrowolnie norma etyczna. Nie sprowadza się to wyłącznie do stwierdzenia braku konsekwencji w wykonaniu powziętej decyzji. Znacznie więcej: wymaga to bowiem uznania, w sensie podstawowym, pewnych granic własnej słabości.

Następstwem uznania własnej słabości będzie - nietrudno się dziwić - jakieś poczucie winy. W tym miejscu dokonamy jednak w podjętym procesie introspekcji niespodziewanego odkrycia: zaakceptowanie takiego poczucia, gotowość przyznania mu odtąd należnego, stałego miejsca w naszym życiu duchowym nie doprowadzi nas bynajmniej do nastroju klęski czy kapitulacji. Wręcz przeciwnie. Stwierdzimy, że nowa świadomość zwiększa naszą wrażliwość i tym samym podnosi o szczybel wyżej poziom naszej percepcji i zrozumienia otaczającego nas świata. Za posiadanie takiej umiejętności konieczna jest oczywiście odpowiednia zapłata. Poczucie winy - powiedzmy to bez obawy o popadanie w patos - to w końcu nic innego, jak nasz własny udział w cierpieniu drugiego człowieka. Nadaje to zaś jakiś wyższy wymiar sensu naszemu własnemu życiu.

Jerzy Boniecki

# ŚWIADECTWA

ROZMOWA ZE STEFANIĄ KOSSOWSKĄ, PISARKĄ,  
REDAKTORKĄ LONDYŃSKICH "WIADOMOŚCI"

- Kontynuowała Pani dzieło Mieczysława Grydzewskiego, dobrze go Pani znała. Jakim człowiekiem był redaktor "Wiadomości" na codzień?

Stefania Kossowska: Żył tylko swoim piśmem. Wstawał o szóstej rano - mieszkał - pod Londynem - i przyjeżdżał do Londynu pierwszym pociągami, razem z robotnikami zatrudnionymi w londyńskich fabrykach. Do dziewiątej pracował w redakcji i przed przyjściem Antoniego Bormana, z którym w 1924 roku założył "Wiadomości Literackie", a który zajmował się sprawami finansowo-administracyjnymi, uciekał, żeby się z nikim nie widzieć, do czytelni British Museum. Jego miejsce w czytelni było zawsze zastawione książkami, tak żeby się nikt do niego nie przysiadł. Grydzewski by chyba dostał szału, gdyby ktoś usiadł koło niego i spróbował, bo ja wiem, obgryzać paznokcie albo brzęczeć kluczami. O pierwszej szedł na obiad do pobliskiej restauracji, czasem na pół godziny wpadał do redakcji - nie było to daleko, "Wiadomości" miały swoją siedzibę na Great Russell Street, naprzeciwko muzeum - zabierał pocztę i znów uciekał. Wracał o piątej, kiedy już nikogo w "Wiadomościach" nie było, i siedział do ostatniego pociągu, którym wracał do domu o dwunastej.

- W jaki sposób porozumiewał się ze współpracownikami?

SK: Pisał na maszynie króciutkie listy. Trzy zdania z dziesięcioma odręcznymi poprawkami. "Dziękuję", "Będę o tej i o tej..." Nie znosił telefonu, żał mu było każdego kwadransa na rozmowę. Jeśli się z kimś spotykał, to przeważnie w czasie lunchu. Wyłączył się z życia towarzyskiego, z nikim się nie widywał. Myśmy z mężem byli chyba jedynymi, do których przychodził na kolację. Te kolacje to cały rytuał. Tylko w trójkę, tylko w niedzielę, punktualnie co do sekundy. Był czarującym gościem, zawsze serdeczny, podniecony wszystkim, co mu się ostatnio przydarzyło, i od razu zaczynający o tym opowiadać. Praca była dla Grydzewskiego jedyną przyjemnością, narkotykiem, on się tą pracą zabijał. Mając 72 lata dostał udaru mózgu. Przez trzy lata żył jeszcze w zakładzie, sparaliżowany, pod koniec nie widzący. To była skłonność rodzinna. W ten sposób umarli jego rodzice, on sam się z taką śmiercią liczył. I mimo to nie oszczędzał się, harował przez 18 godzin na dobę.

- Czy to prawda, że chciał te swoje ukochane "Wiadomości" zabrać z sobą do grobu?

SK: Tak. Liczył po cichu, że się "Wiadomości" skończą razem z nim. "Wiadomości" były prywatną własnością Grydzewskiego, tak samo jak przed wojną "Wiadomości Literackie". Strzegł jej zazdrośnie i nikogo do niej nie dopuszczał. Nawet Borman, jego najbliższy współpracownik, nigdy nie wiedział, co się ukaże w najbliższym numerze. Było wielkim wyrzeczeniem ze strony Grydzewskiego, że się zgodził, by "Wiadomości" wychodziły nadal, już nie pod jego redakcją, w czasie jego choroby i po jego śmierci. Ale tych "nowych" "Wiadomości" on już nigdy nie czytał; gdy Borman przynosił mu do zakładu nowy numer, Grydzewski go



nawet nie otwierał, czasem tylko spojrział na ostatnią stronę, na swoją stałą rubrykę "Silva rerum", którą prowadził, dopóki mu zdrowie pozwalało.

- Grydzewski nie tylko oddał swoją własność, ale też zabezpieczył jej byt, stwarzając fundusz...

SK: Nie było żadnego funduszu. Nikt nie wiedział, w jaki sposób Grydzewski zdobywał pieniądze na wydawanie "Wiadomości". Raz dostał jakąś zapomogę stąd, raz stamtąd, jego manewry finansowe to cała historia. Jak już był w zakładzie, Antoni Borman otrzymał z Niemiec odszkodowanie, parę tysięcy funtów, i wkrótce umarł. Grydzewski nie znosił się z Bormanem - z powodów czysto charakterologicznych, to byli dwa zupełnie inne typy ludzkie - ale byli wobec siebie niezwykle lojalni. Oba samotni zrobili na siebie wzajemnie testamenty i po śmierci Bormana to jego odszkodowanie przeszło na Grydzewskiego. Grydzewski stworzył trust - po polsku to się chyba nazywa spółka powiernicza - powołał do niego Wierzyńskiego, Sakowskiego, Raczyńskiego i mnie, i nam właśnie przekazał "Wiadomości". Następcą Grydzewskiego został Michał Chmielowiec - od listopada 1966 roku jego nieformalny zastępca - poeta, krytyk literacki, pracownik Radia Wolna Europa, człowiek świetnie się do tej pracy nadający i niezwykle do niej zapalony. Chmielowiec redagował pismo przez dwa lata, ale w styczniu 1969 roku poszedł do szpitala na operację katarakty obu oczu. I wtedy zaczęła się tragedia, kto go zastąpi? Juliusz Sakowski mnie przydusił, żebym się zgodziła, tak jak wcześniej przydusił Grydzewskiego, żeby się zgodził na dalsze wychodzenie pisma. Ja - bardzo niechętnie - byłam dziennikarką, ale nigdy gazety nie redagowałam - wyraziłam zgodę. I jakoś mi poszło. Chmielowiec był poważnie chory, szedł do szpitala na dwa miesiące, na pół roku, na trzy

tygodnie i wtedy ja go zastępowałam. Było to o tyle zabawne, że myśmy nigdy nie pracowali razem w redakcji. Raz tylko, w ciągu godziny, Chmielowiec powiedział mi co i jak, pokazał jakieś teczki... Przez cały 1973 rok Chmielowiec już nie przychodził, na początku 1974 zmarł i wtedy ja - z konieczności - zostałam redaktorem "Wiadomości".

- Dlaczego z konieczności? Nie było chętnych na to stanowisko?

SK: Owszem, byli. Tacy redaktorzy, co chcieli tylko dawać teksty maszynistce, to by się znaleźli. A tu trzeba było redaktora, który będzie jednocześnie dyrektorem administracyjnym, kasjerem, maszynistką. W "Wiadomościach" zajmowałam się dosłownie wszystkim: odpisywałam na listy, obliczałam honoraria, załatwiałam sprawy bankowe, nie mówiąc już o czytaniu i adiustowaniu tekstów, łamaniu numeru, wybieraniu zdjęć i ilustracji, robieniu rewizji... Urzędnik przychodzący na trzy godziny i załatwiający prenumeraty oraz pani - też na trzy godziny do pomocy w korekcie, no i ja - to była przez te wszystkie lata cała redakcja "Wiadomości".

- Redagowała Pani "Wiadomości" w stylu Grydzewskiego, stylu nieco anachronicznym, nie przystającym do tego zwłaszcza, co się działo w kraju pod koniec lat siedemdziesiątych. Czy nie myślała Pani o odświeżeniu bądź nawet zmianie formuły pisma, o wprowadzeniu na jego łamy - w większym niż dotychczas zakresie - młodych twórców z kraju i tzw. nowej emigracji, o wyjściu poza polski zaścianek?

SK: O odświeżeniu - myślałam, o zmianie - nie. Zmiana formuły pisma byłaby sprzecznością z Grydzewskiemu. Grydzewski miał swoje zasady i te zasady trzeba było uszanować. Stronił od bieżącej polityki i nigdy nie zamieszczał artykułów politycznych na aktualne tematy. Był lojalny wobec

swoich autorów - jak się już kogoś drukowało, to nie było mowy o atakowaniu go na łamach. Nie uznawał żadnych rocznic - jak mu się powiedziało, że jest stulecie Niemcewicza, to można było być pewnym, że nic się o Niemcewiczu w najbliższym czasie nie ukaże. Na starość zaczęły mu się nadzwyczaj podobać wspominki rozmaitych paniusz ze szlacheckich dworów - drukował tego tyle, że już człowiek wiedział na pamięć, co się w tych dworach działo - i z tymi wspominkami ja, oczywiście, musiałam zrobić porządek. I podobnie z poezją, bo Grydzewski - to bardzo śmieszne powiedzieć - człowiek, który właściwie stworzył całą szkołę poetycką, tak naprawdę nie znał się na poezji. Jemu się podobał Asnyk, Konopnicka i ich odpowiedniki w nowoczesnej literaturze. Czasem drukował wierszydła tak okropne... Tej akurat tradycji ja kontynuować nie mogłam. Drukowałam rzeczy, które Grydzewskiemu na pewno by się nie spodobały, drukowałam - z największą przyjemnością, zresztą - wiersze młodych poetów z kraju, niektórych pod prawdziwym nazwiskiem, innych pod pseudonimem. Ale o żadnej radykalnej zmianie linii programowej pisma nie mogło być mowy. Po pierwsze dlatego, że ja sama nie miałam ambicji nowatorskich, a po drugie - że nie było młodych, którzy chcieliby przejąć "Wiadomości". I chyba dobrze, że tak się stało. "Wiadomości" zeszły ze sceny wraz z pokoleniem, które je stworzyło. Pokolenie nowe, pokolenie "Solidarności" powinno mieć i ma pisma nowe, inaczej robione i dla innych odbiorców przeznaczone.

- Czy "Wiadomości" zeszły ze sceny "honorowo", tak jak tego chciał Grydzewski?

SK: O, tak! Nie było grosza długu, wywiązaliśmy się ze wszystkich zobowiązań. Dzięki pomocy pani Karoliny Lanckrońskiej udało mi się znaleźć "schron" na archiwum "Wiadomości" - mają one swój własny pokój

w Fundacji Lanckrońskich, tam są dokumenty, listy od autorów, a nawet meble, biurko Grydzewskiego... Nic się nie zmarnowało. Ostatni numer pisma - o znacznie powiększonej objętości - jest taki, że nawet Grydzewski by się go chyba nie powstydział.

- Do ostatniej chwili trwała zbiórka pieniędzy na fundusz mający ratować pismo, prezydent RP na uchodźstwie, Edward Raczyński, apelował, by nie dopuścić do "zagaśnięcia pochodni wyniesionej z Kraju", ale "Wiadomości" przestały się ukazywać - paradoks? - na początku 1981 roku, gdy świat - i Polacy po nim rozsiani - z napięciem wpatrywał się w Polskę.

SK: Żaden paradoks, tylko spłot okoliczności. Finansowych, technicznych, życiowych. Przy dzisiejszych kosztach druku i opłat pocztowych nawet największa ofiarność czytelników nie zabezpieczy bytu takiego pisma, jakim były "Wiadomości". Potrzebna jest stała dotacja, a tej "Wiadomości" nie miały. Czytelnicy pisali do nas: "Nie macie pieniędzy, a drukujecie się na takim drogim, kredowym papierze", nie wiedzieli, że to był właśnie papier najtańszy, bo mało używany, niemodny.

- Niemodny też był format "Wiadomości". Ale trzy ostatnie numery ukazały się w formacie nieomal o połowę zmniejszonym, już jako miesięcznik. Czy przejście z cyklu tygodniowego na miesięczny było ostatnią próbą ratowania pisma?

SK: To była konieczność techniczna, a nie jakaś rozpaczliwa próba ratunku. Ja już nie widziałam możliwości dalszego wydawania "Wiadomości". Wszystko się kończyło. Wymówiono nam lokal, drukarnia była tak stara, że się już nie mogła zmodernizować, jej właściciel bankrutował, a zecer, który od lat składał "Wiadomości", zmarł. Ostatnie numery drukowałam w "Librze", dla której cykl tygodniowy był nieosiągalny, a i z miesięcznym miała spore trudności,



dość powiedzieć, że ostatni numer - kwietniowy - wyszedł dopiero w czerwcu.

- Czy "zgaśnięcie" "Wiadomości" wiązało się w jakiś sposób z niemożnością znalezienia następców, z konfliktem młodzi - starzy?

SK: Ten problem w ogóle nie istniał.

- Może w piśmie. A tak na codzień?

SK: Konflikt niewątpliwie istnieje, ale też musi się skończyć, bo kończy się ta pierwsza, wojenna emigracja. Młodzi z kraju przyjeżdżający tu, do Anglii, widzą bogactwo starej emigracji, te jej domy, ogródki, ale nie chcą wiedzieć, że ta zamożność została wywalczona pazurami, pracą ponad siły w ciężkich powojennych czasach. Że emigracja dorobiła się domów, ale też i chorób. Młodym się wydaje, że to oni pierwsi wymyślili opór przeciw komunizmowi, że to oni są największymi ofiarami systemu komunistycznego, że starzy nic nie rozumieją i mają tylko obowiązki. Zapominają, że bez emigracji wojennej mieliby tu sto razy gorzej, bo mieliby zaczynać od początku. Są niecierpliwi, chcieliby wszystko od razu, już dziś, bez wysiłku.

- Przytłaczająca większość nowych emigrantów przybyła tutaj z powodów ekonomicznych, a nie politycznych, w czym przypomina Polonię amerykańską. Pani w swojej publicystyce wielokrotnie przestrzegała przed przeistaczaniem się bojowej emigracji politycznej w pogodzoną z władzami PRL, sentymentalną Polonię.

SK: Zaczniemy od tego, że nikt z nas, którzy w czasie wojny znaleźli się na uchodźstwie, nie myślał o emigracji, o pozostaniu tu na stałe. Myśmy wszyscy codziennie wracali do Polski. Moja mama kupowała różne rzeczy do mieszkania w Warszawie, robiła zapasy, przez całą wojnę szykowała się do powrotu. Gdy przyszła Jałta, cofnięcie uznania rządowi, przeżyliśmy to w sposób straszny. Nasze życie się prze-



łamało. Większość - dziewięćdziesiąt pięć czy dziewięć procent - zdecydowała się do Polski nie wracać. I od tego momentu można o nas mówić jako o emigracji politycznej, choć my - ta świadoma swoich zadań część uchodźstwa - raczej tego określenia nie używamy. Emigrant to ktoś, kto wyjeżdża ze swojego kraju, nas na obczyznę rzuciła wojna. Oczywiście, są wśród Polaków, którzy pozostali w Anglii, emigranci różnego typu. Jest inteligencja, którą osiedliła się w Londynie - to ci, którzy stworzyli pewną filozofię trwania na emigracji. Są byli żołnierze, osadnicy z Kresów, ludzie, którzy nigdy przed wojną nie byli za granicą; ich patriotyzm przypomina nieco patriotyzm Polonii amerykańskiej, choć jest od amerykańskiego mniej "pokojowy", zabarwiony doświadczeniami z Rosji, zawsze z pieśnią "Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie" i orłem w koronie. Ci emigranci, tak jak i my, nienawidzą komunizmu, ale poprzyjmowali angielskie paszporty, chodzą do reżymowej ambasady po wizę do w ł a s n e g o kraju, jeżdżą do komunistycznej Polski.

- A swoją polskość często ograniczają do kultuwowania folkloru, czego również Pani nie lubi.

SK: Oczywiście. Ja w ogóle nie jestem zwolenniczką folkloru - wydaje mi się, że to najłatwiejsze wyjście, jakby stworzone dla ludzi, którzy wolą zajmować się pozorami, a nie rzeczami istotnymi, i swoją polskość traktują jako ozdobnik, a nie sens życia. Krakowski strój czy siano pod obrusem na wilię może mają jakieś znaczenie, ale mnie nie przekonują. Tak jak nie przekonują mnie dzieci, które nie mówią po polsku, a tańczą krakowiaka. Bardziej cenię umiejętność mówienia czy pisanie po polsku niż umiejętność wywijania hołubców.

- Jakie są w ogóle zadania emigracji? Tej nowej i tej starej?

SK: Te zadania się nie zmieniły. Emigra-

cja musi nadal dawać świadectwo, że Polska nie jest wolna. Musi podtrzymywać polską kulturę i chęć odzyskania niepodległości, pomagać krajowi. Emigracja to ta część narodu, która jest wolna; im więcej wśród niej ludzi, którzy działają na rzecz niepodległej Polski - w różny sposób: w pracy zawodowej, literackiej czy naukowej, poprzez działalność społeczną czy polityczną - tym lepiej. Jednym z pierwszoplanowych zadań - mówiliśmy już o tym - jest utrzymanie tych licznych instytucji kulturalnych czy charytatywnych, które emigracja wojenna zbiorowym wysiłkiem stworzyła.

- Wszystkich? Nowa emigracja jest znacznie mniej liczna od starej, obce są jej też spory, które podzieliły emigrację wojenną.

SK: Przynajmniej tych najważniejszych: Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego oraz Biblioteki Polskiej. Jest rzeczą naturalną, że jedne instytucje, organizacje czy partie umierają, a inne - w miarę potrzeby - się rodzą. Taką instytucją, która przeżywa dziś drugą młodość, jest Komitet Obywatelski Pomocy Uchodźcom Polskim. Powstał w roku 1940, by opiekować się Polakami napływającymi do Wielkiej Brytanii, i przez wiele lat pomagał byłym żołnierzom w urządzaniu się, zakładaniu nowych warsztatów pracy, prowadził bezpłatną przychodnię lekarską. Później jego pierwszoplanowym zadaniem stała się opieka nad ludźmi starymi i często samotnymi - komitet stworzył dla nich specjalny dom, "Antokol", pod Londynem. Dziś w związku z napływem nowej fali emigrantów z Polski komitet znowu udziela im pożyczek i pomocy na zagospodarowanie się.

- Czy ci nowi emigranci napływający do Londynu w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych zburzyli stereotyp Polaka - emigranta wojennego, żołnierza alianckiej armii - dobrego, skromnego i uczciwego pracownika?

SK: Tak, ta nowa emigracja jest niewątpliwie inna, bo ukształtowała się przecież w innych warunkach. Czy pan wie, że istniał tu w latach czterdziestych Komitet Opieki nad Więźniami, który rychło się rozwiązał, bo nie miał nic do roboty? Było może kilkunastu więźniów Polaków w angielskich więzieniach - to wiele mówi o morale ludzi, którzy się tutaj osiedlili. Kiedy ja tu przyjechałam, Londyn - mimo conocnych bombardowań - był miastem cichym i spokojnym. Obowiązywało zaciemnienie, ale ni słyszałam, żeby ktoś kogoś w tych ciemnościach napadł - dziś boję się wyjść wieczorem na ulicę. Jedyni Murzyni, jakich znałam, nazywali się Wojtek i Leszek, byli polskimi harcerzami, ich matka była Polką, a ojciec muzykiem jazzowym w Krakowie. Polacy pracowali ciężko, mieszkali w prymitywnych warunkach. Emigracja to nie były i nie są żadne kokosy, tylko długie lata pracy na domek, na wykształcenie dzieci, na zabezpieczenie sobie starości.

- Jak powodziło się wtedy pisarzom, poetom?

SK: Żle. Wszystkim Polakom było wtedy bardzo ciężko. Mieli za sobą przejścia wojenne, nadszarpnięte zdrowie - i minimalne możliwości zarabiania na życie pisanem, bo pisma polskie były i są biedne. Przyjmowali więc każdą pracę - dopiero po kilku latach większość z nich znalazła zajęcie najbliższe twórczości literackiej: pracę dziennikarską w BBC, Głosie Ameryki, a przede wszystkim w Wolnej Europie - w Monachium lub w jej londyńskiej filii.

- Niektórzy wrócili do kraju. Wcześniej lub później. Wrócił Tuwim, Słonimski, Pruszyński, Zofia Kossak, Kuncewiczowa, Cezary Makiwicz, Parnicki, Wańkowicz...

SK: Nie ma prostej odpowiedzi, dlaczego pisarz wraca do okupowanego kraju. O powrocie decyduje najczęściej splot okoliczności: tęsknota za ojczyzną, trudne warunki

egzystencji na emigracji, brak czytelników, jakieś koncepcje polityczne... Byli wśród nas ludzie, którzy po prostu nie mogli fizycznie znieść izolacji od swego kraju. Taki był Zygmunt Nowakowski, taki był Adam Ciołkosz - oni aż do końca nie mogli sobie znaleźć w Anglii miejsca, żyli tu jak na Marsie, ale byli twardzi, nie wrócili. Kuncewiczowa jest z tych, co to są zawsze z każdym rządem. Chciała wrócić do swojego domu w Kazimierzu, chciała żyć wygodnie, jeździć za granicę, dostawać nagrody. Nie, to nie była świetlana postać.

- Pruszyński.

SK: Wrócił i zapłacił za to życiem. On nigdy nie napisał ani jednego prokomunistycznego słowa. Miał swoje koncepcje - że Wielopolski, że trzeba się z Rosją porozumieć, że wszystko się ułoży. Ku swojemu niezadowoleniu został mianowany posłem w Holandii. W pewnym momencie wezwano go z powrotem do Polski. On już wiedział, że chodzi o działalność w czerwonej Hiszpanii - wtedy w Polsce rozprawiano się akurat z dąbrowszczakami - i ta jego śmierć w wypadku samochodowym raczej nie była przypadkowa. Powrót Cate Mackiewicza to sprawa jego ambicji politycznych - zrobiono go tu, na emigracji premierem, ale nikt tej nominacji nie brał poważnie. Mackiewicz tak się nadawał na premiera, jak... Szkoda słów.

- Słonimski, Tuwim.

SK: Tuwim, polityczny idiota, był zaczerowany komunizmem i Rosją. Pisał pięknie po polsku, to wszystko, co mogę powiedzieć o Tuwimie, polskim patriocie. Słonimski to z kolei, według mnie, "bezpieczny bohater", który tak się ustawia, żeby niczym nie ryzykować. Namawiał innych do powrotu, ale sam tak od razu nie wrócił, choć się po tamtej stronie zadeklarował. Pozostał w Londynie jako dyrektor reżymowego Instytutu Kultury Polskiej, później uciekł stąd na



parę lat do UNESCO i wrócił do Polski dopiero po śmierci Stalina, kiedy już mu nie groziło. Stał się w kraju bohaterem młodzieży, znanym opozycjonistą i jako opozycjonistę podejmowano go po latach w Londynie.

- Dlaczego mówi Pani, że uciekł? Czy był tutaj bojkotowany?

SK: Oczywiście. Nikt, absolutnie nikt nie utrzymywał z nim żadnych stosunków, wtedy takie sprawy stawiało się na ostrzu noża. Ludzie byli obolali, jakby pokryci ranami. Łatwo było człowieka dotknąć. Współpraca z reżymem, jakiś kontakt z reżymowymi instytucjami, drukowanie w kraju i akceptowanie w ten sposób komunistycznej dyktatury - było nie do pomyślenia!

- Pani nigdy nie myślała o powrocie? Nawet po październiku 1956?

SK: Nie, nigdy nie miałam złudzeń. Ale też moja sytuacja była może łatwiejsza: nie miałam w Polsce nikogo bliskiego, moi rodzice, mąż byli tutaj. Mąż wrócić nie mógł - wyszedł z sowieckiego więzienia po układzie Sikorski-Majski mając do odsiedzenia jeszcze cztery lata. A ja byłam i pewnie nadal jestem na czarnej liście cenzury PRL.

wiosna 1986

rozmawiał: Marek Korab

Stefania Kossowska rozpoczęła zawodową pracę pisarską w latach trzydziestych /pod panińskim nazwiskiem Szurlejówna/, publikując swoje artykuły w codziennej prasie warszawskiej, tygodniku literackim "Prosto z mostu", Ossolineum i Polskim Radiu. Podczas wojny była referentką spraw literackich w Ministerstwie Informacji i Dokumentacji rządu RP. Współpracowała z wieloma polskimi pismami za granicą, z BBC i Radiem Wolna Europa. Od 1953 publikuje swoje opowiadania, reportaże i recenzje na łamach "Wiadomości", tam też prowadzi stałą rubrykę podpisywaną: Big Ben. Od 1974 do 1981 jest redaktorką "Wiadomości". Opublikowała "Mieszkam w Londynie" /1964/, "Jak cię widzę tak cię piszę" /1973/ oraz antologię "Wiadomości na emigracji" /1968/. Od 1940 mieszka w Londynie.



# PROZA

WACŁAW SOLSKI

## DESZCZ

W tym czasie, w końcu trzydziestego ósmego roku, mieszkalem w Paryżu niedaleko teatru Odeon i byłem straszliwie samotny. Pracowałem w fabryce przy montażu filmów, wśród moich towarzyszy pracy było z pewnością dużo ludzi sympatycznych i ciekawych, ale dla mnie zamkniętych, czego nie usiłowalem zmienić. Dni w fabryce jednak mechanicznie mijały, najgorsze były niedziele. Spędzałem je błądząc po mieście. Przechodnie, których omijałem, byli pozbawieni twarzy, przypominali mi nieprawdziwe figury, niedbale wymalowane na deskach, jakie się czasem widzi na strzelnicach.

Jednej niedzieli wyszedłem właśnie z domu i szedłem w stronę Ogrodu Luksemburskiego, kiedy zobaczyłem R. Szedł trochę pochylony i minął mnie nie dając żadnego znaku, jakby mnie nigdy w życiu nie widział. Ale ja w tej samej chwili wyczułem, że zawróci. Mówiłem sobie, że musi zawrócić, bo ja tego strasznie chcę, i on też musi chcieć, tylko się boi, bo w tej dzielnicy Paryża bywa mnóstwo ludzi ze świata, który był niegdyś naszym wspólnym światem. Ktoś mógł go poznać - i mnie też - i donieść, że R. spotkał się w Paryżu ze mną, a ja jestem trędowaty. Ale jeżeli boi się ze mną spotkać, to znaczy, że go wezwali

do Moskwy po Hiszpanii i jedzie wprost do trumny. W tych miesiącach, po zwycięstwie Franco w Hiszpanii, przejeżdżało przez Paryż z Hiszpanii w drodze do Moskwy wielu polskich komunistów z Brygad Międzynarodowych. Likwidowano ich w Moskwie w szybkim tempie, ale jechali. Niektórzy nie wiedzieli, co ich czeka. Inni wiedzieli.

Usłyszałem, że R. zawrócił. Poszedłem wolniej, on też. Był tam uliczny szaleć, do którego wszedłem. R. stanął w przegródce koło mnie.

- Prędko. Ulica i numer domu.

- Rue Casimir Delavigne, tuż obok Odeonu. Numer jeden.

- Będę u ciebie koło piątej.

I zaraz znikł. Znowu Bulwar Saint-Michel, taras kawiarni Capoulade, pełen ludzi zadowolonych z siebie i świata. Pływają na samym szczycie fali, faut pas chercher à comprendre. Żyją dla siebie i już. Może tak powinno być. Może mają rację. Nie, nie mają. Czym się mierzy wartość życia człowieka na ziemi? Chyba korzyścią, jakie ich życie daje innym ludziom. Dobrymi uczynkami lub choćby usiłowaniem ich spełniania. Czyli, krócej mówiąc, trzeba żyć dla dobra ludzkości. To zdanie brzmi jak przytyknięcie w pustą tykwę, która kiedyś zawierała ziarna maku. Dla R. jeszcze widać coś zawiera. Dla mnie już nic.

x x x

R. był moim kolegą szkolnym. Chodziliśmy do gimnazjum w Łodzi przed Pierwszą Wojną Światową, ale ja wyjechałem na samym jej początku i wróciłem do Polski dopiero w 1919 roku. Wtedy to właśnie usłyszałem o nim znowu po latach. Porucznik Kurcman, który z ramienia Defensywy prowadził przeciwko mnie śledztwo, zamknął leżącą na biurku teczkę, zawołał czekającego w przedpokoju sierżanta i kazał mu przyprowadzić R., wymieniając jego imię i nazwisko. Wtedy

się dowiedziałem, że R. żyje, że się znalazł w tym samym świecie co ja i w tym samym więzieniu: w dziesiątym pawilonie Cytadeli Warszawskiej. Od tego czasu przeszło osiemnaście lat, które R. przesłużył w Kominternie. Spotykaliśmy się w ciągu tych lat w różnych krajach i w różnych miastach, najczęściej na krótko, żeby zaraz znowu wyruszyć z tą samą misją, a potem zaczęła się wojna domowa w Hiszpanii i R. posłali do Madrytu. Został komisarzem politycznym czy czymś takim w Brygadzie imienia Dąbrowskiego. Dąbrowszczaków, jednego za drugim, sprowadzano do Moskwy, zawsze przez Paryż, i to już była ich ostatnia podróż.

R. przyszedł zaraz po piątej. Wszedł nic nie mówiąc, wyciągnął trochę demonstracyjnie rękę i uściśnął moją. W jego twarzy coś drgnęło, ale się zaraz opanował.

- Siadaj - powiedziałem.

- Już zaraz. Masz coś do jedzenia? Nie zdążyłem od rana nic zjeść. Nie mogę prowadzić rozmów na zasadnicze tematy, póki mam pusty żołądek.

Miałem spirytusową maszynkę, na której zrobiłem jajecznicę, miałem też chleb. R. Jadł prędko i żarłocznie, odstawił talerz i zapalił papierosa.

- Mam nadzieję, żeś mnie otruił. Kurara, cyjanek potasu, coś takiego.

- Masz chyba nadzieję, że cię nie otrujęm.

- Powiedziałem to, co chciałem powiedzieć. Jako wybitny przywódca tureckich imperialistów, agent japońskich bankierów i wytrawny wróg proletariatu miast, i wsi, powinien mieć interes w tym, żeby mnie otruić. Gdybyś mnie otruił, sprawa byłaby załatwiona. Albo gdybyś mnie porwał. Nie możesz mnie porwać?

- Sam się możesz porwać. Przestań się śmiać, bo to nie jest śmiech, tylko wyduszony żabi rechot w błocie sadzawki.

- Sam się mogę porwać? Masz rację, tylko muszę się na to zdecydować, a gdyby mnie kto porwał... Różnica taka sama jak między samobójstwem i nadzieją, że się nagle umrze na atak serca. Porwać, jeśli już o to chodzi, mogłaby mnie zupełnie łatwo francuska policja, choćby za lewe papiery. To na pewien czas odłożyłoby sprawę, ale tylko na pewien czas.

- A ty byś chciał odłożyć ją w ogóle. Na zawsze. Chciałbyś, żeby ktoś podjął decyzję za ciebie. Wmawiasz sobie, że jak będziesz stał w piwnicy pod ścianą, to cię tam postawi jakaś wyższa siła. Nic podobnego. Sam sobie tam staniesz z własnej woli.

- Dwa i dwa cztery. Trzy i cztery siedem. To czarne, a tamto białe. A to wszystko wygląda jeszcze o wiele gorzej niż myślisz. O tyle gorzej, że wiem wszystko, co ty wiesz, i jeszcze o wiele więcej. Że Juliana zabili jak tylko przyjechał. Juliana Leszczyńskiego, wodza naszej partii. Warskiego i Waleckiego zamordowali już przedtem. I Wierę Koszutską. W Barcelonie było zebranie, przyjechał taki z Łubianki, powiedział, że była agentką polskiej policji, że ją w partii dawno o to podejrzewano, zwrócił się do mnie, żebym to potwierdził. No?

- Potwierdziłeś?

- Potwierdziłem. Jak już mówić, to wszystko mówić. Były jeszcze gorsze rzeczy. Oni mieli w Madrycie tajne więzienia - ja już dawno mówię "oni", ale tylko jak rozmawiam sam ze sobą - i w tych więzieniach torturowali i mordowali. Był taki robotnik z Sosnowca, z mojego oddziału, podejrzewali go o trockizm. Co ci tu będę dużo gadał, musiałem napisać raport, już go nie ma na świecie. Dużo o mnie wiesz? Nic nie wiesz. Tyś się z tego wyrwał dzieśnięć lat temu, jak jeszcze można było myśleć szeptem, potem było milczenie. Znałeś Arensa?

- Tego co dawniej był w Genewie?  
- Później, jak tyś się urwał, też był w Genewie. A teraz pojechał.

- Wiem. Słyszałem.

- Ale możesz nie słyszał, co powiedział, jak wsiadał do wagonu. Na dworcu w Genewie. "Lubił katatsia, liubi sanoczki woził". Rozbijałeś się saneczkami, to je teraz noś. Mądry facet, a pojechał. Musisz przyznać, że mądry facet.

- Z czego nie wynika, że musisz brać z niego przykład. Że musisz ponieść karę za to, coś powiedział o Wierze Koszutskiej i odpokutować śmierć robotnika z Sosnowca.

R. przeszedł się po pokoju, zdjął buty i rzucił się na łóżko.

- Nic nie rozumiesz. Wierę Koszutską zamordowaliby w każdym razie, to co o niej powiedziałem nie miało najmniejszego znaczenia.

- Miało. To jest mniej więcej tak, jak gdybyś brał udział w egzekucji, i prócz ciebie jeszcze dziesięciu innych strzelało do tego przywiązanego do słupa, a ty na jedenastego. Zabiliby go w każdym razie, ale tyś też strzelał.

- No tak. Też strzelałem. Nie mogę zaprzeczyć. Jeszcze chciałem powiedzieć, że robotnika z Sosnowca też by i tak zamęczyli na śmierć, ja się do tego nie przyczyniłem. Ten z Łubianki, który ze mną o nim rozmawiał, pewnie chciał mnie wybadać, chciał się dowiedzieć, jakie mam stanowisko w tych sprawach. No! Tobie się wydaje, że ja chcę odkupić jakieś tam winy, popełnione albo nie, i dlatego jadę. To jest prymityw. Powiedziałem ci o Arensie, bo mi to akurat przyszło do głowy, ale Arens był zawsze sentymentalny miękkojajec. Jeżeli wsiadę do pociągu, to z innych niż on powodów, które ci wyłożę, bo sam chcę je usłyszeć jeszcze raz. Po to do ciebie przyszedłem. Tylko daj mi odetchnąć, bo mi głowa pęka. I nogi mnie bolą. Co to jest za melodia, którą tam gdzieś radio gra? Ja ją znam.



- Pewnie, że znasz. To jest stara francuska piosenka z czasów "belle époque", a piosenki z tych czasów wędrowały wprost do Łodzi za naszych szkolnych lat.

Coś ci opowiem o innej melodii, bo mi się akurat przypomniało. Ciekawa historyjka, wskazująca, jak wielkie znaczenie ma czasami jakaś głupia melodia. Ale to ci później opowiem, najpierw chcę wyrzucić z siebie to, co we mnie siedzi jak drapieżne zwierzę i broni się pazurami i zębami, kiedy chcę je dotknąć. Tyś raz napisał coś takiego - zacytuję ci z pamięci, ale ja mam dobrą pamięć - napisałeś, że na ścieżce, czy w ogóle w życiu, jest jeszcze ścieżka, po której idzie się z przyjacielem wzdłuż toru, i w szynach odbija się księżyc, i gdzieś daleko w oknie domu pali się lampa, w którą się wierzy, bo wierzyć, jak napisałeś, można nawet w lampę, ale trzeba koniecznie w coś wierzyć. Napisałeś tak?

- Napisałem. W opowiadaniu "Po śmierci".

- No widzisz. Więc ja mógłbym w Paryżu zmywać naczynia w restauracji - to jest podobno praca, którą najłatwiej znaleźć - ale nie potrafię żyć bez lampy, o której pisałeś. A tej lampy nie ma. Znalazłeś ją?

- Nie - odpowiedziałem mu prawdę. - Nie znalazłem.

- Nie znalazłeś i nie znajdziesz. Bo jej nie ma. Ani tu, ani tam. Teraz słuchaj uważnie, co ci powiem, bo zrobiłem odkrycie, za które nikt mi nie da żadnej nagrody i nikt nie zechce uwierzyć, że jest tak jak ci powiem, ale ja wiem, że tak jest. Więc wyobraź sobie, że przychodzisz do sklepu, żeby kupić buty i usiłujesz za nie zapłacić płatkami róży. W sklepie żądają gotówki, a ty im chcesz dać za buty dzieśnięć płatków róży. Więc cię naturalnie wyrzucają ze sklepu na zbity łeb. Rozumiesz, o co mi chodzi? Te płatki róży to są całkowicie mylne pojęcia ludzkości o rusztowaniu, na którym trzyma się świat. Wszystkie ideologie, wszystkie buntury spo-

łeczne wychodzą z założenia, że świat trzeba polepszyć, zrobić coś takiego, żeby ludziom lepiej się żyło. Ja nie mówię o tym, w co się wszystkie ideologie wyradzają i do czego prowadzą, to jest inna sprawa. Ja mówię o ich założeniu, które polega na dążeniu do uszczęśliwienia ludzkości. A skąd się bierze pewność, że to jest zgodne z fundamentem, na którym świat stoi? Znikąd się nie bierze. Ja tu wczoraj widziałem na wystawie w sklepie, gdzie takie rzeczy sprzedają, ogromną rybę, która miała uzębienie jak krokodyl i oprócz tego mnóstwo dodatkowych zębów na języku i na podniebieniu. Ta ryba rzuca nam w twarz manifest wiary, którą wyznaje natura. Dodatkowe zęby wstawiła jej natura, a nie Hitler czy Stalin. Wstawiła jej po to, żeby mogła łatwiej i prędzej pożerać mniejsze ryby. Natura wcale nie chce, żeby istotom słabym lepiej się działo. Natura chce, żeby silnym lepiej się działo. Moje całe życie sprowadzało się do tego, że usiłowałem wyrwać zęby wielkim rybom, a to jest przeciwne naturze. Dorobiłem się dosyć zaawansowanej gruźlicy i teraz mają mnie zabić w piwnicy na Łubiance. No, wszystko jedno. Chciałem ci tylko jeszcze powiedzieć, że nie wierzę, żeby tam wszystkich zabijali. Niektórych pewnie tak, a innych nie. Dlaczego tych tak, a innych nie - tego nikt nie wie. Ale jest szansa, że mnie nie zabiją. Co? Powiesz, że nie ma?

- Jest. Mała szansa, ale jest. Tylko jeżeli cię nie zabiją...

- To ja wtedy będę dalej robił to, co teraz. Udawał. Jak miliony innych, którzy dawno przestali wierzyć i udają, bo nie mogą inaczej. Bo nie mają innej drogi. Bo nie widzą innej lampy. I jak już o to chodzi, to nie każdy ksiądz wierzy w Boga. A teraz ci powiem o tej melodii, która jest związana z jedną dziewczyną. Wolę mówić o tym, niż o Łubiance. No więc, mia-

łem taką dziewczyną w Berlinie, która pracowała w aparacie Kominternu. Dzięki mnie. A jakże. Była studentką w Moskwie, kiedy się z nią tam zapoznałem. Brzydka dziewczyna. Mała, figura do niczego, bardzo semickie rysy. I do tego wielkie oczy, prawdziwe, rozumiesz, jak na ciebie patrzyła, to aż do środka, żadnej myśli nie mogłeś przed nią ukryć. Raisa. Miała na imię Raisa. Zakochała się we mnie. Chciała, żebym ją zabrał do Berlina na nielegalną robotę, bo mnie wtedy posyłali do Berlina. Złatwiłem to. To była szalenie dobra dziewczyna, było mi z nią szalenie dobrze...

- Nie żyje?

- Nie żyje. Widać było z mojej twarzy? Czekaj, ja do tego dojdę. Więc ta sprawa z melodią. Z piosenką, która się nazywała "Sagt mir warum". Szmirowaty przebój, który wtedy wszędzie grali. A Raisa była niemuzykalna. Wciąż nuciła tą piosenkę i zawsze fałszywie. Fałszowała zawsze w tym samym miejscu, przy końcu. A ja jestem na to wrażliwy. Powiedziałem jej raz i drugi, ale to nie pomogło, znów sobie nuciła ten szlagier, jak się krzątała u mnie w pokoju, nieumyślnie, tylko pewnie bezwiednie, ale mnie to irytowało, i zrobiłem jej raz awanturę, nakrzyczałem na nią. Ona wtedy popatrzyła na mnie swoimi gorącymi oczami, chciałem obrócić wszystko w żart, ale ona powiedziała poważnie, że jeżeli jej zabronię śpiewać ten przebój, to posłucha i nie będzie go nigdy śpiewała. I dotrzymała słowa. To już jest właściwie wszystko. Tylko jeszcze dochodzi, że dostałem od niej w Madrycie list. Ktoś przywiózł z Moskwy. Bo ją odwołali z Berlina i była w Moskwie. Napisała w liście, że nigdy nie śpiewa piosenki "Sagt mir warum", nawet kiedy nikt nie słyszy, bo mi obiecała, że jej nie będzie śpiewać. Jak ci się to podoba?

- Skąd wiesz, że nie żyje?

- Wiem. Te wiadomości przenikają. Pracowała za granicą, może ją tam zwerbowali

do jakiegoś wywiadu. Zresztą była długo za granicą, za dużo widziała, za to teraz zabijają. Ten list napisała jak jeszcze była na wolności, wzięli ją nie od razu.

Zaraz potem, jak to powiedział, R. wyszedł. Dopiero wtedy usłyszałem, że pada ulewny deszcz. Deszcz bił w szyby mojego pokoju, jakby ktoś do mnie uparcie stukał, a kiedy stanąłem przy oknie, zobaczyłem, że musiał padać już długo, bo utworzył na chodniku wielkie kałuże, które przecinały ostre krople. R., pochylony, szedł po ulicy przez kałuże, potoki deszczu siekły jego nogi, jakby chciały nie tylko przepędzić go na zawsze, ale zmyć ślady jego kroków, żeby nic nie świadczyło, że chodził kiedyś po ziemi.

Wiadomości o tym, że go w Moskwie aresztowali przyszły do Paryża dopiero po kilku miesiącach. Potem nic już o nim nie było słyhać.

Pisane w październiku, 1982.

x x x

Wacław Solski urodził się w Łodzi w roku 1897. Szlak jego życia prowadził przez działalność rewolucyjną w gimnazjum do SDKPiL i Rosji, gdzie zostaje działaczem partii bolszewików. W 1929 roku odchodzi z ruchu i rozpoczyna życie na własny rachunek. Wiele lat przebywał w Paryżu i Londynie. Podczas wojny wyjechał do Nowego Jorku, gdzie dotąd mieszka. Był szoferem ciężarówek, reżyserem filmowym, wykładowcą na uniwersytecie. Pisywał w kilku językach. Wydał wiele tomów powieści i opowiadań po rosyjsku w Związku Sowieckim. Jego sztuki teatralne, napisane po francusku, grano przed wojną w Paryżu i Brukseli. Od II wojny światowej pisze już tylko w języku polskim. W swoich wspomnieniach fascynująco opisuje powrót do języka ojczystego, jego



powtórne odkrycie i bariery, które musiał pokonać. Utwory swoje zamieszczał przeważnie w londyńskich "Wiadomościach". Od lat prezentuje je na łamach "Nowego Dziennika" w Nowym Jorku. Między innymi wydał następujące tomy opowiadań, szkiców i powieści: "Przy świetle księżyca", "Pociąg odchodzi od północy", "Rysy twarzy", "Czarna spowiedź", "Między Chicago i Wenecją". Wydawane były nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej i Księgarni B. Świderskiego w Londynie. Niezwykle ważną książką w dorobku Wacława Solskiego są "Moje wspomnienia", wydane nakładem Instytutu Literackiego w Paryżu, w roku 1977. Przedstawia w nich swój udział w ruchu komunistycznym. Miał wtedy kontakty z czołowymi postaciami rewolucji, Leninem, Trockim, Bucharinem, Radkiem, Warskim i innymi. Był już zawodowym działaczem i przypłacił to kilkuletnim pobytom w więzieniu. Brał udział po stronie sowieckiej w pertraktacjach pokojowych w Rydze po wojnie 1920 roku. Z ramienia Kominternu wyjeżdża do Berlina i Paryża. Zostaje zagranicznym korespondentem "Izwestii". W Mińsku wydawał polską gazetę. Działał w środowisku literackim Moskwy. Aż wreszcie jego życiorys dochodzi do dramatycznej kulminacji. Wacław Solski zrywa z ruchem komunistycznym. Był człowiekiem młodym, miał namiętną potrzebę ulepszania świata, toteż zerwanie stało się bolesnym wstrząsem. - Odszedłem z jednego brzegu - napisał w swoich wspomnieniach - a drugiego nie było widać. - Po latach zaś taką refleksją opatrzył swoją komunistyczną przeszłość: - "Wydaje mi się, że wszystkie ruchy skierowane ku uszczęśliwieniu ludzkości lub choćby ku bardziej racjonalnemu urządziu życia na ziemi zbankrutowały nie dlatego, że były oparte na mylnych założeniach, lecz dlatego, że uszczęśliwić ludzkość jest tak samo trudno, jak zrozumieć sens życia".

Marek Nowakowski



URODZINY

W czasie lunchu boss miał dłuższą przemowę. Wyraźnie szło nie o robotę. Słuchali więc bez nerwów. Siedzieli po ścianami, na podłodze. Żuli gliniasty angielski chleb i popijali aromatyczną, mocną herbatę z własnych chińskich termosów.

O'Harra gwałtownie gestykulował. Coś tłumaczył. Często powtarzał: Birthday. Birthday...? Czegoś od nich chciał.

- Ty, co jest? Ma urodziny, czy jak?

Zenek spoglądał błagalnie na Andrzeja. Andrzej uchodził za eksperta od spraw językowych. Był obyty. Siedział kiedyś rok w Stanach. Rozumiał sporo i mówił trochę po angielsku. Spełniał funkcję łącznika między brygadą irlandzkich stolarzy a teamem polskich dekoratorów. Z tego powodu darzony był przez kolegów sporym szacunkiem.

Zenek, z kolei, był jedynym w całej ekipie, który - na to wyglądało - chciał uczyć się języka. Zaraz po pierwszej tygodniówce kupił walkmana i teraz, jeżdżąc metrem, przesłuchiwał w kółko te trzy kasety przywiezione z Polski. Z domu do pracy miał równo dwie czterdziestki piątki. Zdarzało się, niestety, że zasypiał już po pierwszej. Trochę się tego wstydził.

- Black - czarny; brown - brązowy; grey - szary. Potrafił już bezbłędnie odtworzyć kolory z kasety. Poczynił pewne postępy. Słuchał tych taśm w końcu już czwarty miesiąc. A planował, co najmniej, jeszcze ze dwa. Do wygaśnięcia wizy. Zenek przyjechał do Londynu na dwa miesiące. Ale Anglicy ogarnięci jakby szaleńcem społecznej sprawiedliwości, przesiąknięci duchem równości i nieco chyba przestraszeni rosnącą w Home Office górą polskich paszportów - postanowili traktować wszystkich przybyszów z

Polski jednakowo. Każdy, od dziecka po staruszkę, z paszportem prywatnym i służbowym, dostawał wizę na pół roku. Zenek też. A, że nie chciał zmarnować szansy - z dwóch miesięcy zrobiło się sześć.

- Patrzcie jaki zażarty - z zazdrością mawiał o Zenku Wacek. Wacek też chciał się uczyć języka, ale żał mu było pieniędzy na magnetofon. Wacek miał ostatnio mnóstwo wydatków. Siedział tu już osiem miesięcy. Musiał przedłużyć wizę. Odmówili, bo kończył się termin ważności paszportu. Poszedł do konsulatu przedłużyć paszport - wzięli trzydzieści funtów. Żeby dostać wizę zapisał się na Wolny Uniwersytet Polski - wzięli prawie stówę. Później na policji zmusili go do wykupienia za pięćdziesiąt funtów takiej książeczki ze zdjęciem, co to tłumaczyli - wystarcza za paszport. Te wydatki przytłoczyły go. Stał się smutny i zgorzkniały. Pracował po czternaście godzin, żeby jak najszybciej odrobić straty. Gdzie mu tam był w głowie jeszcze jakiś walkman. - Oskubali, panie, jak gęś - mawiał. Ogólne rozgoryczenie pchnęło go do konsulatu Republiki Południowej Afryki, gdzie pokonawszy, z pewnym trudem, pikiety skandujące: precz z apartheidem, uwolnić Mandelę, itp., cały i zdrowy, otrzymał stosowne formularze od urzędnika mówiącego po polsku.

- Zenek to jest zwykły utracjusz - dodawał trzeźwo myślący Krzyś. - Osem funtów za walkmana. Krótki rachunek: osiem razy trzy równa się dwadzieścia cztery. Taniej w Polsce wychodzi. A jeszcze węz i te baterie. Co dwa dni siedemdziesiąt pi. I tak zręszta energię marnuje, bo zamiast słuchać śpi, a szpulki się kręcą. Wariat jakiś.

Krzyś był niewzruszonym zwolennikiem powrotu do Polski. W tym postanowieniu umacniały go skutecznie czarnorynkowe notowania dolara, przekazywane regularnie telefonicznie przez żonę. Krzyś prowadził książ-

żeczkę wahań kursu dolara wobec funta, żeby wiedzieć kiedy z zyskiem wymieniać jedno na drugie. Ta książeczka i gazetowy program telewizyjny były jego stałymi lekturami. Wiadomościami czerpanymi z lektur dzielił się bezinteresownie z dziesięcioma współlokatorami i swymi polskimi gospodarzami. O gazety było stosunkowo łatwo. Pełno ich poniewierało się w wagonikach metra.

- No, co jest? Zenek atakował Andrzeja. O'Harra jakby na coś czekał.

Andrzej wolno żuł swoją kanapkę. Nie spieszył się z tłumaczeniem. Słowa Zenka o urodzinach wprowadziły pewne ożywienie wśród ekipy. Wszyscy z nadzieją wpatrywali się to w Andrzeja, to w radośnie uśmiechniętego O'Harre.

- Jakiś bonusik, czy zwyczajnie popijemy, gadaj - nie wytrzymał Tomek.

Tomek pił sporo, bo miał kłopoty z żoną. Głupia, nie mogła uwierzyć, że tego samego dnia wystartują do Kanady. On z Londynu. Ona, z dwójką dzieciaków, z Warszawy.

- Idiotko - krzyczał do niej przez telefon - mówię ci przecież ty kretynko, że Kanadyjczycy to załatwią. Czego beczysz?

Andrzej obtarł usta wierzchem dłoni. Był to gest, zauważył kiedyś z rozbawieniem, który wyjątkowo łatwo potrafił przyswoić sobie doktor nauk prawnych. Tego gestu zazwyczaj nie praktykował po jedzeniu w Polsce. Ale, w końcu, tył tutaj już blisko pół roku.

- O bonusach nie nie było. O picciu też. Była do nas za to prośba, żebyśmy zrzucili się po funciaku. Na prezent dla Jerry'ego. To on ma urodziny, nie O'Harra. Uczysz się, uczysz i gównie z tego wychodzi.

Ostatnie zdanie było do Zenka.

- Tak, czy siak, coś tam jednak załapałem. Zenek był wyraźnie uradowany.

- Po funciaku? Krzyś aż pisnął ze zgrozy. - A co oni chcą kupić?

- Nie mam pojęcia. O'Harra nie mówił. Ma przyjść narzeczona Jerry'ego i ona ma mu dać ten prezent.

- Prezent od nas, czy od airiszów też?  
- zainteresował się Wacek.

- Od wszystkich. Wspólny.

- Narzeczona mówisz... A kiedy to ma w ogóle być?

- Jutro w przerwie na lunch.

- Panowie - Krzys dźwignął się z podłogi - proponuję zdecydowanie nie płacić. Jak sami się zrzucimy po 50 pi, to kupimy dużego Smirnoffa. Pięknie opakujemy. Chłopak się wzruszy. Jak już rozpakuje, to nie będzie mu wypadało znowu pakować. Rozpijemy. Poprawimy browarkiem. Będzie taniej. i przyjemne połączymy z pożytecznym.

- No, ale tak jakoś nieładnie wyjdzie względem O'Harry - wymruczał Zenek.

- Co nieładnie - zapiszczał znów Krzys - co? Ładnie właśnie.

- A narzeczona?

- Co cię obchodzi jakaś tam pieprzona irlandzka narzeczona. Zgiupiałeś...

O'Harra zaszwargotał coś do Andrzeja.

- Mówi, że przerwa na lunch będzie jutro, z powodu uroczystości, dłuższa o pół godziny.

- Powiedz mu, że ja pierdolę jego dłuższą przerwę i jego przyjęcie. Ja tu nie po to przyjechałem. Ja nie mam zamiaru tracić dwóch funtów przez jakieś pieprzone irlandzkie urodziny. Pół godziny - to dla mnie funt. I funt zrzutki - wała. Powiedz mu...

- Krzys już nie piszczał. Krzys syczał jak uszkodzona butelka Liftu.

- Czekaj, czego się gorączkujesz...

Andrzej wydłubał z kieszeni paczkę Stożecznych. Kupił wczoraj w POSK-u za dwa funty cały karton od jakiegoś wygłodzonego świeżaka z kraju. Poczęstował O'Harre, który rozpaczliwie zaczął machać rękami i dziękować, że nie chce. Kolegów nie częstował. Wolał nie ryzykować.

- Tylko spokojnie, Krzysiu. Gruby mówi, że dłuższa przerwa będzie normalnie płacoma.

Krzyś przestał syczeć.

- Tak, czy tak, powtarzam, to nam się nie kalkuluje. Róbcie jak chcecie. Ja tam nie daję.

Reszta zdecydowała dać. W beret Wacka posypały się drobniaki. O'Harra, nie licząc, wytrząsnął forszę do kieszeni kombinezonu. Uśmiechnął się szeroko.

- The party starts tomorrow at one. There's gonna be a surprise...

- Ty sknero, dziadu - Wacek nie wytrzymał - honoru nie masz za grosz.

Krzyś złapał pędzel i rozchlapując głosę z puszki wyskoczył z pakamery.

- Ciemniaki. Lordowie. Psia ich mać. Zobaczymy czyje będzie na wierzchu. Ja nie mam honoru?

Postanowił sam kupić flaszkę dla Jerry'ego.

Krzyś był zły jak cholera.

Dopadł jubilata już o dziewiątej. Usiłował wcisnąć mu flachę, mamrocząc przy tym:

- for ju... suvenir... birtday... Wprost go замуrowało, kiedy Jerry nie chciał wziąć Smirnoffa. Coś tam Krzysiu tłumaczył, odpychał butelkę, radośnie się uśmiechając, poklepywał go po plecach. A Krzyś sztywniał wprost ze zgrozy.

- Nie, to nie. Pies ci mordę lizał. Odwrócił się na pięcie. - Taka plama, Boże...

Owspół do pierwszej Krzyś był już nieźle ugotowany. Sam łyknął pół swojej niechcianej flaszki. Malował wytrwale i popijał gorzaikę zmieszana z łożami i herbatą.

Hałas na dole był coraz większy. Krzyś słyszał śmiechy i oklaski. Widocznie zaczęła się uroczystość. Postanowił obejrzeć sobie narzeczoną Jerry'ego.



W dużej sali bankietowej, którą dopiero co odmalowali, stało ze trzydziestu mężczyzn. Byli Australijczycy, Irlandczycy i nasza brygada w komplecie. Pośrodku stał stół przykryty papierowym obrusem w wielkie myszki Miki. Na stole, zebrane w jednym rogu, papierowe talerze, kubki, plastikowe widelczyki. Wielki tort truskawkowy, dwie butelki szampana... Żadnego prezentu nie było widać.

Za stołem stał rozradowany Jerry, któremu wisiąca na szyi śliczna, mlecznoczekoladowa brunetka. Mogła mieć ze dwadzieścia lat.

Krzyś potknął się na progu, zachwiał i mało brakowało, a wyrznąłby łbem w stojącą luzem framugę.

Na szczęście nikt nie zwracał na niego uwagi. Wszyscy gapili się na mlecznoczekoladową.

Ktoś włączył magnetofon. Leciało Dire Straits. W bielutki sufit stuknęły korki od szampana. Ludzie złapali za kubki. Krzyś ciągle tkwił przy wejściu obejmując framugę. Szukał wzrokiem tego prezentu. Ekipa polskich dekoratorów, z głupawymi - jak mu się zdawało uśmiechami ścisnęła po kolei łapy Jerry'emu.

Krzyś postanowił właśnie wrócić do Smirnoffa, kiedy, stało się.

Mlecznoczekoladowa odpadła od szyi Jerry'ego. Bardzo wolno, kołysząc biodrami, ruszyła na środek sali. Zdawało się, że tańczy. Ubrana była w czerwoną bluzkę, krótką czarną spódniczkę i czerwone płaskie czółenka. Idąc, niespiesznie rozpięła trzy guziki od bluzki. Błysnęły duże piersi. Dziewczyna otarła się o chudego Georga, wyjęła mu z ręki kubek z szampanem, zdrowo ryknęła i z miłym uśmiechem, coś tam zagadując, rozpięła jeszcze dwa guziki.

Krzyś zbaraniał.

Spojrzał na Jerry'ego. Ten z zainteresowaniem wpatrywał się w cycki dziewczyny.

George ścisnął w łapie czerwoną bluzkę. Mlecznoczekoladowa płynęła w kierunku Jerry'ego, gubiąc po drodze spódniczkę.

Krzyś drgnął.

A dziewczyna, ciągle idąc, majstrowała coś z boku przy majteczkach. I tak została jedynie w pończochach, trzymających się na cienkim pasku wokół bioder. Kołysała się łagodnie w takt muzyki, coś zagadywała do Jerry'ego. Gruby O'Harra zręcznie postawił gołą dziewczynę na stole obok truskawkowego tortu. Rozległy się oklaski.

- Boże, ona się rozebrała...

- W głowie Krzysia coś eksplodowało. Dziewczyna Jerry'ego... Narzeczoną... Gołą... Tak sobie... Na przyjęciu... Honor... Ten mydłek... Gnój...

Poczerwieniały na twarzy Krzyś ruszył chwiejnie w stronę stołu.

Andrzej usiłował przytrzymać go za łokieć.

- Nie wtrącaj się! Krzyś wypłacił, od niechcenia, niezbyt mocną blachę w prawnicze czóiko. I Andrzej usiadł na zakurzonej podłodze.

Krzyś, przez zaciśnięte zęby, cedził do Jerry'ego.

- Ty przygłupi kutasie. Godności, to ty nie masz nic a nic. Ta twoja narzeczoną, to jakaś zwykła ściera, dziwka po prostu. U nas za takie rzeczy, za mniejsze, bierze się w zęby. Jak śmiesz nam ją tak pokazywać...

Mlecznoczekoladowa zeskoczyła lekko ze stołu. Wydawała się zaniepokojona piskliwym przemówieniem Krzysia.

Jerry za to radośnie szczerzył zęby. Poklepywał delikatnie goły tyłek, trochę wyżej, tam gdzie, Krzyś wiedział, zarysowały się dwa niewielkie dołeczki.

Jerry nie patrzył dotąd na Krzysia. Bawił się na własnych urodzinach. Teraz popatrzył. W samą porę. Krzysia pięść trafiła go dokładnie u nasady nosa.

Lecąc na podłogę Jerry pociągnął za sobą papierowy obrus, tort, dwie prawie puste flaszki szampana, kubki, talerzyki, widelczyki, kilka popielniczek z niedopałkami i mlecznoczekoladową gołą narzeczoną.

- Masz chamie bez godności - wyharczał z pogardą Krzyś.

Dziewczyna piszczała pod papierowym obrusem.

- Ty kmiotku, ty - krzyczał Andrzej - to nie jest żadna jego narzeczoną, to kiss-a-girl... Wynajęta... Prezent od nas...

- Kto? Od nas?

Krzyś nie miał zbyt wiele czasu, żeby się dziwić. Jerry właśnie, z pewnym trudem, wygrzebywał się spod wielkiej obrusowej myszki Miki. Irlandzcy stolarze rzucali na podłogę plastikowe kubki z niedopitym szampanem. Australijscy elektrycy grzecznie odsuwali się pod ściany.

- Chłopaki, co to jest kisagerl?

Krzyś znowu piszczał.

Janusz Jankowiak

# WIERSZE

BOGUSŁAWA LATAWIEC

PRZYJACIOŁOM ESTOŃSKIM

Wasze rozstrzelane świtem brzozy  
wzdłuż duktów  
jak linie wysokiego napięcia płoną  
i płoną lasy  
krwawiąc żurawiną  
Wasze biblioteki w dębowych sejfach  
na samym dnie piwnic  
Czekają rękopisy oprawione w skórę  
i głosy zwinięte w woskowe rulony  
na wieczne odtwarzanie  
Stała temperatura, procent wilgotności  
są tu mierzone tak troskliwie  
jakby w tych pionowych pudłach leżały  
całe żywe gardła:  
krtanie, struny głosowe, wiązadła  
waszych oniemiałych nagle kobiet i mężczyzn  
Twarze nieżyjących pisarzy  
i milczących pisarzy  
stygna  
w gipsie, papierze i na czarnych nomnikach  
twarze biegnące z pośknętym tchem  
już bez zdziwienia  
w szeroko otwartych od lat czterdziestu  
oczach  
Twarze do przebrania za wieki

Tartu-Poznań, listopad 1930 r.

## CZYŻBY UNIEŚĆ SIĘ MIAŁY...

Leningrad zgaś w deszczu  
niżej  
leniwy  
i zabrzmiął u urwanych rynien  
nad chodnikami wartki  
Wali się w kanały ciemny i tłusty  
W odbiciach  
W wersjach  
Tylko na moście świecą zady ogierów  
i kamienne pośladki  
niczym cudownie pomnożone księżyc  
Cokół z krzyżem w skrzydłach  
W skrzydłach gryfy  
dźwigają nas nad wodą, jak w czarnym anie  
Czyżby unieść się miały te place  
te tłumy  
święci z gzymsami, podwojeni?  
Archanioły na samych palcach  
ważą się nad przepaścią Isakijewskiej  
kopuły  
Stale od początku łapia równowagę  
jak ludzie  
zsypani w białe podziemia metra  
I trwa to przynaglone bicie serc  
u rzeźb i mężczyzn  
Nerwy kolumn co plac, co skrzyżowanie  
wybuchają końskim cwałem  
Zerwane kopyta biją o kroplisty bruk  
powietrza  
Nawet kamienie domów są do żywego  
poruszone  
aż do oczu które za szybami...  
Wzdłuż murów kolejne hasła  
gnają swoje litery przez wiatr  
Wzdęte płótno październikowej dekoracji  
tłucze o okna Pałacu Zimowego  
Tłucze schwytaną w mokrą sieć  
żywą głową Wodza

Leningrad, listopad 1980 - Poznań, listopad  
1988 r.



JAN JÓZEF SZCZEPAŃSKI WRĘCZA CZESŁAWOWI  
MIŁOSZOWI LEGITYMACJĘ ZLP

X

Twarz jak moneta ze znanym rysunkiem  
cała w wirze kamer i światła ludzi  
zrzucana nam z wysoka po trzydziestu latach  
w sam środek Warszawy  
Czy tembr głosu  
czy on też się sprawdzi  
gdy uderzy w gęste wnętrze tej sali  
w nas pochylonych i wspiętych na palce  
by dojrzeć?  
Za oknem Krakowskie  
nareszcie w pełnym upale jego wierszy  
Przechodnie unoszą głowy ku żelaznym balkonom  
gdzie szkło i on równie przejrzyści  
Więc skąd ten gniew gdy patrzy na nas  
zza jupiterów, ramion i mikrofonów?  
Czy że za blisko jest tych powrotnych ścian  
które znowu bez pamięci są i bez winy?  
I znowu białe?

Warszawa-Poznań, czerwiec 1981 r.

BIAŁO-CZERWONY SZLABAN

Słowa leżą jak zgaszone świece  
w szarych pudłach  
Żużel się tylko żarzy i żarowy w betonowych wybiegach  
gdzie co rano tłuczemy łbami  
o ten sam biało-czerwony szlaban  
Mózg jak naga rzecz  
naga prawda?  
Taka pajda, warstwa żywego miodu  
Czy świeci?  
Czy ten kryształ jeszcze zapłonie?  
A gdyby go tak unieść lekko między skroniami?  
Może zaskoczy  
ruszy z furkotem i zacznie przewodzić?

Poznań, styczeń 1984 r.

X

Patrzę na plecy moich schodzących  
przyjaciół

jeszcze ramiona  
światło palców na poręczy  
i już tylko głowy  
zapalają się gwałtownie na zakręcie  
schodów

niżej ciemność klatki  
jak ciemność ziemi

Wszystkożerna  
w przewiewie ziaren, w szumie korzeni  
oddycha pełną sierścią soku  
Czy w czarnym cieple jej czarnej pościeli  
zdążymy zaświecić choć przez moment  
nim wszędzie  
niską trawą przyszłych wieków?

Patrzę na plecy moich odchodzących  
przyjaciół

Poznań, styczeń 1988 r.

DWA RYTMY

Zrywamy się nocą z gorących poduch  
i słuchamy jak przesuwają się nad nami  
powietrze  
całe w żywiołach armii, w biciu mundurów  
Przeciwko nim  
kruche tamtamy naszych języków  
bijących o podniebienia  
Dwa rytmy środka Europy

Poznań, kwiecień 1984 r.

X

Był tak stary  
że wypuszczono go bez protestów  
Ale on nie umiał już unieść chleba  
Zbierał go jakby mu się nagle rozsypał  
wrócił w żywioł maki  
nagarniał w garście jak żywą wodę  
Bałam się, że zacznie mu kapać przez palce  
wykrwawiać się aż do samej skóry  
i nie zostanie ani jeden kęs

Poznań, grudzień 1983 r.

Bogusława Latawiec

# POLEMIKI

JACEK TRZNADEL

TZVETAN TODOROV: UNE HISTOIRE A DORMIR DE-  
BOUT \*

/czyli białe niedźwiedzie w Powstaniu War-  
szawskim/

Opublikowany w "Kulturze Niezależnej" nr 49 szkic Tzvetana Todorova "Umrzeć w Warszawie" /"Mourir à Varsovie"/ jest przyczynkiem do dwu warszawskich powstań: powstania w getcie w roku 1943 i Powstania Warszawskiego w roku 1944. Nie będąc sam uczestnikiem tych wydarzeń i pragnąc zdobyć o nich pełną wiedzę autor przeczytał aż dwie książki: "Zdążyć przed Panem Bogiem" /rozmowy z Markiem Edelmanem/ Hanny Krall i "Warszawa. Powstanie 1944" J.F. Steinera. Imponuje ten wysiłek poznawczy, mógł bowiem, znany w świecie nauki strukturalista i semiolog, ograniczyć się do lektury haseł wielkiego a nawet małego Larousse'a. Mógł nawet zapytać tylko, co wie na ten temat paryski concierge. Każdy bowiem człowiek na Zachodzie, jeśli nie przeżył polskich wypadków, ma w stosunku do nich jedynie słuszną i prawdziwą perspektywę, tak z punktu widzenia etycznych wartości absolutnych i relatywnych, sprawy honoru i oportunistu, wartości cywilnych i politycznych, filozofii wojny i pacyfizmu, nie mówiąc już o sposobach prowadzenia sztuki wojennej. Że miara zachodnia jest słuszną, po-

twierdza to dowodnie dobrobyt państw zachodnich. Dlatego właśnie pozostał niezniszczony Paryż i Rzym. Jeśli nieco nadkruszony został Londyn, to prawdopodobnie winni byli wszystkiemu nie mieszkańcy wysp brytyjskich, lecz Polacy, którzy wymyślili sobie rzecz dziwną: bronić Anglii przed wojskami hitlerowskimi. Na szczęście Polaków było niewiele i Anglia w zasadzie ocalała. W to słuszne rozróżnienie między Polakiem a człowiekiem Zachodu wprowadzeni zostajemy począwszy już od tytułu: "Mourir à Varsovie" to subtelne porównanie ze znany tuż przed wybuchem wojny pytaniem "Mourir pour Gdansk?" /"Umrzeć za Gdańsk?"/, któremu na Zachodzie towarzyszyło pukanie się w czoło.

Nie mogę jednak tylko chwalić, choć to przyjemne. Być może jest to szukanie dziury w całym, ale jako Polak widzę pewne luki w wiedzy pana Todorova. Pierwsza sprawa sporna dotyczy generała Okulickiego i białych niedźwiedzi. O Okulickim pisze oczywiście Todorov ciągle, ale o białych niedźwiedziach nie pisze wcale, choć nie wątpię, iż wie o tym, że Warszawa znajduje się w klimatycznej strefie białych niedźwiedzi. Przegapienie białych niedźwiedzi prowadzi chwilami do ocen krzywdzących generała Okulickiego. Przy okazji wyjaśniłoby się może także, dlaczego popełnia Todorov pomyłkę, twierdząc, że Okulicki był jednym z dowódców powstania. Otóż nie był, odsunięty w głęboką anonimowość po jego wybuchu. Ale do rzeczy. Pan Todorov nie rozumie, dlaczego Okulicki zachęca do wydania bitwy czołgom niemieckim przy użyciu kijów. Istotnie, coś tu jest nie w porządku, jeśli zważyć, że Okulicki był dyplomowanym polskim oficerem sztabowym w XX wieku. Ale nie z powodu tej niekompetencji dotyczącej kijów rząd polski w Londynie przesunął generała Okulickiego do Polski. Wszystko wyjaśnia się prosto: istniał tak

88



zwany plan Okulickiego. Okulicki wiedział doskonale, że jeśli wytresowane przez podziemną Armię Krajową hordy białych niedźwiedzi zostaną na rozkaz Bora Komorowskiego rzucone do walk ulicznych, niechybnie przechyla szalę walki i zwycięstwa na polską stronę. Otóż kije potrzebne były nie do walki z czołgami, lecz do poganiania białych niedźwiedzi. Każde dziecko w Polsce wie, że klęska powstania warszawskiego nastąpiła dlatego, że podczas lata białe niedźwiedzie wychodzą się bardziej na północ i nie było ich w Warszawie owego fatalnego sierpnia 1944 roku. Okulicki po prostu za długo siedział w Anglii i o tym zapomniał, co zresztą nie dyskredytuje go w całości jako oficera sztabowego. Znany bowiem jest popłoch, w jaki wpadały nawet doborowe dywizje SS, widząc kije w rękach Polaków. Za kijami bowiem pojawiały się niedźwiedzie, jak to często działo się w walkach ulicznych jeszcze przed powstaniem. Przecież to bohaterski biały niedźwiedź, ulubieniec sztabu AK, przegryził podczas zamachu gardło hitlerowskiemu generałowi Kutscherze, postrachowi Europy. Wiadomo też, że inaczej potoczyłaby się wojna w 1939 roku, gdyby nie błędne wycofanie niedźwiedzi na głębokie tyły. Wprawdzie polskie lance ułańskie bez trudu przebijały nawet 10-centymetrowe pancerze czołgów niemieckich, ale nie daliśmy rady.

Nie mogę się też w pełni zgodzić z twierdzeniem pana Todorova, że Polacy wolą rzeczy idealne od realnych, bo biały niedźwiedź jest czymś głęboko realnym, i Polacy czczą go, podobnie jak białego orła, drżą nawet, aby mu korona z głowy /czyli ze łba/ nie spadła. Rzecz to gustu, Francuzi wolą koguta, ale to ich narodowa i prywatna sprawa.

W całokształcie poglądów pan Todorov ma niewątpliwie rację, na przykład w tym, że Polacy ogromnie byli naiwni, sądząc że

potrafią uniknąć okupacji sowieckiej . razem mieszkając, gdzie mieszkają. Przecież cała sprawa była już od dawna w Teheranie ułożona i zdecydowana także przez mądre mocarstwa zachodnie, wychodzące z jedynie słusznego założenia, że wolność Polski nie warta jest nawet naparstka krwi jednego bodaj zachodniego żołnierza. Jeśli Polacy nie zgodzili się na przesiedlenie na środkową Grenlandię, to niech sobie sami dają radę. W tej sytuacji Powstanie Warszawskie stało się przykrym szantażem wobec Armii Czerwonej, dowództwa Sprzymierzonych, a nawet Wehrmachtu, któremu też powstanie było nie na rękę.

Podobnie pan Todorov słusznie uważa, że polska tradycja wojskowa nie rozróżnia rozkazów dobrych od absurdalnych, że realny stan rzeczy w ogóle dla dyplomowanych sztabowców polskich nie wchodził w grę. Pozwoliłem sobie tu przytoczyć pana Todorova prawie dosłownie, żeby nie było, że przekręcam cytaty. A jednak mimo że pan Todorov wykazał tu tyle dobrej woli, brak mu kilku - oczywiście drobnych - szczegółów, które zmieniłyby jego ocenę absurdalnego rozkazu. Otóż Bitwa Warszawska z Armią Czerwoną Tuchaczewskiego w roku 1920 została wygrana po tak absurdalnym rozkazie Piłsudskiego, aby wojska polskie, odrzuciwszy broń, zaczęły udawać wściekłe psy i rzuciły się na Rosjan z ogromnym szczekaniem i wyciem /niedźwiedzie nie wchodziły tu w grę, gdyż Rosjanie zbyt dobrze je znali/. Nieprzygotowany na to wszystko czerwony Wania dał tył, Polacy zaś gryźli ich w tyłki i wygrali wojnę. W bitwie pod Wiedniem w XVII wieku wojska polskie pod wodzą króla Sobieskiego udawały koguty bijąc się rękami po bokach, czego wojska tureckie zupełnie nie mogły przewidzieć i wpadły w popłoch. Jeszcze wcześniej, w bitwie pod Grunwaldem, dzielni rycerze polscy i litewscy przebrali się za lękliwe białogłowy,

które z rozpuszczonymi włosami posuwały się w stronę hufców Ulryka von Jungingen, wielkiego mistrza. Krzyżacy tak się zlekli, że zaczęli się bić sami ze sobą i zasłali pole własnymi trupami.

Tak, absurdalna jest ta polska tradycja wojskowa, ale przynosiła w historii rezultaty.

Jest też oczywiście słusznym twierdzenie pana Todorova, że Polacy wyznawali głupią ideologię, że lepiej jest być martwym niż czerwonym. Już przecież w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku oddziały Czerwonej Armii wycinały polskim ułanom czerwone lampasy, obdzierając ich ze skóry, a głupi ułani bardzo się temu opierali. Podobnie w roku 1939 i 1940 polscy oficerowie niechętnie oddawali się w czerwoną niewolę, doprowadzając sytuację w obozach jenieckich do tego, że sowieckie jednostki NKWD, znając zakorzenioną skłonność Polaków do umiærania i niechęć do przyjęcia czerwonego koloru, zmuszone były rozstrzelać kilka dziesiątków tysięcy tych polskich oficerów. Z tego samego powodu Armia Czerwona zatrzymała się pod Warszawą, aby czerwonością nie przeszkadzać Polakom w walce i aby pomóc wrodzonym polskim skłonnościom samobójczym. Jednak i poza tą oceną, w zasadzie słuszną, kryją się realia nie znane panu Todorowowi. Gdyby bowiem znał pewne rasowe cechy Polaków, nie uważałby, że istniała dla nas pełna alternatywa. Otóż każdy tak zwany dobry Polak dostaje wściekлизny na widok koloru czerwonego i po kilku dniach umiera w męczarniach. Dlatego Polacy kochają swoje białe niedźwiedzie i białego orła, zaś biało-czerwony kolor flagi jest symbolem walki białości z czerwienią. Ale oczywiście z podobną skazą rasową Polak Europejczykiem być nie może, boć przecież jego kult Zachodu opiera się na niesłusznym poglądzie, że na Zachodzie nie ma czerwieni. A Zachód dobrze wie, że ze swoją tolerancją na kolor

czerwony wyższy jest od Polaków. Tak jak pan Todorov dobrze wie, że "tylko żywi mają jakiś kolor" i lepiej być "brunatnym", jeśli się nie chce być czerwonym, i żyć. Cóż, mają Polacy tę skazę. I słusznie robi pan Todorov porównując przywódców ich powstania z Hitlerem, który także opierał się i walczył z czerwoną Rosją.

Na temat tego, co pan Todorov pisze o powstaniu w getcie warszawskim, nie ośmielałem się już zabierać głosu. Przykład bohaterstwa w getcie służy mu zresztą także - i słusznie - do potępienia bohaterstwa Polaków. W opozycji /termin Todorova/ do bohaterstwa Żydów stoi gest Okulickiego rzucającego się na karabin maszynowy wroga. Żydzi walczyli, mówi pan Todorov, bo byli skazani na śmierć. Śmierć fizyczną. Polakom groziła co najwyżej śmierć moralna w kolorze czerwieni. /Ten milion ofiar z rąk sowieckich nie liczy się./ Dlatego ich narażanie się na śmierć fizyczną jest niezrozumiałe.

Pan Todorov odkrywa przed polskim czytelnikiem jedynie słuszną ideę integralnego pacyfizmu. Tego pacyfizmu, co za najwyższy ideał uznaje życie fizyczne jednostki. Niech się człowiek i Polak nie wywyższa ponad muchę, nie mówiąc już o myszy polnej i krecie, dla których życie fizyczne jest najwyższą wartością i które uciekają przed czerwoną farbą. Ja już gdzieś lekcję tej filozofii odbierałem, ale niestety zapomniałem jej. Ta głęboko pacyfistyczna i laicka myśl odrzuca przestarzałe słowa Pisma, że lepiej utonąć niż gorszyć maluczkich. To dlatego ma pan Todorov cichą pretensję do Okulickiego, że ryzykował życiem podczas przesłuchań, zamiast sypać swoich podwładnych np. z czasów, gdy był dowódcą okręgu lwowskiego pod okupacją sowiecką.

I pomyśleć, że gdyby w Polsce nie było lata - a właściwie po co nam ono? - i białe

niedźwiedzie chodziłyby cały rok po ulicach Warszawy, Okulicki wygrałby Powstanie Warszawskie. I wtedy pan Todorov pochwaliłby jego bohaterstwo i białych niedźwiedzi i napisałby równie piękne rozważania: une histoire à dormir debout, comme celle-ci qu'il a écrit et que nous avons lu. <sup>xx</sup>

marzec 1989

Jacek Trznadel

---

x/ czyli po polsku: KOSZAŁKI-OPAŁKI

xx/ czyli po polsku: koszałki-opałki, podobne tym, które napisał, i które czytaliśmy



# RECENZJE

ANNA CZABANOWSKA-WRÓBEL

## ZŁUDZENIA I PRAWDY

31 I 1958 Maria Dąbrowska zapisała w swoim "Dzienniku":

"Śniło mi się, że wędrowałam z Warszawy ku jakiemuś upragnionemu celowi. Szedł ze mną ktoś bardzo bliski, a więc ktoś z umarłych. Przedzieraliśmy się przez zarośla i sztywne, gęste, jakby rtęcią płynące strumienie. Jakoś poznawaliśmy, że błądzimy. Ktoś mówił: 'Zanadto poszliśmy na zachód, zanadto w lewo'. A szliśmy ku północy. Wiszę mieliśmy za sobą i wiedzieliśmy, że mamy ją za sobą. Ktoś powiedział: 'Idziemy na Mławę'." /1/ - ten symboliczny obraz ze snu może posłużyć jako skrót myślowy: zagubiona w martwiejącym krajobrazie współczesności pisarka odwołuje się do mądrości zmarłych. Poczucie złe obranej drogi towarzyszy jej w fatalistycznej wędrówce, która okazuje się prowadzić ku beznadziei.

"Dzienniki" Marii Dąbrowskiej są świadectwem upartego i nie wolnego od błędzenia wędrowania człowieka i twórcy. Ocena wyrażonej w "Dziennikach" postawy pisarki musi być ograniczona jednym zastrzeżeniem: mamy do czynienia z wyborem, możemy więc wyłączać nie mówić o tym co napisała, nie sądzić jej za to, że coś przemilczała. Jeżeli jednak pięciotomowy wybór Tadeusza Drewnow-

skiego potraktować jako reprezentatywny, zwraca uwagę jak bardzo była nieprzygotowana intelektualnie i psychicznie /wraz z większością polskiej inteligencji/ na wydarzenia powojenne. Przyjęta przez nią postawa, której nie można odmówić szlachetności, oparta jest na kilku błędnych założeniach wpływających ze złudzeń tego właśnie pokolenia inteligencji, które pracowało w Polsce Niepodległej. Nie akceptując nowej rzeczywistości Dąbrowska /w 47 roku, po wyborach/ uważa, że: "W złej sytuacji trzeba umieć wykorzystać jej wszystkie dobre strony. Musimy tworzyć siłę duchową i gospodarczą". /t. III, s. 56-57/ Takí program ignoruje istotę stalinizmu, w którym żadna dziedzina życia nie jest niezależna i apolityczna. Nie można budować innej gospodarki, innej kultury w totalitaryzmie. Każdy kto włącza się w "działania pozytywne" staje się nieświadomym współnikiem systemu.

Innym szlachetnym złudzeniem Dąbrowskiej jest ideał "bezstronności" i "obiektywizmu", który staje się pseudoobiektywizmem, bo szala przemocy i cierpienia przeważa. W czasach, kiedy sine ira nie można, wprost nie wolno oceniać, Dąbrowska łudzi się, że zachowa wolność sądu. Nie jest świadoma, w jak dużym stopniu oddziałuje na nią agresywna i wciskająca się wszędzie propaganda. Powtarza np. sądy o "żałosnej roli naszej obecnej nieprzejednanej emigracji", /t. III, s. 179/ nie wiedząc, ile w tym jest chęci umocnienia się w przyjętej postawie, a ile zawiedzionych nadziei wobec tych, którzy dysponując większymi możliwościami nie mówią tego, co ona sama chciałaby powiedzieć. Mechanizm resentymentu odsłania się w stosunku do Zachodu: "Przecież to Anglicy są autorami linii Curzona, na którą Rosja do dziś się powołuje". /t. III, s. 222/

Postawa Dąbrowskiej, i tu pułapkę zastawia na nią jej powołanie epika, wpływa

także z jej predyspozycji psychicznych, z temperamentu pisarskiego, w który integralnie wbudowana jest zgoda na świat. Nie oburzajmy się, gdy w zapisie z roku 1940 przeczytamy: "Kupiłam dziś za 50 groszy śliczny bukiet wrotyczów, a od dozorczyń dostałam również piękny krwawników, zbieranych na Polu Mokotowskim. Po południu pięknie się wypogodziło i ociepliło. Litwa, Łotwa i Estonia zostały przyłączone do ZSRR". /t. III, s. 336/ Drobne zdarzenia i zjawiska przyrodnicze są w tej optyce równie godne utrwalenia co fakty historyczne.

Po wojnie ta właśnie skłonność - uświadamiana przez Dąbrowską - zbliży się do złudzenia, że zgoda ze światem i ludźmi jest możliwa zawsze i wszędzie /zapis z roku 1952/: "Nie potrafię żyć w absolutnej negacji. Kocham każdą rzeczywistość w tym, co mi się zdaje w niej dobre. Nienawidzę każdej w tym, co w niej złe". /t. IV, s. 109/. Przekonanie, że "nie może być naruszona esencja bytu" /t. III, s. 63/ pozwoliło Marii Dąbrowskiej przetrwać najcięższy okres, ale doprowadziło ją do klęsk pisarskich. Chaos atakujący zewsząd /widoczny w "Dziennikach"/ nie zasługiwał jej zdaniem na swój literacki obraz, a harmonijna wizja nie chciała się narodzić. Pragnienie afirmacji i zgody ze wszystkimi prowadzi do zgody na wszystko i do coraz cięższych pomyłek. W roku 1952 Dąbrowska idzie na uroczyste przyjęcie z okazji 22 lipca w Radzie Ministrów. W tym dniu, wspominając komplementy Cyrankiewicza zapisuje: "Jak łatwo jednak ująć mnie, rozbroić i wziąć na lep uprzejmości! Próżność?!" /t. IV, s. 103/ Próżność pisarska walczy tu o lepsze z samooszukiwaniem się. Często także wykazuje Dąbrowska całkowitą nieznaną "reguł gry" i metod "drugiej strony". 30 III 54 jest na spotkaniu z przedstawicielami KC. 3 IV w "Nowej Kulturze" ukazuje

się "Trzecia jesień" i na innej stronie zdjęcie z podpisem "Bolesław Bierut wita Marię Dąbrowską i Annę Kowalską". Reakcja pisarki jest daleka od szczerości:

"Zmierziło mi to cały numer i moje opowiadanie /.../ Idzie się na to z nieważnych przyczyn, trochę przez bardzo rzadko świadczoną przeze mnie "sferom" grzeczność, trochę z ciekawości i chęci poznania. Wraca się z pomieszaniem uczuciem niesmaku i przeświadczeniem, że "wszystko nieprawda". Bierut po prostu stał na progu i witał wszystkich wchodzących podaniem ręki. Ja mam naturalny sposób podawania ręki niesztucznie, z uprzejmym pochyleniem się. Foto-reporterzy chwytają co sensacyjniejsze dla nich kąski, a że mnie nie mają okazji widywać na oficjalnych "spotkaniach", więc na mnie się przede wszystkim rzucili. A na fotografii wyszło to niby jakaś czołobitność". /t. IV, s. 163/

I jeszcze jedno świadectwo zniewolenia, może najgłębsze, bo dotyczy sytuacji z życia domowego. Po pogrzebie Bieruta dziesięcioletnia Tulcia stała w szkole na warcie Bierutowskiej, opowiada o tym przejęta. Każe sobie włączyć radio z transmisją uroczystości żałobnych. I wreszcie:

"Dziś przy śniadaniu Tulcia rzekła raptem: 'Do tej czwórki: Marks, Engels, Leńin, Stalin ja bym dodała jeszcze Dzierżyńskiego, Kościuszkę...' Biedne dzieci!" /t. IV, s. 255/ I to koniec zapisu na ten temat, zapewne jedyna reakcja na dezorientację wychowywanej w jej otoczeniu dziewczynki.

Lęki Dąbrowskiej rzadko są wyrażane bezpośrednio, jak w tej notatce z maja 56, kiedy przyznaje się do obaw o utratę dzienników. /"przez nie tylko jestem w stanie wystąpić kiedyś, choćby po śmierci, jako świadek czasów". t. IV, s. 259/ Świadectwo czasów to największa wartość "Dzienników", choć dokonuje się ono nie tylko w utrwalaniu niezliczonych ważnych i bła-



hych, typowych i przypadkowych zdarzeń, ale także, z czego autorka nie do końca zdawała sobie sprawę, w autoportrecie, wraz ze wszystkimi jego zafałszowaniami. Przykłady świadectwa Dąbrowskiej wybrane przypadkowo z lat 40-tych i 50-tych to: walka z wsią, trudne warunki i po prostu nędza w mieście i na wsi /los "ludzi stamtąd" w PGR-ach nie poprawił się wcale, stwierdza szczególnie tym zainteresowana pisarka/, kolejki po mięso /49 r.: czwartek - pierwszy mięsny dzień tygodnia/, komisja kontrolująca sklepy, lekcja pokazowa w szkole, a przede wszystkim ludzie: cierpienia, aresztowania, potem po 56-tych powroty, obawy. Ona sama przeżywa w tym czasie ciężką depresję i kryzys twórczy. W 48 r. zapisuje: "Bardzo intensywnie teraz myślę, ale nic nie mogę pisać. To poczucie, że nie mogę do ludzi mówić, jak bym chciała, paraliżuje nawet możliwość pisania "dla potomności" czy "do szuflady". I czy będzie jeszcze istniała jakaś polska potomność?" /t. III, s. 182/ Siedzi nad Pepysem, rzeczywistość nawiedza ją jedynie w koszmarnych snach. "Dzienniki" dowodzą, że mogłaby dać panoramiczną wizję współczesności. Późniejsza klęska "Przygód człowieka myślącego" ma wiele przyczyn. Nie najważniejszą jest kryzys tradycyjnej prozy realistycznej - był on już zauważalny w dwudziestoleciu. "Noce i dni" były odbierane jako anachroniczne arcydzieło. Bezpowrotne zmarnowanie najlepszych lat życia i podjęcie zadania, gdy jej siły psychiczne i fizyczne były mocno nadwątłone, walka z zewnętrzną i wewnętrzną cenzurą - to równie istotne powody. Wreszcie przyczyna tkwiąca w osobowości twórczej Dąbrowskiej - gorące pragnienie bycia w zgodzie ze światem, z ludźmi i Autorytetem, który choć nie jest już Bogiem ma jednak boskie rysy. Napisanie powieści, którą zapowiadała "Dzienniki" wymagałoby zerwania z autoportretem, który dała sobie narzucić i



wreszcie sama, uzgadniając swoje spojrzenie z innymi, zaakceptowała. Jej "ja" w oczach innych martwiło ją czasem zbytnią poczciwością /- trudno demonizować - odpowiedział jej na zarzut "upoczcziwiania" badacz twórczości Dąbrowskiej/. A przecież to ona sama o taki właśnie wizerunek zadbała. Czy był to wynik lęku przed ekshibicjonizmem i prowokacją, także obyczajową, czy pokora wobec Autorytetów? Zaskakujące, że "autorka" /jeśli można tak powiedzieć/ fascynujących i niepokojących snów, które wskazują na niekonwencjonalną wyobraźnię nie umie czy nie chce sięgnąć do głębokich pokładów wrażliwości. Psychoanalityk powiedziałby tu o dominacji superego w strukturze jej osobowości. W obrazach ze snów dochodzi do głosu kapryśne i destrukcyjne id. Ortodoksyjny jungista dopatrzyłby się u pisarki archetypu mądrego starca, którego wcielał zmitologizowany ojciec, a dużo później Stanisław Stempowski. Odczytanie Dąbrowskiej jako "osobowości manicznej" jest ciekawe tylko do pewnego momentu, potem staje się pomysłem jałowym. Jej tajemnica tkwi gdzie indziej i jest bardziej wieloznaczna.

"Dzienniki" mogą być czytane na wiele sposobów i liczne ich wątki jak poglądy polityczne Dąbrowskiej w dwudziestolecie czy stosunek pisarki do Kościoła i religii, zasługują na szczegółowe interpretacje. Także złożony i niejednowymiarowy portret Dąbrowskiej, który się z nich wyłania, powinien doczekać się gruntownego opisu. Znajdziemy w tym obrazie samej siebie sporo cech, o które autorki na ogół nie podejrzewano: trochę próżności, trochę prywatnych uprzedzeń i niechęci, trochę małostkowości. Wśród wielu innych rysów zaskakujący konserwatyzm w codziennych kontaktach z ludźmi postępowej w deklaracjach pisarki. Jest dowodem wspólnoty ze środowiskiem, z którego się wywodziła, podkreślanie na

każdym kroku odrębności Żydów czy konstatawanie ze zdziwieniem i sympatią dodatnich cech "ludzi stamtąd". Jeden z przykładów to charakterystyka poznanej właśnie kobiety: "Mimo swego demokratycznego pochodzenia /choć nazwisko Kopeć może być dobrym zdeklasowanym nazwiskiem/ zachowuje się z wielką swobodą, ma przyrodzone "dobre wychowanie". /t. III, s. 269/ Dąbrowska odsłania tu naturalne dla niej poczucie wyższości. Z tego też punktu widzenia martwi ją powojenne deklasowanie się i proletaryzowanie inteligencji.

Jednym z istotnych tematów "Dzienników" jest problem autorytetu moralnego pisarza. Dąbrowska wielokrotnie powraca do rozważań na ten temat uznając za autorytet "tzw. czystość rąk - uczciwość osobistą, artystyczną, moralną" /t. III, s. 170/, choć rodzą się w niej podejrzenia, że czasami jest to za mało. Swoje pragnienie mówienia "gorzkich prawd" rządowi, społeczeństwu i emigracji uznaje za niezrealizowane. "Nie mogę ich mówić rządowi, milczę też wobec społeczeństwa i emigracji". /t. V, s. 128/ - to credo pisarki, która ma też chwile, gdy pragnie odrzucić ciążące na niej, a być może niezgodne z jej osobowością, obowiązki.

Często nie rozumiejąca czasów w których żyje i samej siebie, samotna zwłaszcza w ostatnich latach, zmagająca się z niezrealizowanymi pragnieniami i ambicjami, zamknięta /bez własnej woli/ w narzuconej jej za ciężkiej zbroi "autorytetu moralnego", zdławiona powinnościami wobec społeczeństwa, niemal w tym samym stopniu co zewnętrznym zniewoleniem, Maria Dąbrowska pragnie nieosiągalnego - niezależności.

Gdy nieco zarozumiale /niejeden to przykład w "Dziennikach", niewinny doprawdy, gdy zestawiać go z wyznaniem innych twórców/ porównuje się do Erazma z Rotterdamu, cytuje Huizingę: "Stałe jego nieopowiadanie

się po czyjejkolwiek stronie - wywodzi się z imperatywnej potrzeby absolutnej niezależności". /t. V, s. 336/ Cytaty kończy refleksja mająca być autocharakterystyką: "Należał on do tych, co wyprowadzają z "niewoli egipskiej", ale nie chcą wejść do "ziemi obiecanej"." /t. V, s. 337/

Drobna postać w berecie, nieufna, nieświadoma wielu pomyłek, wiernie i nienatrętnie towarzyszyła nam przez dziesięciolecia. Wędruje błędząc przez zamierający pejzaż i nie chce, nie może trafić do "ziemi obiecanej".

Anna Czabanowska-Wróbel

---

M. Dąbrowska, Dzienniki. Wybór, wstęp i przypisy T. Drewnowski, Warszawa 1988, SW Czytelnik, T. 1 - 5.

1/ M. Dąbrowska, Dzienniki, T. 5, s. 8-9.

BOGUSŁAWA LATAWIEC

### OBSERWACJA SIĘ OPLACA

"Obmapywanie Europy" nosi podtytuł "dziennik okrętowy", "AAAmeryka" w swej istocie to także dziennik oglądacza, zwiedzacza. W tej niewielkiej książeczce są jeszcze "Ostatnie wiersze", stanowią komentarz do prozy, w wielu wypadkach są lirycznym dopełnieniem przeżyć i oglądów podróżniczych.

Odbiorca ma do wyboru dwie strategie czytania. Pierwszą, jak powiedziała Białoszewska, jedynie przyjemnostkową, która pozwala dowiedzieć się wreszcie, jak tam jest naprawdę. "Tam" to znaczy na morzach, w środku "Batorego", w tym domu, który objężdża się "mapę Europy na żywo" /s. 32/, w portach, a potem w Ameryce, na "drugiej

kuli ziemskiej" /s. 130/. I drugi sposób odbioru - ciekawość czytającego zostaje skupiona przede wszystkim na autorze, na tym, co może wynikać z niezwykłego pojedynku między obcym światem a osobowością poety. Czy wyłonią się nowe zasady kojarzenia, nieznane cechy charakteru, czy znajdziemy jedynie potwierdzenie naszej wiedzy o Białoszewskim, zdobytej już wcześniej. Jestem pewna, że właśnie ten drugi typ lektury był bliski oczekiwaniom autora. Poeta sam przed sobą /przed swoim organizmem/ postawił szczególne zadanie. Podróżowanie dla niego to nie tylko nowy sposób na życie, ale także nowy sposób na pisanie. Śledzimy z zapartym tchem, nieomal jak intrygę w powieści sensacyjnej, dzieje tego eksperymentu, obejmującego ciało i ducha.

Znamy już Białoszewskiego łóżkowego, pokojowego, warszawskiego, żyjącego w blokowisku, na pustym polu, skąd wydaje się blisko nawet do samego Konstantynopola, Białoszewskiego szpitalnego i sanatoryjnego, teraz otrzymaliśmy Białoszewskiego światowego. Poeta w pełni uświadamia sobie niezwykłość faktu, iż oto opuścił kosmos swojego pokoju, przerwał "leżenia" i "wyszedł z szafy" /s. 82/. Wyznaje: "Przed laty na łóżku na placu Dąbrowskiego podczas moich lat leżących byłem pewien, że już nigdy nigdzie nie będę podróżował..." /s. 38/ Wyjaśnia swoim słuchaczom na wieczorku autorskim w Nowym Jorku i nam, czytelnikom "AAAmeryki", jak zaczął swoje podróże. Wyrwało go z łóżka do szpitala, potem do sanatorium, potem była jeszcze przeprowadzka do nowego mieszkania, na koniec wyjazd do Budapesztu. "I tak się nauczyłem jeździć" /s. 82/. W czasach leżeń w ciemnym pokoju dużo i uważnie czytał: "różne książki, pamiętniki, opisy podróży, opisy historyczne", wyobrażał sobie wiele rzeczy, postaci, popadał w dziwne stany,



"wizje, pisanie, niewychodzenia", to intensywne czytanie-bycie, zwierza się poeta, "było jak podróże, a nawet lepsze" /s. 81/. Teraz natomiast, podróżując naprawdę, wprowadza w wir nie tyle swoją wyobraźnię, myśli, ile przede wszystkim swoje ciało, zmusza je do ciągłego latania, zmiany miejsc pobytu, aby jak najwięcej zobaczyć, doznać. Ogląda i rejestruje obraz wielkiego świata, a nie swoje o nim wyobrażenia. Metoda znacznie bardziej czasochłonna i męcząca, a efekty artystyczne - zastanawia się autor - czy aby nie gorsze? Jedno jest pewne, tak jak wcześniej jego leżenia, tak później latania miały ten sam cel prymarny - twórczość.

Zdarza się Białoszewskiemu, że w trakcie wędrówek odnajduje nagle widoki, postacie, które znał już dobrze ze starych filmów, opowiadań przyjaciół lub książek. Owe nagie konfrontacje przynoszą zawsze ten sam rezultat - rzeczywistość okazuje się bledsza niż wyobrażenia, prawda nie dorasta do mitu. Mimo osobistej satysfakcji, że "i to miejsce dane mu jest oglądać" /s. 36/, pojawia się nuta gorczy, jakby fizycznego niespełnienia, żal, że jeszcze jedno marzenie uległo demistyfikacji. Londyn, plac pod kościołem św. Pawła - kadr ze starego filmu, kiedy go przed laty oglądał, myślał: "jak to dobrze się tam znaleźć. I teraz jestem tu - pisze - i nie ma ani tych panów z laseczkami, ani w ogóle tłumów. Rozczarowanie." /s. 15/ Nieco dalej z żalem konstatuje: "na mnie to podziałało dosyć zwyczajnie. Ja sam nie wiem dlaczego podziałało zwyczajnie" /s. 17/ O Ajaccio na Korsyce, której brzegi też oglądał wcześniej na podróżniczym filmie, napisze: "I to nie jest to, czego się spodziewałem" /s. 34/. Niagara w opowiadaniach przyjaciół była taka ogromna, że kiedy ją w końcu zobaczył, to mu "się nie wydała taka wielka" /s. 90/.



W tych grach Białoszewskiego ze światem działa ten sam mechanizm, któremu ulega pamięć. Przestrzenie pamiętane z dzieciństwa i oglądane po latach zawsze są mniej magiczne, bardziej powszednie.

Podróżując, poeta zajmuje się tropieniem realności, bada skórę świata kawałek po kawałku. I nagle ważne się staje, aby być w różnych miejscach osobiście, być ciałem, a nie tylko imaginacją, oglądać własnymi oczami, a nie okiem kamery, różne "słynności", dotknąć śliskich, wysokich stopni Areopagu własnymi stopami i nie spaść, czuć smak awokado na języku. Istotne jest "bycie przed królową Wiktorią, przed kościołem Świętego Pawła, takie czy inne, ale bycie. Trzeba dużo zagarnąć, żeby mieć czym pogardzać" /s. 35/. To wyraźnie nowy sposób bycia. Może zrodził się ze świadomości choroby? Bliskość śmierci przyspieszyła zegar życiowy poety? Poznać świat własnym ciałem, aż do zmęczenia, aż do przesyty, kiedy to nagle w środku zwiedzania zatęskni się gwałtownie za widokiem ślepej ściany w Garwolinie. Co oznacza lęt na wysokości dziesięciu kilometrów, czym jest żywioł powietrza? Jak to wygląda, gdy na niebie przez kilka godzin bez przerwy zachodzi słońce? A potem zaraz ciekawość następna: "jak to jest, kiedy się płynie, jest na okrągło woda, tylko woda, i tylko się płynie?" /s. 7/ Co się wtedy dzieje z czasem, jakie związki zachodzą między jego upływem a mijaną przestrzenią? Z uporem doświadcza sobą; przekłada na język sensualnych doznań takie abstrakcyjne dla szczerą lądowego pojęcia, jak: wchodzenie na statek, schodzenie ze statku, stanie na redzie, opływanie wyspy, wjazd do portu, widok na Konstantynopol, przepływanie między Scyllą a Charybdą, oglądanie morza ze środka morza w dzień i w nocy.

"Obserwacja się opłaca" /s. 23/ stwierdza w końcu. Pytanie, czy bardziej opłaca

się w perspektywie życiowej, czy jako materiał literacki? Wydaje mi się, że w ostatnim okresie życia autora dotychczasowe hierarchie uległy lekkim przesunięciom - oglądanie stało się bardziej bezinteresowne, w większym stopniu niż dawniej zaczęło zaspokajać najpierw zwyczajną, niezawodową ciekawość, by potem dopiero przeistoczyć się w materiał literacki.

W nowej przestrzeni interesuje Białoszewskiego przede wszystkim to, jak ona jest skonstruowana. Natychmiast usiłuje rozeznąć się w zasadach jej funkcjonowania, w regułach poruszania się po niej. Na "Batorym" w ciągu pierwszych dni bez przerwy "lata" po schodach, jeździ windą, "bada tajemnice pływającego domu" /s. 18/ Podgląda życie na poszczególnych pokładach, prowadzi "obserwacje stołowe" /s. 23/ w messie /jak baby jedzą/, podgląda i podsłuchuje morze. Tropi sposoby zagospodarowywania czasu przez innych ludzi - gry, miłostki, jedzenia, siedzenia, leżakowanie, spacerowania, bal maskowy, tenis. "Mało czasu na to wszystko" /s. 22/.

Ten sam scenariusz obowiązuje w obcych miastach. Najważniejszy jest ruch. Chodzenie to podstawa zwiedzania. Zwiedzacz dba o to, aby "być dobrym do chodzenia". W Nowym Jorku, mozolnie rozszyfrowuje żywy plan miasta, studiuje metodę numerowania przecznic, rozwiązuje zagadki komunikacji, metra, jego oznaczenia, stacje podziemne, kierunki jazdy, autobusy. Potem przychodzi kolej na sklepy, najprostsze metody robienia zakupów, korzystanie z kin, magazynów porno. Jako człowiek miasta prędko chwytą podstawowe prawidłowości, aby z ulgą stwierdzić po paru dniach, iż lata "po ulicach Manhattanu jak po swoich" /s. 112/. Przez cały czas nastawiony jest na łapanie w nowych przestrzeniach przede wszystkim inności, ciekawostek wyglądownych, obyczajowych. Obcość języka pozbawia go obserwacji

lingwistycznych, ludzie są czytelni jedynie  
poprzez język gestów, semiotykę ubiorów.  
w nieznanym języku  
znaczenia przelatują  
wirują /.../  
a ja do siebie:  
- tracisz  
aleś zwierzęco  
wolniejszy  
cicho idź  
cicho bądź /s. 129/

Wolność poety w "obcym kraju" polega  
nie tylko na tym, że jest głuchy na mowę  
innych, ale także po raz pierwszy - niemy.  
"Cicho idź / cicho bądź", rozkaże sam so-  
bie, badając jedynie zewnętrżności mijanego  
świata. Z ograniczenia językowego wyłania  
się ograniczenia poznawcze. Ludzie istnieją  
tutaj na tej samej zasadzie, co inne ele-  
menty świata widzianego. Liczy się ich  
dziwność, kolorowość. Narkomani śpiący na  
ulicy pod gazetami frapują Białoszewskiego  
tak samo jak wieżowce Manhattanu. Sztuczne  
trumny i kościotrupy przed domami w okresie  
święta Halloweenu są identycznie zaskakujące  
jak Murzynka w regionalnym stroju krocząca  
po ulicy Nowego Jorku niczym prawdziwa kró-  
lowa dżungli: czarni i biali noszący "włosy  
rozdzielone na poszczególne wyloty, lakie-  
rowane i sterzące na wszystkie strony,  
jak kolce" /s. 60/ przyciągają wzrok zwie-  
dzacza równie silnie co "sklepy z jedzenia-  
mi" pootwierane w środku niedzieli. Poeta  
sam podkreśla to równouprawnienie bytów  
martwych i żywych: "Tyle ludzi i rzeczy  
do oglądania" /s. 60/

Mógłby wprowadzić Białoszewski zając się  
emigrantami, ich kolejnymi falami, a także  
"niedoemigrantami", którzy jeszcze nie  
podjęli decyzji o pozostaniu. To oni prze-  
cież podają go sobie z ręki do ręki jak  
niemowlę, transportują, obwożą, pokazują,  
goszczą, obdarowują, słuchają jego opowieś-  
ci i wierszy, żywią i wypłacają pieniądze.  
Poeta stwierdza jednak kategorycznie: "Chcę  
mnie tu zapolaczyć /.../. Ale ja się bronię  
przez zapolaczaniem. Chcę Ameryki w Amery-

ce" /s. 72/. Woli oglądać godzinami telewizję amerykańską, niż prowadzić na obczyźnie nocne Polaków rozmowy. W efekcie Polacy w Ameryce to: "ktoś z czarną brodą. Aktor.", "mój przewodnik brodacza", "moja dobrodziejka", "śmiejąca się Oluta", "znajomy intelektualista B. w okularach" /Stanisław Barańczak: Jedyna postać, którą udało się mi zidentyfikować/, "pani Dana", "malutka Dominika", znajoma i jej córka" - i to wszystko.

"AAAmeryka" Białoszewskiego jest więc amerykańką złożoną z niemych Amerykanów i niemych Polaków. Szkoda.

Ostatnia książka utwierdza mnie w przekonaniu, iż prozy Białoszewskiego te nie odleżane, nie poukładane w myślach do końca, pisane w biegu, na gorąco, nieomal przez życie samo, nie dorównują mistrzostwu "Pamiętnika z Powstania Warszawskiego".

"Ten śmietnik świata / czasem piękny jest", czytamy w wierszu "W Ameryce jak gdzieś ndziej". Wszystko w końcu, co się widzi:

to on

kl

atka przeżycia

klap!

już po niej

Istnienie, to żywy film, warto więc naoglądać się świata tyle, ile się tylko da, aż do czasu, kiedy przy łóżku zacznie przysiądać "to życie to śmierć / to ich ćwierć" /"Zbiórczość"/.

I to jest jeszcze jeden zakres tematyczny: ubezpieśnienienie przez chorobę, świadomość zbliżającego się kresu życia. Owe sanatoryjne-szpitalne nagłe ujrzenia, wyobrażenia, usłyszenia z jedynej dostępnej choremu perspektywy - łóżka, szpitalnego korytarza, układają się na tle całości w opis trzeciej, już ostatniej podróży Mirona - ku śmierci, która tak ostatecznie "ubyleca ciało" /"Śmierć"/. Białoszewski

z odwagą śledził swój umierający organizm,  
walkę o oddech /wstrząsający wiersz "Odmia-  
ny łapania tchu"/. Pisał:

a dosłowności biologiczne  
to potwory

ja - ich skrzyżowanie

/"Choroba"/

Śmierć tropił: tak samo dokładnie jak  
struktury obcych miast.

Bogusława Latawiec

---

Miron Białoszewski: "Obmappywanie Europy.  
AAAmeryka. Ostatnie wiersze", Państwowy  
Instytut Wydawniczy, Warszawa 1988, s. 152.

JULIUSZ JAROSŁAWSKI

### GAWĘDY MISTYCZNE

Zygmunt Haupt /1907 - 1975/ nie należy  
z pewnością do tych pisarzy emigracyjnych,  
których dorobek byłby w kraju najlepiej  
znany. Utwory jego nie były dotąd przedru-  
kowane przez niezależne wydawnictwa. Naz-  
wiska pisarza nie odnajdziemy również w  
ukazujących się pod cenzurą przewodnikach  
po literaturze polskiej; nie notuje go ani  
"Słownik współczesnych pisarzy polskich",  
ani stosunkowo świeża i względnie liberal-  
na "Encyklopedia literatury polskiej". Wol-  
no wszakże spodziewać się, że sytuacja  
ta w najbliższym czasie ulegnie zmianie.  
Niezależna oficyna Respublica przedrukowała  
ostatnio /również w ćwierć wieku po pierwszej  
edycji paryskiej/ "Pierścień z papieru"  
- jedyną książkę, jaka ukazała się za życia  
pisarza.

Jak książka ta zostanie przyjęta przez  
krajową publiczność literacką - przekonamy



się niebawem. Recepcja tego pisarstwa będzie zapewne osobliwa, tak jak osobliwe były jego losy emigracyjne.

W środowisku emigracyjnym Haupt był pisarzem prawie nie znanym... ale cenionym. Pisano o nim z rzadka i niewiele. Jeśli już jednak pisano, to nie szczędząc pochwał i superlatywów. Jerzy Stempowski określił jego pisarstwo jako rewelację; zachwycił się nim Józef Czapski; Jan Bielatowicz stwierdzał przed laty na łamach londyńskich "Wiadomości": "Pierścien z papieru" należy postawić obok najwybitniejszych osiągnięć literatury emigracyjnej". Jednak najbardziej charakterystyczna, bo najwymowniej świadcząca o paradoksalnym położeniu pisarza, była chyba opinia Marii Danielewiczowej. Wprawdzie nazwała ona Haupta "pisarzem o wielkich możliwościach", ale w kilkusetstronicowych "Szkicach o literaturze emigracyjnej", tak skądinąd cennych, poświęciła mu... kilkanaście linijek. Dodajmy, że jednocześnie nie omijały Haupta prestiżowe wyróżnienia literackie. Pisarz otrzymał nagrodę "Kultury" paryskiej za rok 1962; w roku 1971 zaś nagrodę genewskiej Fundacji im. Kościelskich.

Wydaje się, że musi być coś niezwyklego w dziele autora, który był tak ceniony, a jednocześnie aż do śmierci pozostał niemal zapoznany.

Krytycy stwierdzają zgodnie, że utwory zebrane w "Pierścieniu z papieru" nie są opowiadaniem w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Haupt był architektem i malarzem, pisarzem niejako na uboczu tych zajęć. Stempowski proponuje więc określenie "obrazy", zwracając uwagę na statyczny charakter tej prozy, w rzeczy samej pozbawionej pozorów jakiegokolwiek akcji.

Powszechnie również zwracano uwagę na związki tego pisarstwa z tradycją gawędy. Język Haupta jest niezwykle precyzyjny, lecz nierzadko bliższy normie polszczyzny

mówionej niż pisanej. Widać to zwłaszcza po składni. Wiele tu anakolutów, zdań w połowie urwanych, eksklamacji i powtórzeń. Ponadto, odnajdujemy u Haupta całe warstwy słownictwa dziś już zapomnianego. Pisarz urodził się na Podolu, lecz nie jest to, jak można by się spodziewać, słownictwo kresowe, a raczej polszczyzna galicyjsko-sarmacka. Kamaraderia, firman, atrapować, markantny - kto z nas wie dzisiaj, co znaczą te słowa? Zofia Kurzowa nie wymienia żadnego z nich. Być może jestem w błędzie, odnoszę jednak wrażenie, że więcej mają one wspólnego z językiem Wacława Potockiego i Fredry niż z lwowskim bałakiem. Także sama tematyka częstokroć przywodzi na myśl tę właśnie gawędziarsko-sarmacką tradycję: Haupt wspomina myśliwskie wyprawy i epizody wojennych kampanii. W rzeczywistości jednak opisując w ten sposób jego twórczość, dawalibyśmy jej najbardziej powierzchowną i zwodniczą charakterystykę. Gawęda nie może obejść się bez anegdoty, bez akcji; z natury jest gatunkiem epickim. Haupt tymczasem nie jest ani lirykiem, ani epikiem, ale pisarzem mistycznym.

Cytowany już Jerzy Stempowski podkreślał, że Haupt pisał na przekór współczesnym tendencjom literackim: zajmował się opisywaniem rzeczy nie zaś introspekcją. Odkrywczość jego pisarstwa polegała zdaniem Stempowskiego na tym, że nie miało ono nic wspólnego z tak modną w XX wieku - i tak bezpłodną - "literacką omfaloskopią". Nie twierdzę, że Stempowski się omylił. Myślę raczej, iż nie doprowadził swej charakterystyki do końca.

Haupt, istotnie, opisuje świat. Opisuje go po to, by w sposób niezwykle sugestywny i przejmujący odtworzyć doznania metafizyczne obdarzonej świadomością istoty, która światu temu przygląda się ze zdziwieniem, trwogą i niedowierzaniem. Nie wiem, czy pisarstwo to wspiera się na jakiegokolwiek

w miarę uporządkowanej refleksji filozoficznej. Jeżeli tak, byłaby to refleksja wychodząca od stwierdzenia, że człowiek jest istnieniem całkowicie wyobcowanym z porządku natury; przede wszystkim dlatego, że obca naturze i bezsilna wobec niej jest jego świadomość. Bohater "Pokera w Gorgonach", myśliwy czuwający na górskim stoku, który zdaje się nie mieć początku ani końca, gdyż szczyt i podnóże góry giną we mgle, nic już nie pojmuje z otaczającego go świata. "Oto zawieszony na równi pochyłej, pomiędzy niebem i ziemią, z poutrącanymi podporami, które w zwyczajnym dniu lenistwa, rutyny i jednakowości, umiarkowanego zapachu i umiarkowanej nudy nie zawodziły mnie nigdy, wytrzeszczam oczy w nieprzyjazną przestrzeń i wzdrygam się od niej". Istnieje jedna jeszcze tradycja, do której proza Haupta nawiązuje i to nieraz w sposób bardzo czytelny, bo przywołując analogiczne obrazy i sytuacje: tradycja romantycznej refleksji nad naturą. Haupt, jak Novalis czy Caspar David Friedrich, ukazuje człowieka na tle zagadkowej, tęnącej grozą natury. Bohater "Kawalera z morskiej pianki", wędrujący brzegiem oceanu, patrzący na fale, które zderzają się i rozbryzgują w skalnym kotle, to jakby współczesny Friedrichowski der Münch am Meer i współczesna wersja profety z "Genezis z Ducha". Tyle tylko, że i Novalis, i Friedrich, i Słowacki dostrzegali możliwość zniesienia napięcia między człowiekiem a naturą. Natura mogła być ołtarzem Boga, księgą praw kosmosu, tajemniczym bytem, który pojmujemy i z którym jednoczymy się w momencie mistycznego uniesienia. W porównaniu z romantycznymi filozofami przyrody Haupt jest pesymistą: natura nie jest groźnym absolutem, ale groźnym absurdem. Właściwym celem jego literackich przedsięwzięć jest doścignąć, opisać i odtworzyć poczucie absurdu, nieprzejrzyistości; całkowitej,

ostatecznej i nieodwracalnej obcości natury. Więcej, nie tylko naутry, ale całego wręcz zewnętrznego świata. Gdyż każdy byt, także ten, który naznaczony jest piętnem celowej ludzkiej działalności, może odsłonić groźne, niepojęte oblicze. Haupt często mówi o "dzianiu się". Dzieje się wszystko; i las, i morze, ale i wzniesione przez człowieka na morskim brzegu budowle. "Dookoła dzieje się ta architektura nadbrzeżna, przywodna, utylitarna /.../ i stoi i wypucza się w stronę morza". Romantyczne wtajemniczenie w naturę było co najmniej dwustopniowe; romantycy najpierw stawiali zdumieni i oniemiaли wobec jej zagadkowości, potem zaczęli szukać rozwiązania zagadki i odnajdywali je. U Haupta pierwszym i ostatnim stopniem wtajemniczenia jest świadomość, że nie ma ani tajemnicy, ani zagadki, a tylko przewalający się z nieskończoności w nieskończoność bezsensowny bełkot żywiołu. Coś niepojętego dzieje się wokół.

Powiedziałem, że Haupt jest mistykiem. Jako mistyk pragnie przede wszystkim w sposób przekonujący i zrozumiały opisać swoje doświadczenia. Jako krytyk chciałby opisać ten opis.

Po pierwsze: Haupt pisze gawędy. Gawęda posługuje się językiem mówionym, a więc językiem żywym, stającym się na naszych oczach, nieuporządkowanym. Trzeba zapomnieć o ideale wykończonej formy, o uładowym stylu, o zdaniach, z których każde ma początek i koniec, aby nareszcie wypaść z kolein rutyny. Po wtóre: Haupt koncentruje się na szczególe. Szczegół jest tylko szczegółem, jest niczym. Jeśli więc uczynimy go głównym przedmiotem oglądu, jeśli będziemy zajmować się tylko szczegółami, tym samym znajdziemy się już poza stałym łaodem codziennego ludzkiego porządku. Zdarza się u Haupta, że przedmioty, dosłownie i w przenośni, na moment wyłaniają się



z mroku i natychmiast z powrotem w nim giną. "A pole uciekało zaraz na krótki dystans i nic dalej. Czasem czernił się mijany krzak głogu, kolczasty i nagi". Kiedy indziej niezwykle dar obserwacji pozwala ukazać nieznany aspekt rzeczy. "U tej linii przypływu zaśmieci się także morszczykami, które są jakieś kruche i pęcherzowe i chrzęszczą pod podeszwą, wywołując dziwną sensację i satysfakcję, i obrzydzenia". Bardzo to piękne i bardzo prawdziwe, ale trzeba nadzwyczajnej spostrzegawczości, by zanotować, że rozdeptując morszczyk odczuwa się i obrzydzenie, i przyjemność. Po trzecie wreszcie: należy możliwie rzadko posługiwać się symbolem. Opisywane byty nie powinny stawać się symbolami, powinny pozostawać rzeczami. Tylko wyjątkowa odkrywczość metafory i świeżość obrazowania pozwala osiągnąć ten cel. Im bardziej zniewalające jest złudzenie bezpośredniej, namacalnej obecności przedmiotu, tym bardziej oddalamy się od symbolizmu. Realizm całkiem dobrze współistnieje z symbolizmem, hiperrealizm właściwie jest z nim nie do pogodzenia.

Aby opisać metafizyczne doznanie, którego istotę stanowi nagłe poczucie nieprzejrzystości, absurdalności bytu, Haupt usuwa te współrzędne, które wciąż jeszcze organizują większość tekstów literackich: rezygnuje z porządku przyczynowego /brak akcji/, temporalnego /wstrzymana chronologia/, refleksyjnego /brak symboliki/.

Oczywiście /wynika to zresztą ze wszystkiego, cośmy dotąd zdążyli powiedzieć/ nie są to środki, którymi można by się posługiwać stale. Haupt nie rezygnuje z symbolu jako takiego, nierzadko też wplata w tok opowieści fragmenty refleksyjne. Rzecz w proporcjach. Wśród znanych mi autorów polskich doby współczesnej nie znajduję nikogo, kto połączywszy w ten sposób opisane środki, sięgałby po nie równie często. To



właśnie przesądza o oryginalności pisarza, którego utwory są gawędami mistycznymi, nie zaś opowiadaniem, obrazami czy, jak chciał Jan Bielatowicz, gawędami intelektualnymi.

Gawęda mistyczna... Dziwny to gatunek. Bardzo swojski i bardzo uniwersalny.

Juliusz Jarosławski

---

Zygmunt Haupt: "Pierścień z papieru".  
Warszawa 1988, Wyd. Respublica.

JAN PALUSIŃSKI

### GENERALSKA BIOGRAFIA

Wyobrażam sobie, że można by napisać osobny tekst o roli jaką w dziejach PRL-u odegrała eseistyka historyczna. Na przykład, niesłychana popularność książek Pawła Jasienicy - cokolwiek o nich sądzą profesjonalści - była i chyba ciągle jeszcze jest zjawiskiem, które się nasuwa jako przedmiot analizy. Ale chodzi nie tylko o Jasienicę. Znaczne zainteresowanie czy nawet burzliwe dyskusje wzbudziły wystąpienia Pruszyńskiego /"Margrabia Wielopolski"/, Bocheńskiego /"Dzieje głupoty w Polsce"/, Załuskiego /"Siedem polskich grzechów głównych"/, Kijowskiego /"Listopadowy wieczór"/, Łubieńskiego /"Bić się czy nie bić"/, Karpińskiego /"Cień Metternicha"/ czy wreszcie liczne publikacje Łojka.

Skąd brały się te kontrowersje i emocje? Nie sądzę, żeby powodowało je jakieś szczególne rozmiłowanie w historii. Dobrze wiadomo, że poziom wiedzy historycznej w Polsce pozostawia wiele do życzenia, a uczone syntezy i profesorskie opracowania nie cieszą się jakimś szczególnym wzięciem. Nie chodzi więc, jak mi się zdaje, o czystą historię. Raczej przeciwnie: w esejach

przywołanych autorów historia jest raczej pretekstem czy parawanem pozwalającym w zawołany sposób podejmować aktualne problemy. Inaczej mówiąc, pełni ona funkcję zastępczą w sytuacji, gdy publicystyka polityczna nie może wypowiadać się pełnym głosem. Eseiści historyczni, posługując się analogią i aluzją, porozumiewają się z czytelnikami niejako szyfrem, ponad głową cenzora. Tak to się przedstawiało jeszcze do niedawna, zanim otworzyły się możliwości swobodnej ekspresji w drugim obiegu. A i wtedy - co może się wydać paradoksalne - autorzy sięgali, z upodobania czy starego przyzwyczajenia, do historycznego kamuflażu. Przykładem świetne skądinąd eseje Michnika /"Rudin", "Rozmowa w Cytadeli", "Poeta epoki paskiewiczowskiej"/ czy Karpińskiego /"Słowiański spór", "Chusteczka imperatora"/.

Za taki styl myślenia - w znacznej mierze usprawiedliwiony, bo wymuszony - płaci się jednak pewne koszty. Powstaje nawyk używania jakiegoś metajęzyka, co prowadzi do sytuacji, w której nie sposób już mówić o rzeczywistości bez zapośredniczeń. Poza tym konstruowanie analogii, poszukiwanie rozwiązań w przeszłości i przenoszenie struktur historycznych niejako ponad czasem, bez większej troski o konteksty prowadzi do takiego modelu świadomości, w którym Polska jawi się jako mityczny palimpsest. Nieustanne reinterpretacje służą jedynie za metodę odczytywania teraźniejszości wedle minionych wzorów.

Twórczość Mariana Brandysa doskonale się mieści w owym typie eseistyki, choć ma też swoje cechy specyficzne, dobrze widoczne w ostatnio wydanej książce "Generał Arbuz".

Rzecz traktuje o generale Józefie Zajączku. Wybór tej akurat postaci nie może być zaskakujący. Brandys od lat zajmuje się przełomem XVIII i XIX wieku, zwłaszcza

epoką napoleońską i czasami Królestwa Kongresowego. Ze względu na polskie nabożeństwo do Napoleona książki Brandysa od początku cieszyły się powodzeniem: "Kłopoty z panią Walewską", "Nieznany książę Ponia-towski", "Oficer największych nadziei", "Kozietulski i inni". Ale ich autor w gruncie rzeczy zawsze dążył do pewnej demitologizacji ludzi i czasów, a w każdym razie unikał ulubionych stereotypów, szukając prawdy, choćby i nie milej czy nawet okrutnej. Interesował go proces historyczny i jego moralny wymiar. Napisał o tym w zakończeniu swojego sześciotomowego opus magnum poświęconego losom napoleońskich szwoleżerów: "W rozpędzonej, nie ustającej ani na chwilę, centryfudze czasu scedzała się świadomość historyczna narodu. Aby wszystko co dobre mogło być nazwane dobrym, a wszystko co nikczemne - nikczemnym".

Dla owej świadomości narodu rewizje Brandysa zdają się mieć znaczenie zbawienne: podważają najbardziej rozpowszechniony, bogoojczyźniany mit, który zamienia dzieje polskie w jakiś oleodruk z czystymi dziewczycami, Matkami-Polkami i cierpiącymi za ojczyznę bohaterami. Z drugiej jednak strony Brandys nie buduje na tym miejscu legendy czarnej, co przy podobnych rewizjach często się zdarza. Historia u Brandysa bywa heroiczna i bywa - jak on sam mówi - nikczemna; ludzie zasłużeni i przyzwoici sąsiadują z łajdakami, i to jest naturalne, choć często bolesne. Świadomość polska, która chętnie wypiera się swoich cieni dążąc do jakiejś uduchowionej, wysublimowanej i anielskiej formy, raczej się okalecza niż wzbogaca. A Brandysowi chodzi o to, żeby spojrzeć na samych siebie swobodnie i bez kompleksów, odważnie zmierzyć się z całością zbiorowego doświadczenia.

"Generał Arbuz" jest książką, w której Brandys daje jakby skrót czy streszczenie swoich wcześniejszych rzeczy. Postaci,

którym poświęcił kiedyś osobne książki - jak Sułkowski - przemykają się tu przez chwilę, potrzebne w takim stopniu, w jakim związane były z Zajączkiem; większą rolę odgrywają może ci, o których m.in. traktował "Wojciech świata szwoleżerów": Wielki Książę Konstanty, Aleksander I, Nowosilcow, Niemcewicz, bracia Niemojowscy; ale też okres Królestwa Kongresowego był w biografii Zajączka swoście malowniczy: to wtedy dokonała się ostatecznie ruina moralna generała. W tym sensie, powiedziałbym, że najnowsza książka Brandysa zbiera kwintesencję goryczy tak bardzo przenikającej pierwsze, "kongresowe" tomy epopei szwoleżerskiej.

Zajączek jest, oczywiście, postacią, która mogłaby się stać przedmiotem już nie tylko gorzkiego eseju, lecz nawet paszkwilu. Brandys aż tak daleko się nie posuwa, chociaż nie skąpi jadowitej ironii. Pokazuje generała jako swoistego kondotiera, który gotów jest służyć każdemu i w każdej sprawie, byle tylko sprzedać własną wolność i czuć się - co za paradoks - zależnym. Szczególny fenomen psychologiczny, dziś powiedzielibyśmy: osobowość autorytarna.

Brandys pisze: "Cały życiorys Józefa Zajączka herbu Świnka to nieprzerwane pasmo oczarowań różnego rodzaju i różnego kalibru autorytetami. Przed każdym wali się na kolana, przed każdym wybijają pokłony aż do spadnięcia peruki /.../. Potem następuje odkrycie pomyłki lub zmierzch autorytetu z jakichś innych względów i... niemal natychmiastowy przeskok w zachwycenie autorytetem następnym, będącym najczęściej krańcowym przeciwieństwem poprzedniego".

Zarazem ten słuźalczy stronnik Braniczkiego, napoleoński generał wybijający Mameluków w Egipcie i wypierający się polskości na rzecz przybranej ojczyzny - Francji, wreszcie namiestnik Królestwa posłusznie



wykonujący rozkazy Konstantego jest przykładem niesłychanej kariery: od szaraczkowego szlachcica do vice-króla. Tyle że ta wstępująca w szalonym tempie kariera idzie zawsze w parze z postępującą degradacją moralną, aż staje się przedmiotem drastycznej satyry:

Oto jest sternik nieszczęsnego kraju:

Zajacek z ducha, świnka z obyczaju.

Pisałem wcześniej, że eseistyka historyczna - także ta, którą uprawia Brandys - ma zwykle swój wymiar aktualny i publicystyczny. Myślę, że pisany w latach 1984-1986 "Generał Arbuz" nie odbiega od tej zasady. Chyba dwie możliwości trzeba wskazać. Najpierw to, że tak wyrazista w życiu Zajączka zasada wiecznej konwersji politycznej i ideowej - od jakobinizmu do reakcjonizmu - dziwnie współbrzmi z tym, co można było obserwować w PRL, gdzie ci sami ludzie w ciągu trzydziestu lat potrafili parokrotnie zmieniać diametralnie postawy i poglądy. Można by więc czytać książkę Brandysa jako swego rodzaju przestrożę.

I druga możliwość, związana z rolą, jak generał odegrał w Królestwie Kongresowym. Można by to pokwitować po wyspiańsku: "ród pamięta, brat pamięta, kto te pozakładał pęta i że ręka, co przekłeta była swoja". Po stanie wojennym, gdy książka powstawała, taki sens generalskiej biografii nie mógł być całkiem obojętny.

Jan Palusiński

---

Marian Brandys: "Generał Arbuz", Warszawa 1988, PIW.



# FELIETONY

LUDVÍK VACULÍK

## SIERPNIOWY LISTOPAD

Człowiek zamierza wyprawić swe urodziny. Zaprasza krewnych oraz przyjaciół, przybywają też z reguły goście nie zaproszeni, którzy go lubią. Aż tu nagle, proszę sobie wyobrazić, wpadają do sali bakterie i wirusy, od chwili przyjścia solenizanta na świat atakujące go i zagrażające jego zdrowiu. Wpychają się między składających życzenia i zabierają głos, zágłuszając wszystkich. Obustronne zapalenie ucha środkowego opowiada, jak wraz z matką czuwało całą noc przy łóżeczku maleństwa. Świnka referuje, jak dzielnie uczeń nadrabiał lekcje opuszczone wskutek choroby. Żółtaczka zakaźna pokazuje zdjęcia świadczące, że wprawdzie po spotkaniu z nią nasz solenizant był wymizierowany, ale w dwa lata później wrócił do sił. Prątek gruźlicy czyta esej o wpływie, jaki wywarł na wczesną twórczość poetycką solenizanta, co aktor Vinklár ilustruje, deklamując fragmenty wierszy... Wszyscy stoimy osłupiali, a gdy nabieramy powietrza, aby zadać pytanie, łapie nas grypa. Solenizant stanowczo protestuje przeciwko takiej reżyserii swojego święta, aż tu doskakuje do niego zawał mięśnia sercowego i odprowadza do łóżka, żeby go uspokoić.

Otóż tak właśnie my, czciciele, przyjaciele, rodzina Republiki Czechosłowackiej, obchodziliśmy jej siedemdziesiąte urodziny. Od tego czasu szukam odpowiedniego słowa, żeby oddać nasze zdumienie nad zuchwalstwem facetów od dawna i jawnie jej nieżyczliwych, którzy w chwili jej narodzin uznawali ją tylko za przejściowe zło, później wykorzystali jako pole walki o władzę, przez ostatnie czterdzieści lat uważali za swoje feudalne lenno - i naraz wdzierają się między demokratów, poszturchując bezwstydnie tych, którzy zawsze ją szanowali: w zeszłym roku tak samo jak dwadzieścia czy pięćdziesiąt lat temu. Skąd ci zuchwalcy dowiedzieli się o Masaryku i Štefániku, skoro we wprowadzonych przez nich szkolnych podręcznikach historii nie było o nich nic? Teraz puszą się przed nami jako dziedzice i kuratorzy republikańskiej demokracji oraz jej owoców: na głowach białe hełmy, zwane masarykówkami, znane nam z licznych fotografii Tomáša Garrigue Masaryka, w ręce gumowa pałka, którą Masaryk sprawiłanie dziewiętnastowiecznym autorom średniowiecznych "Rękopisów". Czy w końcu nie będą miał Masaryk strzelać do ludu?

Oczywiście, również dureń może po ludzku się mylić. Ale gdy się o tym przekona, wynika stąd kolejne, trudne do przewidzenia nieszczęście. W jego wypadku bowiem, z tą głową i tym charakterem, naprawa nie jest możliwa. Może mylić się również człowiek dość sprytny, jak choćby ja, kiedy to namawiałem państwa, idiota, żebyśmy razem poszli na rządowe obchody dnia Wolności. Myślałem oczywiście, że będzie nas sto tysięcy. Nie udało się, byliśmy tam tylko we dwóch. Dobrze jeszcze, że w dzień później nie zawiedli młodocześi, którzy już się na nas nie oglądają i zaczynają od początku gromadzić swoje tysiące...

Gdy ktoś zaczyna przyznawać się do historii, którą chciał przedtem wymazać, mamy

prawo spodziewać się wyjaśnień. Żyją przecież pośród nas ludzie, którzy za wspominięte nazwiska Masaryka i Beneša, za szacunek dla ich dzieła siedzieli w więzieniu. Wyjaśnienie, które nie nastąpiło, jest proste: pierestrojka. W figurze i charakterze nic się nie zmienia. Kazać obchodzić święto państwowe dwudziestego siódmego, a dwudziestego ósmego, w stamo to święto, wymłócić zgromadzonych na placu - to przykład kompleksowego myślenia i niepodzielności poczyną rządu. Oni bowiem nie zamierzali uznać czegoś, czego nie mogą zdławić, oni to zamierzali zawłaszczyć. Po prawdzie robotniczej, prawdzie filozofów, utopistów społecznych i poetów teraz zagarniają prawdę narodową, której dotychczas starali się nie widzieć. Pozbawili już dawno wartości Święto Pracy. Zhańbili pełen subtelnych treści Dzień Matki. Bożemu Narodzeniu zrobili skrobankę. W tym roku rąbnęli czechosłowacki Dzień Wolności, kto jest grzeszny, dostanie kawałek krwawej kiszki, ale tylko dwudziestego siódmego października; dwudziestego ósmego dostaniemy najwyżej krwawych wylewów na własnym ciele. Dopóki wydawało się im, że państw narodowych ma nie być, pracowali nad tym, by poszły w zapomnienie. Gdy teraz widzą, że państwa narodowe mimo to będą, dla tego z nich, które wloką na smyczy, szukają co żywo rodowodu!

I powiem państwu, że mnie się takie zachowanie nie podoba także jako byłemu członkowi partii komunistycznej. Dla komunisty, upieram się, Masaryk winien pozostać agentem imperializmu. Beneš zdrajcą narodu, a przedwojenna Czechosłowacja narzędziem kapitalistycznych intryg przeciwko Związkowi Radzieckiemu. A ci, co za miskę soczewicy zdradzają Słowacką Republikę Rad z roku 1919, wbijają nóż w plecy grudniowemu strajkowi generalnemu z roku 1920, porzucają marzenia swej młodości o obumarciu na-

rodów i przekształceniu się ich w jeden lud pstrokatej rasy, to są dla mnie oportuniści, cieszę się, że u nich nie jestem. Ale gdzie jesteście i co na to powiecie wy, towarzysze z zakładów "Praga", którzy w roku 1968 potrafiiliście w liozbie dziewięćdziesięciu dziewięciu przeciwstawić się gorbaczowszczyźnie?

Na rządową manifestację dwudziestego siódmego października przyszedłem za późno. Przyjechałem do Pragi w południe, a kiedy usłyszałem, kogo zamknęli i komu zrobili rewizję w mieszkaniu, musiałem najpierw posprzątać. Na plac Wacława przybyłem, gdy reflektory zgasły, głośniki umilkły. Pokonany bez walki, siedłem przez plac i było mi ciężko na ciele oraz na duszy. W bocznej ulicy obsługa wycofywała armatkę wodną, z którą Masaryk pokonał austriackiego ministra spraw zagranicznych, Aehrenthala. Z Przykopów zaszedłem na Rycerską, a tam stał Jaroslav Putík i wpatrywał się w wystawę z zimowymi paltami. - No i jak, nic? - zapytał. - Inni nie przyszli - powiedziałem.

Nastał śliski listopad. Mgła, smog i złe wiadomości. Rozpędzenie sympozjum "Czechosłowacja 88". Dubček w Bolonii. Przesłuchania. Słowacki minister kultury Válek mówi w "Rudym právie" o urazie wywołanym przez okupację w roku 1968 i niby to bierze w obronę Kartę 77 oraz samizdat. - Co mu do tego i dlaczego nie zajmie się swoim własnym dwudziestoletnim urazem? Gdy przeczytałem w gazecie, że prokurator generalny ZSRR uznał członków "opozycji robotniczej", rozstrzelanych przed pięćdziesięciu laty, za niewinnych, miałem ochotę złożyć w jego ambasadzie notę protestacyjną. Ale jak wyrazić ten wstręt, obrzydzenie i brak zaufania?

Proszę sobie wyobrazić, że w poniedziałek przyjdzie do pana jakiś drab i będzie twierdzić, że jest środa. Jeśli zacznie



się pan z nim o to spierać i będzie pan miał pecha, że to jeden z tych - wpakuje pana do pudła. Jeżeli jednak będzie pan miał to szczęście, że trafi na zwolennika reform, wypuści pana w piątek i zrehabilituje: Masz rację, jest poniedziałek.

/Listopad 1988; drukowane w "Listach" nr 1, luty 1989/

Ludvík Vaculík

Przełożył Paweł Heartman

Aluzje autora do wydarzeń z przeszłości Czechosłowacji i ruchu komunistycznego na jej terenie nie wymagają raczej komentarzy. Warto może tylko wyjaśnić, że:

"Rękopisy" to rzekome zabytki literatury staroczeskiej, "cudownie odnalezione" w latach 1817 i 1818; w roku 1886, przy niemałym udziale prof. T.G. Masaryka, udowodniono ostatecznie, że były to utwory apokryficzne.

Dnia 30 VII 1968 r. moskiewska "Prawda" wydrukowała list 99 pracowników praskiej fabryki samochodów ciężarowych "Praga" /w rzeczywistości 60 pracowników i 39 członków ich rodzin, gdy załoga zakładów liczyła 4.500 osób/; autorzy listu dawali wyraz zaniepokojeniu kierunkiem przemian zachodzących w Czechosłowacji oraz deklarowali swą miłość i zaufanie do ZSRR /"Wiemy, do kogo mamy zwrócić się w potrzebie najwyższej... Jesteście u nas zawsze serdecznie witani"/.

Jaroslav Putík /ur. 1923/ to pisarz i dziennikarz czeski, od roku 1970 objęty w swoim kraju zakazem druku.

Miroslav Válek /ur. 1927/ przestał już być ministrem kultury w Słowacji; obecnie został prezesem Czechosłowackiego Związku Pisarzy.

P.H.



MOIM ZDANIEM...

Wyjątek dla narciarstwa czyniąc, jestem zdecydowanym przeciwnikiem zjazdów. Rozumiem oczywiście, że w różnego rodzaju organizacjach muszą i powinny się odbywać zjazdy delegatów, na których wysłuchuje się sprawozdań, udziela absolutorii i wybiera nowe władze, ale to rozumienie nie umniejsza niechęci. Słowem wyraźny rozdzźwięk między stroną poznawczą a stroną emocjonalną czyli objawy schizo. To ostatnie napisałem z myślą o moich biografach, co zaznaczywszy mogę wrócić do sprawy zjazdów, konferencji, międzynarodowych kongresów i w ogóle spędów wszelakiego rodzaju. Otóż najbardziej nie lubię spędów jajogłowych zwoływanych celem Udzielenia Poparcia Niezwykłe Szlachetnej i Wzniosłej Sprawie.

Pewno, że jajogłowi spotykali się i dawniej. W dziewiętnastym wieku odbywały się na naszym kontynencie zjazdy przyrodników, astronomów, może nawet filologów klasycznych. Przyrodników było niewielu, także filologów, a już astronomów to chyba tyle co krokodyl napłakał. A pomiędzy przyrodnikami właściwie wszyscy się rozumieli, jako że specjalizacja znajdowała się w powijkach. I to ostatnie zważywszy, a także biorąc pod uwagę stosunkowo niewielką ilość uczestników, szansa, iż człowiek się czegoś na takim kongresie dowie była znaczna. Niestety, z biegiem czasu, rzecz uległa degeneracji, a to wskutek tego, że na świat cały zsunęła się lawina uczonych, specjalizacja zaś sprawiła, że coś takiego jak kongres chemików jest właściwie pozbawiona racji bytu. Sensu tedy w takich zjazdach mało, ale też i szkody stosunkowo niewielkie. Jeśli raz na trzy lata spotyka się trzy tysiące nurochirurgów - zazwyczaj w tzw. atrakcyjnej miejscowości - i obradu-

je przez trzy dni w trzydziestu trzech sekcjach, to ostatecznie ich sprawa.

Ale z ideą spotkania uczonych stało się coś jeszcze gorszego: została przechwycona przez polityków z państw totalitarnych. Dokonali oni mutacji kontrolowanej, w której rezultacie uzyskali mutantą w postaci Kongresu /Zjazdu, Spotkania, Forum/ Twórców Kultury. Bestia to wyjątkowo głupia i złośliwa. Wystawiali ją na pokaz publiczny i włoscy faszyci, i hitlerowcy, ale celowali i celują w tym po dziś dzień bolszewicy. Imprezy takie, jak zjazd pisarzy w obronie pokoju w Paryżu, w 1937 r. albo wrocławski kongres intelektualistów w 1948 r., czy nowojorska Konferencja Ludzi Nauki i Kultury w Obronie Światowego Pokoju w 1949 r. to majstersztyki propagandy, mydlenia oczu /a przy okazji werbunku/, które powinny być kiedyś opisane i dokładnie zanalizowane. Niezależnie od szczegółowych wyników takiej analizy można już dziś sformułować trzy naczelne dyrektywy, mówiące o tym, kiedy i jak należy organizować spędy twórców zwane oficjalnie kongresami.

Pierwsza z nich i najważniejsza głosi co następuje: jeżeli masz zamiar wykonać jakąś zbrodniczą akcję lub posłużyć się niesłychanym mactwem na wielką skalę dobrze jest zwołać międzynarodowe spotkanie twórców, na którym będzie się mówiło o zbrodniach w innej części świata /mogą być rzeczywiste, ale lepiej, gdy są zmyślone, bo to powoduje głębszy dur czyli umysłu zamroczenie/; w przypadku mactwa należy na takim kongresie uchwalić, że jest ono szlachetnością w stanie chemicznie czystym, ktokolwiek zaś żywi co do tego zastrzeżenie, choćby i skromne, ten łąjdakiem jest albo durniem, a najszerzej i tym, i tym.

Dyrektywa druga jest skromniejsza, można powiedzieć partykularna. Orzeka ona, iż jeśli dany kraj zmierza wyraźnie w stronę cywilizacyjnej zapaści, należy w nim zorganizować kongres nauki i oddzielnie kongres

kultury. Na kongresach tych panować powinien jeden z dwóch wariantów totalitarnej wolności słowa. Wariant pierwszy zwany dogmatycznym polega na tym, że mówić wolno o wszystkim pod warunkiem, że nie na temat tj., że nie będzie się mówiło o cywilizacyjnej zapaści. Wariant drugi zwany liberalnym sprowadza się do tego, że wolno mówić również o cywilizacyjnej zapaści - o ile tylko spełni się przy tym dwa wymogi. Mianowicie nie będzie się mówiło o tym, kto ponosi odpowiedzialność i nie będzie się proponowało żadnych rzeczywistych zmian.

Dyfektywa trzecia dotyczy "personalistów" spędu. Komitet organizacyjny ma się składać z odpowiednio wyważonej mieszanki szanownych nazwisk i "naszych ludzi". Tych drugich może być mniej, ponieważ i tak mają przewagę. A to dlatego, że wiedzą o co chodzi i są zorganizowani. Co zaś do uczestników, to należy zadbać, by prócz stworzonych przez nas i odpowiednio rozdętych wielkości znaleźli się tam uczeni z prawdziwego zdarzenia, kilku dobrych malarzy, paru rzeczywistych poetów. Jeśli dobry prozaik zasiada obok grafomana, to oczywiście obaj zostają mianowani wybitnymi pisarzami. Nader ważną postacią spędu jest gwiazdor /specjalność gwiazdora, to bycie gwiazdorem/ - oczarowuje wszystkich, wszyscy cisną się do niego, pragnąc na własne uszy usłyszeć kolejny bonmot czy szmonces. Czegokolwiek gwiazdor zażąda - to zostaje spełnione przez uczestników spędu tak gorliwie jak by im za to płacono. Pożyteczni są ludzie, którzy albo podejrzewają, że nie są tak wielcy jak się o nich mówi /tacy trafiają się rzadko/, albo od dłuższego czasu cierpią na niemoc twórczą. Jedni i drudzy z reguły dbają o naszą przychylność.

Domyślam się, że w tym miejscu - albo i wcześniej - spotka mnie zarzut makiawelicznego cynizmu. Argument zaś będzie taki:

zdarzały się wszak antytotalitarne kongresy twórców, na przykład Kongres Kultury Polskiej w dniach 11,12 i... grudnia 1981 r.

Hm - jakby powiedział mistrz ciętej riposty. Co daje się wyłożyć mniej więcej tak.

To prawda, że jajogłowym zdarzało się organizować antytotalitarne zgromadzenia twórców. Bywały sytuacje, w których nie mieli innego wyjścia. Kłopot polega na tym, że sama zasada kongresu twórców sprzeczna jest z istotą twórczości naukowej czy artystycznej. Poeci wiedzą, że j a k o p o e c i 'są samotni; uczeni wiedzą, że nawet dziś tworzyć można tylko w niewielkich zespołach, a dla wszystkich jest oczywiste, że w gronie kilkuset osób nic prócz hałasu powstać nie może.

Tu oskarżyciel mój powie: no dobrze, ale można coś poprzeć, czemuś się przeciwstawić - słowem "dać głos".

Czyj? Zbiorowy głos biofizyka, rzeźbiarza i architekta?

Wiara w to, że tzw. szary człowiek coś uczyni /albo czegoś nie uczyni/ dlatego, że zaleciło mu to trzystu dwudziestu trzech facetów /płci obojga/, z których część pisuje wiersze, inni zaś malują lub kreślą na tablicy znaczki zrozumiałe dla bardzo niewielu - wiara w to wydaje mi się wyjątkowo optymistyczna.

Zbiorowy głos twórców potrzebny jest przede wszystkim przywódcom. Pod warunkiem, że będzie afirmował ich poczynania.

Przyznam się, że nie lubię "dawania głosu", nie lubię gdy mi stawiają warunki i bardzo nie lubię, gdy mi kto decyduje nazwywa propozycjami.

30.III.

Leopolita



# LISTY

## SZANOWNY PANIE WAŁĘSA!

Codziennie napływały setki listów pod podany w telewizji adres Komitetu Organizacyjnego do spraw Okrągłego Stołu przy Lechu Wałęsie. Wybrane poniżej są tylko niewielką próbką, która odzwierciedla jednak - jak się zdaje - ton i tematykę większości listów.

x x x

Szanowny Panie Lechu! Pewne kręgi społeczeństwa twierdzą, że z komunistami w ogóle nie powinno się rozmawiać. Tylko co? Co robić? Wyjść na ulicę z kamieniami? I czekać na nową WRONĘ? Nie, nie, innych możliwości moim zdaniem nie ma. Jediną szansą są rozmowy nieustępliwie doprowadzające właśnie do oczekiwanych ogólnie ustaleń. Panie Wałęsa i Panowie, życzę Wam, abyśmy nie musieli znów czekać kilka lat na nowy stół, życzę wytrwałości, Lipiński Wojciech, tokarz. P.S. Przepraszam za błędy, ale nie takie dotąd popełniano i nikt nas jakoś nie przepraszal, prawda?

...Prośba, abyście nie rezygnowali ze stałego dostępu do radia i telewizji. Chcemy mieć z Wami stały kontakt. Wszyscy opłacamy abonamenty, chcemy żebyście mówili do nas. Wspieram was modlitwą, bo całym sercem jestem za tym, żeby zło jakie się stało w naszym kraju przezwyciężyć dobrem. Krysztyna Łazowska.

Jeśli w ciągu dalszym Partia będzie się upierała przy socjalizmie, żądamy głosowania, aby Naród mógł się sam wypowiedzieć jakiego życzy sobie ustroju. Do tego ma prawo, bo stanowi lwia część w stosunku do małej garstki socjalistów, którzy w dodatku nie wszyscy należą do Partii z



przekonania, a po prostu dla interesu.  
Regina G., Warszawa.

---

Bardzo Pana proszę o kilka słów, które podtrzymałyby mnie na duchu. Moja renta wynosi 18.100 zł. Po odliczeniu miesięcznych opłat, zostaje mi tyle pieniędzy, że mogę przeżyć jeden tydzień. Niedawno znów usłyszałam w telewizji, że powinniśmy zacząć myśleć o Polsce. Czy nie robiłam tego, pracując i wychowując dzieci? Czy doczekam czasów, kiedy Polska zacznie myśleć o mnie?  
Zofia Kokowicz, Lublin.

---

Kochani, piszę ten list z wielką nadzieją na dobrą odmianę losu naszej Ojczyzny. To dzięki Wam ta nadzieja znowu ożyła, a było już tak beznadziejnie. Boże wielki, przecież codziennie gdy w telewizji możemy usłyszeć naszych przedstawicieli - oni artykułują to wszystko, co zalegało w nas latami. Co za wspaniali ludzie - Samsonowicz, Bujak, Stelmachowski, wszyscy, wszyscy... co za wzruszenie ogarnia, gdy poznajemy panią red. Łuczywo i tylu innych, których widzimy po raz pierwszy, a przecież od tylu lat tak wiele im zawdzięczamy.  
adw. Irena Dogiel-Pieńkowska.

---

Panie Wałęsa, jestem gorącym zwolennikiem "Solidarności" i dlatego popieram Pana i proszę gorąco, aby Pan zachował ostrożność w tych rozmowach z nimi. Bo jak Panu wiadomo, rodziny wielodzietne miały być pod szczególną opieką, a co z tego wyszło wszyscy wiemy, więc proszę was bardzo miećcie to na uwadze. Panie Wałęsa, niech Pan nie myśli, że pisząc ten list do Pana oczekuję jakiejś pomocy, bo teraz już się nic od nikogo nie spodziewamy. Władysław Kamiński.

---

Dużo zdrowia i wytrwałości  
dla Pana i Solidarności  
oraz owocnych obrad przy Okrągłym Stole  
żeby go nie zgryzły ze Wschodu mole.

Krzysiek B. z Sokolca

Prosimy, zaproponujcie przeprowadzenie referendum. Niech cały naród wypowie się, jaki kształt Polski chce widzieć w przyszłości. Ale to musi być referendum naprawdę wolne, bez nacisków i zafałszowań, jak to niegdyś bywało. Frekwencja gwarantowana! Niech fałsz, obłuda, zakłamanie i wszelkie zło systemu zostaną wyrzucone na śmietnik historii. Niech zwycięży Dobro. Szczęść Boże. Stanisław Lewicki.

---

Od dłuższego czasu denerwują nas kobiety ruskie, które stale w naszym mieście handlują i wykupują ze sklepów co się da i to w dużych ilościach. Wymieniają ruble na złote, wymieniają też ze sklepowymi na mięso, przez nich nic nie możemy kupić, stale szybują po naszych sklepach. Uważamy, że jeśli ruskie wojsko ma nas bronić, to powinno być tylko wojsko czynne bez kobiet. Pamiętamy te czasy, za Bugiem, kiedy oni nas wyzwolili od wszystkiego. Maria S., Bolesławiec.

---

Bardzo wam wszystkim współczujemy i dziękujemy za cierpliwość w tych rozmowach przy okrągłym stole, z całą rodziną trzymamy kciuki za was, ale zdaje nam się, że popełnił Pan Panie Wałęsa błąd, bo trzeba było zażądać najpierw rejestracji "S", a dopiero potem rozmowy, bo teraz Rząd będzie chciał was zbyć, a rejestrację będzie odkładał. Z całą rodziną jestem z Wami, tylko czy wytrwacie i czy naród wytrwa, a zwłaszcza młodzież?

---

Wniosek. Wnioskuje, aby Milicję Obywatelską odwołać, a w to miejsce powołać do życia Policję, taką jaka istnieje w krajach zachodnich. Uzasadnienie. Nie byłem na Zachodzie, ale opowiadano mi, że tam policjant szanuje obywatela, jest jego przyjacielem. Jak długo sięgam pamięcią wstecz, MO zawsze odznaczała się brutalnością, arogancją,

jakby nie była naszą polską tylko obcą, a już od stanu wojennego osiągnęła szczyty. W związku z powyższym wnioskuję, aby polską policję ubrać w mundury granatowe takie jakie polska policja miała przed wojną. Uzasadnienie. MO przez swoje postępowanie w okresie przeszło 40 lat doprowadziła do tego, że widok ich niebieskich mundurów napawa wstrętem, obrzydzeniem, niejednego doprowadza do rozstroju nerwowego, bo może zatrzymać, wylegitymuje, uderzy bez powodu. W związku z powyższym wnioskuję jak na wstępie. Kaz. Komarowski.

---

Proszę was i błagam, zaradźcie coś temu przy okrągłym stole - dopóki będzie tyle wódki w sklepach, nie spodziewajcie się dobrej pracy i wyjścia z kryzysu, na darmo wasze obrady. Stale pełne półki jest wódki i piwa, nigdy nie zabraknie, nawet maszyny się nie psują, tylko krochmalu nie ma /bo się maszyny popsuiły - tak pisze prasa/ i nie ma czym bielizny ukrochmalić, ale wódki nie może zabraknąć. Brajm.

---

...W roku 1949 zostałem skazany na 12 lat więzienia przez Wojskowy Sąd Okręgowy w Poznaniu, choć prokurator domagał się kary śmierci. Dzięki Pani Zofii Wasilkowskiej, która stała na czele Komisji działającej we Wronkach, w maju 1955 wyszedłem na wolność warunkowo po odbyciu kary 6 lat i 1 mies... Podobno ma działać jakaś komisja rozpatrująca te sprawy, czy można by spowodować, by radio i telewizja podały adres takiej komisji, która byłaby kompetentna wrócić mi te 6 lat i 1 mies. chociażby jako zaliczenie do emerytury? Ucieszyłem się, gdy w telewizji zobaczyłem Panią Sędzię Zofię Wasilkowską z teczką "Solidarności". Mam Jej do zawdzięczenia wolność. Niech dobry Bóg błogosławi Jej i udziela wszelkich łask, czego również życzę Szanownemu Komitetowi i Panu Lechowi Wałęsie. Ryszard Ryczko.

Komitet Centralny, Wałęsa Lech. Długo pragnęłam, żeby miał Pan kiedyś głos w rządzie i doczekałam się, bardzo się cieszę. Moja prośba: żeby kobiety pracowały tylko do 55 lat nie zwracając uwagi na ilość lat pracy, bo jeżeli się nie pracowało to się wychowywało dzieci. Ja na przykład wychowałam trzech synów. Są bardzo dobre, nie piją, bo siedziałam w domu pilnowałam. Mam tylko 12 lat pracy, ale już dalej pracować nie mogę, bo mi ciężko. Żeby Pan żył sto lat i Bóg Pana błogosławił i całą rodzinę. Basia.

---

Z wielkim podziwem i szacunkiem oglądamy was i słuchamy. Podziwiamy was za to, że przez 8 lat dzielnie broniliście waszych poglądów, że nie zginęliście. Rodziny Mrozowskich i Krępów.

---

Proszę mi nie wziąć za złe, że pragnę Panów pouczać, jestem od tego daleki, rozumiem, że wiecie bardzo dobrze z kim macie przyjemność rozmawiać oraz co ci ludzie zrobili z uzgodnionymi i podpisanymi Porozumieniami Sierpniowymi. Obawiam się odkładania demokracji na dalszy etap, ponieważ ludzie przy tych częściowych ustępstwach komunistów mogą im po raz któryś uwierzyć, wziąć się uczciwie do pracy, a wówczas czerwoni obrosną w pióra i beczelnie stwierdzą, że to PZPR wyprowadziła Polskę z kryzysu, a całej Opozycji zafundują drugą wojnę. Bardzo was proszę przyjaciele, abyście pamiętali o jednej podstawowej zasadzie: z komunista nie dogada się uczciwie nikt i nigdy. Adam Antczak.

---

Prawem człowieka jest organizować się, stowarzyszać. Jak partia może zakazać lub nakazać być albo nie być innej partii? Jak w Konstytucji może być zapis o wiodącej roli? To przecież grupy społeczne organizują się w partie czy stronnictwa. I one



proponują społeczeństwu program. Inspirują wybory. I proponują społeczeństwu Konstytucję. A u nas wszystko na opak. Panowie. To tak oczywiste. Współczuję Panom i Paniom z opozycji, a zarazem podziwiam za wytrwałość w głoszeniu oczywistych prawd. I życzę dalszej wytrwałości. Bogusław Kniszko.

---

Zwracam się z prośbą żeby wódkę znieść bo jeżeli tego się nie zrobi to zginiemy. wszyscy proszę załatwić moje sprawę pozytywnie zgóry dziękuję. Kozłowska.

---

Strajki i demonstracje budzą u niektórych obawy o okrągły stół. Ale to dochodzi do głosu nowe pokolenie. To pozwala uświadomić obu stronom, zwłaszcza władzy, że nie ma już czasu do stracenia. Ludzie są zmęczeni i zniecierpliwieni, chcą sami decydować o swoim losie. Wyrażam gorące podziękowanie za walkę o przetrwanie i odzyskanie naszego Związku. Stanisław Adamczyk.

---

W czasie obrad okrągłego Stołu nastąpiło już kilka podwyżek artykułów spożywczych. Dlaczego się zgadzacie, nie protestujecie. Przecież rząd wyraźnie dąży do zrywu rewolucyjnego, a "Solidarność" nic. Nie bądźcie lizusami, nie pchajcie z rządem naród w przepaść. Ratujcie nas. Sikorski, Szczecin.

---

Przeczytałem o tych obradach przy okrągłym stole spodobały mi się bardzo ja zaraz zobaczę czy się poprawiło czy nie to wam napisać czy się poprawiło czy nie. Pośpiech Józef lat 88, woj. częstochowskie.

---

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Pamiętajcie, że przed okiem Bożym nie ukryje się ani Okrągły Stół, ani ci, którzy radzą przy zamkniętych drzwiach. Na nic się zda podpieranie walącego się domu: trzeba go wybudować od nowa, a przede wszystkim trzeba położyć mocno fundamenty.



A więc wprowadźmy do szkoły Pana Boga i symbole wiary, modlitwę, przedmiot religii bo Polska jest krajem wierzącym, a kto nie wierzy, trudno, to dajmy im osobne szkoły ateistyczne... Życzę wam przy tym okrągłym stole pomocy Bożej, Rybczyńska Ludwika.

---

Wierzę teraz, że Polska nie zginie, bo rodzi się siła drzemiąca w solidarności polskiego narodu. Tylko nie zadowalajcie się połowicznymi rozwiązaniami, bo was mogą wyprowadzić w pole jak to zwykle bywało. Edykt Piecuch.

---

Pracowałam 22 lata w państwowym przedszkolu jako kucharka, poszłam do pracy jak najmłodsze z moich dzieci miało 12 lat. Mam dziesięcioro wnuków i bardzo mi przykro, że nie mogę im nawet kupić czekolady, bo dostaję 15.500 emerytury. Proszę pamiętać o takich jak ja. E. Balcerzak.

---

...Oczekujemy bezwzględnej gwarancji bezpieczeństwa obywatela. Niech milicjant zacznie być opiekunem, a nie postrachem. Podpis nieczytelny.

---

Jeżeli można rozmawiać z władzą, to trzeba tym bardziej porozmawiać między sobą, w gronie opozycji. Ludzie z Grupy Roboczej - A. Gwiazda, M. Jurczyk byli przy narodzinach "Solidarności", zostali wybrani do władz związku, działali w nim i swoje odśiedzieli. Teraz mają inne zdanie co do taktyki "Solidarności". Nie podoba mi się, że ciebie Lechu, atakują. Myślę jednak, że w "Solidarności" też powinien być pluralizm poglądów. Nie wszyscy muszą się ze wszystkim zgadzać. Jacek Sitko.

---

Byłem radnym w naszej gminie w latach sześćdziesiątych, w urzędzie gminy pracowało wówczas czterech pracowników administracyjnych. W obecnej kadencji zostałem znowu

wybrany na radnego i zastałem 45 pracowników administracyjnych... Województwo w Zamościu nie jest w stanie dać nam funduszy na budowę dróg, oświatę, gdyż od kiedy zostało województwem - przybyło tam kilka tysięcy urzędników. Proszę, żeby były zniesione obecne województwa i przywrócone dawne, bo podobnie jak w innych gminach jesteście bezradni. Podpis nieczytelny.

---

Oglądając ostatnio Pana wystąpienie w tv wśród robotników, młodzieży, studentów, mam dwojakie uczucia. Z jednej strony doskonale rozumiem słuszość Pana wystąpień. Obawiam się jednak, czy nie tańczy Pan pod muzykę PZPR, czy nie wyznaczyli Panu roli strażaka, gaszącego społeczny sprzeciw, chcąc jednocześnie przekreślić Pana dorobek jako przywódcy "Solidarności", zdyskredytować Pana w oczach młodego pokolenia jako pokutującego z PZPR? B. Waszul.

---

Pozostaję z nadzieją, że dzięki "Solidarności" nasze życie stanie się barwniejsze.  
Ewa B.

---

Chcę przypomnieć Komitetowi przy Wałęsie, żeby Komitet władzy przedłożył co władza mówiła i przyobiecała kiedy po wojnie zaczęliśmy pracować. To nam mówiono, że nie możemy wiele zarabiać bo kraj jest zniszczony, miasta fabryki trzeba odbudować, nowe kadry uczyć, a wzamian kiedy doczekamy starości to godziwą Emeryturę otrzymamy. Pracowałem w Porcie w Gdyni, świętki piątki i nocę, i mam godziwą emeryturę, że na wykupienie kartki nie starcza. Karsznia Józef.

---

Szanowny Panie Wałęsa! Łzy w oczach ukazywały się nam z radości, kiedy Pan Onyszkiewicz przed kamerami telewizji oficjalnie powiedział, że mniejszości narodowe są wśród nas i tego faktu nie da się ukryć.

Pomimo że jest nas w Polsce ponad pół miliona, nie mamy w Sejmie ani jednego posła, dyskryminuje się nas na każdym kroku. Nie możemy oficjalnie się ujawnić jako Ukraińcy, gdyż nie otrzymamy dobrej posady, ogranicza się szkolnictwo z językiem ukraińskim. W pełni popieramy Pana wysiłki w rozwiązywaniu problemów kraju i mniejszości ukraińskiej. Koło Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego w Szczecinku /kilkadziesiąt podpisów/.

---

Panie Wałęsa, czy Pan nie dostrzega, że rząd swoje, Pan swoje, opozycja swoje, a ulica swoje?! Czy nie lepiej byłoby Panu wziąć drabinę i wymieniać w stoczni żarówki, żeby było więcej światła? Artur Karpiński.

---

Podziwiam Pana bohaterskie poświęcenie i postępowanie, a ponadto pytam się, dlaczego przedstawiciele rządu i KC oraz OPZZ nie tłumią strajków, a tylko Pan musi to czynić. Z poważaniem Joachim Rybak.

---

Podchodzimy do wszystkich zagadnień z dużą rezerwą. Obawiamy się że to są gry i gierki ekipy rządzącej. Chcemy mieć pewność, że praca nasza nie będzie marnotrawiona, i przyniesie efekty nam i następnym pokoleniom. Jeżeli nastąpią rzeczywiste przeobrażenia w życiu politycznym Polski, wówczas można myśleć o powołaniu Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Tadeusz Knyszyn z rodziną.

---

Czy starsi ludzie, którzy nie są w stanie stać godzinami w kolejkach, mają umrzeć z głodu? Stwierdzam, panie Lechu Wałęsa, że mimo pana najszczerzych chęci zachowania spokoju, gdyby doszło do manifestacji w sprawach wyżywienia /czego wkrótce należy się spodziewać/ - ja, choćby na czworakach, dołączyłabym pierwsza do pochodz. Jest mi już wszystko jedno. Joanna R.

Jeżeli za pośrednictwem okrągłego stołu będzie opracowywana ordynacja wyborcza, to jak się mówiło, że w Polsce rządzi większość - nie powinno być dyskusji, tylko ustalić procentowo taki skład Sejmu jaki stanowi procent partyjnych do bezpartyjnych w kraju. Wolałabym nazwiska nie ujawniać.

---

Lechu, mnie się wydaje, że przez to samo, że zasiedliście dookoła stołu, straciliście na popularności. Zapowiedziane poważne rozmowy przewlekają się i zamieniają się w gadanie, do niczego konkretnego nie dochodzicie... Duża ilość zwolenników "Solidarności" waha się, czy okrągły stół to nie jest strata czasu. A strona rządowa nadal trzyma środki przekazu w rękę i podstawia wam mikrofon pod brodę i zadaje pytania dla rządu wygodne. Krzysiek Lepiech.

---

...A emeryci to gdzie mają strajkować? U świętego Piotra?... W. Roman.

---

Wam wszystkim starającym się zmienić nasz świat, abyśmy mogli żyć w nim godnie towarzyszy stale nasza wdzięczność i nasz podziw, nasza troska i nasza solidarność. Nauczyciele gdańscy /16 podpisów/.

Wybrała i opracowała  
Urszula Doroszevska

PRAWDA I NIEPRAWDA GROBOW<sup>x/</sup>

Groby są prawdziwe, jak prawdziwe i nieuniknione, przynależne życiu, jest umieranie, rozstawanie się żywych z umarłymi, oddzielanie jednych od drugich /a zarazem symboliczne ich zespalandie/ przez obrzęd pogrzebu, modlitwę i płacz nad trumną, przez uwiecznioną w kamieniu pamięć tych, co jeszcze są tu, o tamtych, co już przekroczyli ciemną granicę.

Przez wieki przeżywania tej prawdy ludzkość nauczyła się ją szanować, /zapisła w swoich religiach, utrwaliła w kulturze.

Uroczystemu porozumieniu nad grobem sprzyja i błogosławi z niebieskich wyżyn - Bóg.

Paradoksem egzystencji człowieczej jest obrażanie własnej wiary i wiedzy, wyłamywanie się z kultury dla racji nie mieszczących się w jej obrębie.

Ale to jest także prawdziwe.

Totalistyczne maszyny - hitlerowska, stalinowska, wszelka - praktykując zbiorowy mord ludziodartych ziemian i z poszczególności swojego losu, z przywileju pojedynczego, naturalnego umierania, popełniają strasliwą zbrodnię przeciwko życiu i nie mniej strasliwe świętokradztwo wobec śmierci.

Przychodzący później by rozgrzebać groby w poszukiwaniu złotych koronek stają się współwinowajcami tego świętokradztwa, kontynuatorami destrukcji świata, wszczętej przez ludobójców rzekomo w imię doskonalszej jego konstrukcji.

Andrzej Wozniesiński napisał wstrząsający poemat "Rów" i notatki prozą o stojącej za jego strofami realności, z którą zetknął się był na Krymie, w miejscach bestialskiej eksterminacji ludności żydowskiej w 1941 roku i makabrycznego przeszu-



kiwania zetlałych prochów kilkadziesiąt lat później.

"Ty kuda wiedzisz, row?" - pyta z rozpaczą rosyjski poeta.

Są i w Polsce i gdzie indziej, miejsca dawnych i nowszych tragedii, lasy, pola, doliny śmierci, zbeszczeszczone przez chciwość i obojętność. Widziałem cmentarze, z których rozgrabiono kamienne nagrobki, by przerobić na inne nagrobki, a także na podmurówki i bruki.

Istnieją też - w różnych krajach - cmentarze zniesione przez postęp cywilizacji, przez nowe drogi, osiedla mieszkaniowe, rurociągi, stadiony, parki. Czytałem, że tak się stało z częścią masowych grobów ofiar NKWD w Kuropatach pod Mińskiem.

Wszystko to jest prawdziwe i bardzo smutne.

Ale krąży też wokół grobów nieprawda, utkana z zatajeń, przeinaczeń, fałszywych świadectw, polityczna manipulacja, wspierana przez naiwność, ignorancję i strach przed spojrzeniem prawdzie w oczy, profanuje groby w sposób równie plugawy, jak przetrząsająca je w poszukiwaniu skarbów zachłanność.

Nieczyste sumienie rodzi kłamstwo, że n i e b y ł o zagłady /pieców Oświęcimia, gospodarki planowej Gułagu/, że n i e c i leżą w krwawym dole, że k t o i n n y ich zamordował.

Zgoła nieodgadnione zdają się czasem rachuby stawiające na prawdziwym cmentarzysku pomniki tekturowej nieprawdy: dlaczego trzeba było dopiero wrażliwości moralnej i odwagi /!/ pisarzy - Wiktora Niekrásowa, Eugeniusza Jewtuszenki... - żeby autentycznym imieniem głośno nazwać leżących w Babim Jarze pod Kijowem, żeby ujawnić prawdziwą treść związaną z tym piekielnym miejscem?

Zrozumialsze są bodaj względy, dla których przez tyle lat upierano się przy fał-

szywej /włącznie z datą/ wersji tego, co się stało w Katyniu. Trudno zaiste - choćby się samemu było bez winy - dźwigać narodową współodpowiedzialność za nieludzką zbrodnię, kusi nieodparcie możliwość zwalenia jej na inne ramiona... Skądinąd wolno wątpić, czy pierwsi autorzy kłamstwa o Katyniu byli rzeczywiście bez winy.

Inny rodzaj manipulacji - to przypisanie przeciwnikom politycznym, dla odebrania im sympatii publiczności, a nieraz dla usprawiedliwienia własnych wobec nich zamiarów, rozmaitych hańbiących czynów, pośród których profanacja grobów i symboli ma starą, mierzoną stuleciami tradycję.

W roku 1981, w miesiącach poprzedzających wprowadzenie stanu wojennego w Polsce, środki przekazu coraz to donosiły o niszczeniu lub plamieniu pomników Armii Radzieckiej przez tajemniczych ekstremistów "Solidarności"...

Manipulacja, choćby powtórzona któryś raz z rzędu, bywa skuteczna: oto i sędziwy rosyjski profesor, były więzień Sołówek, nie tylko znakomity uczony, lecz autorytet moralny, również dla piszącego te słowa, uwierzył cynikom, mobilizującym duchy 600 tysięcy poległych dla pogwałcenia żywych i młodych, i w dramatycznym liście do polskich twórców kultury przypomina, że "w żadnym cywilizowanym społeczeństwie nie wolno profanować pomników na mogiłach i samych mogił", że "sen martwych jest święty, nie przerywa się go", że "święte są duchowe wartości".

Wszystko to prawda, czcigodny Panie Profesorze, tylko że słowa Pańskie padają w świecie nieprawdziwym, w sytuacji nie zasługującej na wiarę, nie dlatego nawet, że krakowski obelisk, który ktoś zechciał uczynić dekoracją sztucznie kreowanego wydarzenia, nie stoi na mogile, nikt pod nim nie jest pochowany, ale dlatego, że sprzeniewierzenie się wartościom duchowym

- boskim i ludzkim - również i tym razem na czym innym polegało, niż utrzymywała propaganda, i z odmiennych płynęło źródła. Dlatego pierwszą odpowiedzią polskich twórców na Pański apel było zażenowane milczenie.

Nie piszę tego przeciwko wielkiemu uczonemu i współautorowi jego listu do Polaków - rozmyślam jedynie o prawdzie i nieprawdzie grobów, o tragedii pohańbionych ciał i pohańbionych pojęć, słów, znaczeń.

Groby są mimo wszystko prawdziwe, spotykamy się nad nimi i pochylamy głowy - bez słów, w ciszy.

Wiktor Woroszyński

Warszawa, marzec 1989

---

x/ Artykuł, napisany dla niezależnego moskiewskiego czasopisma "Głosnost", nawiązuje do ogłoszonego w prasie polskiej listu otwartego Dymitra Lichaczowa i Nikołaja Samweliana do polskich działaczy kultury.

#### O ZMIANĘ POLITYKI W SPRAWACH DÓBR KULTURY

Warszawa, 29 marzec 1989 r.

Prof. dr Stanisław Lorentz  
członek rzeczywisty PAN  
były dyrektor Muzeum Narodowego  
w Warszawie

Wiek - 90 lat - i stan zdrowia nie pozwalają mi uczestniczyć osobiście w niezwykle ważnym wydarzeniu, jakim jest niezależne Forum Kultury.

Od wielu lat z troską patrzymy na fałszywy stosunek do naszej przeszłości kulturalnej, w niedobrej atmosferze dane jest nam działać, niepokoiśmy się o przyszłość. Wypowiedzi czołowych twórców i działaczy kulturalnych na niezależnym forum niewąt-

pliwie przyniosą wskazówki, jakie drogi mamy sobie wytyczyć, by nasza narodowa kultura rozwijać się mogła normalnie i swobodnie.

Zwracam się do uczestników forum kultury o uchwały w sprawach, które w ciągu wielu lat stanowiły szczególny przedmiot mego działania.

ZAMEK KRÓLEWSKI w Warszawie reprezentuje nasze suwerenne państwo i nasz naród. Nie może być siedzibą bardzo dziwnej instytucji, jaką jest Rada Kultury, ani lokalem na przeróżne imprezy.

ZAMEK UJAZDOWSKI odbudowaliśmy na Muzeum Życia Polskiego w dawnych wiekach, oddział Muzeum Narodowego, które posiada w magazynach wspaniałe zbiory dla utworzenia takiego Muzeum. To niezwykle skandal, że poprzedni minister Kultury i Sztuki odebrał Zamek Muzeum i przekazał jednemu ze związków twórczych. Żądamy zwrotu Zamku Ujazdowskiego Muzeum Narodowemu.

W środku Warszawy stoi tuż przy Pałacu Rady Ministrów zabytkowy gmach HOTETLU BRISTOL, związany w swej historii z Ignacym Paderewskim - od kilkunastu lat w rusztowaniach. Haniebny to symbol zaniedbywanie naszych zabytków. Z oburzeniem czytamy często w sprawozdaniach prasowych o szerokiej działalności POLSKICH Pracowni Konserwatorskich w wielu krajach - niewielkie stąd wpływają dewizy do skarbu państwa. Nie po to w roku 1950 tworzyłem jako Naczelnym Dyrektorem Muzeów i Ochrony Zabytków wraz z Janem Zachwatowiczem, wówczas Konserwatorem generalnym, Pracownie Konserwatorskie, by eksportować ich usługi. Jak straszliwe straty ponieśliśmy w naszych polskich zabytkach w ostatnich dziesięcioleciach, dobrze wiemy.

Apelujemy o radykalną zmianę polityki w sprawach dóbr kultury, o muzea, o zabytki, tego domaga się społeczeństwo.

Serdeczne pozdrowienia uczestnikom Forum kultury przesyła

Stanisław Lorentz

---

List, przesłany do Komitetu Obywatelskiego na ręce Lecha Wałęsy i Andrzeja Wajdy, odczytano na Niezależnym Forum Kultury w Warszawie, 1 kwietnia br. Tytuł pochodzi od redakcji.



# ODRZUCONE

MYSIA OBCINALSKA

## INTERWENCJE CENZURY W "DZIENNIKACH" MARII DĄBROWSKIEJ

Wydanie wyboru "Dzienników" Dąbrowskiej przygotowywane było już w latach 70-tych. Wersja wydana ostatecznie w roku 1988 cenzurowana była w latach 1985-86, i z tego okresu pochodzą publikowane poniżej interwencje. W tekście pisarki są one zaznaczone w druku [----]. Podajemy również interwencje we wstępie i przypisach, które w wydaniu książkowym nie zostały zaznaczone. Fragmenty usunięte drukujemy z podkreśleniem; we wstępie i przypisach podajemy ponadto w nawiasach kwadratowych fragmenty dopisane w toku obróbki cenzuralnej.

Tom 1

Wstęp, str. 21-22:

Nie dostrzegała też w nowej władzy nurtujących ją od początku rozbieżnych tendencji: jednej kontentującej się oparciem w ZSRR [zewnątrznym] i nie wahającej się przed użyciem wszelkiej przemocy, i drugiej...

Wstęp, str. 22:

... pisarka spontanicznie poparła rządy Gomułki. Polska droga do socjalizmu wydała się jej nie tylko koniecznością, ale i drogą wielkich szans. Niestety, ich [ówczesna] realizacja przez Gomułkę rychło zaczęła przynosić jej rozczarowania.

Tom 2

str. 336, 23 lipca 1940:

1) Po wybuchu II wojny światowej rząd radziecki zawarł z krajami bałtyckimi układy, na których podstawie na ich terytoriach stacjonowały garnizony radzieckie. W tej sytuacji doszło w lipcu 1940 do uchwał parlamentów tych krajów w sprawie ich przekształcenia w republiki radzieckie, co w sierpniu potwierdzone zostało przez Radę Najwyższą ZSRR. [W lipcu 1940 parlamenty tych krajów podjęły uchwały w sprawie przekształcenia ich w republiki radzieckie. W sierpniu, zgodnie z uchwałą Rady Najwyższej ZSRR, Litwa, Łotwa i Estonia weszły w skład Związku Radzieckiego]

str. 404, 9 sierpnia 1943

Biedni Stachowie, biedna Hela, jakże się wymęczy straszliwie. Nie mają chwili spokoju od band bolszewickich, które hulają bezkarnie.

str. 442, 31 lipca 1944

1) (dodano drugi akapit do przypisu o Stanisławie Mikołajczyku): [W 1945 po zawarciu w Moskwie porozumienia między przedstawicielami Rządu Tymczasowego RP i rządem emigracyjnym wszedł w skład wynegocjowanego Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej jako wicepremier i minister rolnictwa i reform rolnych. Wkrótce objął prezesurę reaktywowanego PSL, które stawało się oparciem dla wszelkich elementów opozycyjnych. W tej sytuacji nabrzmiewał konflikt, który w październiku doprowadził do jego ucieczki z kraju. Przebywając w USA nadal prowadził działalność polityczną.]

Tom 3

str. 54, 9 stycznia 1947

Wczoraj nadzwyczajne dodatki przyniosły wiadomość o "sensacyjnych aresztowaniach" i "bojkocie wyborów przez Mikołajczyka", etc. Aresztowany został płk. Wacław Lipiński, ten z dawnego Biura Historycznego, w którego fajce, jak podają gazety znaleziono

list "podziemia" do Mikołajczyka w sprawie wyborów. Chłopcy gazetiarze wrzeszczeli po wszystkich ulicach: "Bojkot wyborów na rozkaz podziemia". Obawiam się, że rząd chce sprowokować zamieszki, a nawet wojnę domową, żeby usprawiedliwić represje.

str. 75, 16 czerwca 1947

Władysław Broniewski /.../ Po wybuchu wojny znalazł się we Lwowie, w 1940-41 [na podstawie fałszywych oskarżeń] więziony w ZSRR.

str. 90, 9 stycznia 1948

Po obiedzie spałam. Potem przyszedł Żukrowski ze swoim ojcem, bardzo ładnym starszym panem. Ojciec ten wkrótce poszedł, a wtedy Żukr. opowiedział nam o propozycji Borejszy i pobycie literatów w Moskwie. Borejsza zaproponował mu, że przez trzy lata będzie mu płacił przez pół roku 50 tysięcy miesięcznie, a przez drugie pół brał go do siebie. W tym okresie będą mu udostępniane wszystkie dziedziny życia polskiego aż do tajników UB i wszystkich jego akt. Ba, zostanie sfingowane nawet aresztowanie go i zamknięcie na dwa tygodnie w więzieniu, aby poznać i ten "sektor" życia polskiego. Przy czym funkcjonariusze UB i władze śledcze mają nie wiedzieć, że to jest aresztowanie "umówione". Co za szatańska głowa, w której takie pomysły "studiów w terenie" się lęgną! Takie hopy z tragedii ludzkiej li tylko dla zaznania wrażeń dobrych do "twórczości"? To dystansuje najgorsze tradycje pięknoduchostwa i tego cynizmu literackiego, który mówi, że literat dla "poznania życia" może i w łajno wleźć i ojca własnego zabić. W zamian za to wszystko Żukr. ma napisać wielką powieść o współczesnej rzeczywistości. I ten głupi chłopak na to leci. I już słyszę te dawne sanacyjne argumenty: "Przecież gdybyśmy wszędzie nie chodzili, to jakże moglibyśmy poznać życie?" /1/

str. 115, 13 marca 1948

/Jan Masaryk/ Według prasy oficjalnej wyskoczył przez okno, co mi się wydaje dość szczególnym rodzajem samobójstwa jak na ministra z natury rzeczy nie mieszkającego na wysokich piętrach.

str. 231, 4 czerwca 1949

Sztuka "Śmierć Tarełkina" jest istotnie zastanawiająca, nieco inna niż Gogol, Ostrowski i Czechow. Jest jadowitą satyrą na policję, więc b. aktualna. M.in. tak jak dzisiaj aresztują tam świadków sądowych.

str. 258, 7 listopada 1949

Rano tzw. lotem błyskawicy rozeszła się po mieście wiadomość, podana zresztą już o siódmej w rannej prasie i radiu, o mianowaniu sowieckiego generała Rokossowskiego ministrem obrony "narodowej" i na-czelnym wodzem armii "polskiej". Wyszędzisz na miasto widziałam, jak ulica jest skonsternowana, przyciszona. Z urywków rozmów po drodze można się było domysleć, że wszyscy tylko o tym mówią, a raczej szepczą. Wpadło mi w uszy, jak na postoju taksówek kierowca mówił do kolegi: "Słyszaleś? Mamy marszałka!" Bo Rokos. mianowany został "marszałkiem Polski". Po południu mała uboga krawcowa, która do mnie przyszła, pyta z wielkimi oczyma: "Co to się dzieje proszę pani? Co to się z nami dzieje?..."

str. 267, 4 grudnia 1949

Wyrzuca się młodzież z ostatnich lat studiów, nade wszystko niepartyjną i o niewłaściwym pochodzeniu społecznym [...]/2/, aby zrobić miejsce dla młodzieży z kursów "dwuzerowych" /przygotowujących do uniwersytetu absolwentów szkół powszechnych nazwano je już "klozetowymi"/ i zerowych, mającej pochodzenie biedno-chłopskie i robotnicze.

str. 280-281, 5 lutego 1950

Drugą sensacją jest sprawa Pafawagu. Dyrektorzy zostali tam postawieni w stan

oskarżenia z następującego powodu. Pafawag, oczywiście, robi wagony dla Rosji. Wagony są malowane lakierem, który musi schnąć 18 godzin, ale wymagania planu trzyletniego nie dopuszczają takiego czasu schnięcia. Lakier "musi" wyschnąć w ciągu dwu i pół godzin. Chcąc sprostać temu żądaniu /bo jeśli nie sprostają, oskarży się ich o sabotaż/ zainteresowani zaczęli dolewać do lakieru spirytus w takiej ilości, aby lakier sechł w żądanych dwu i pół godzinach. Rezultat był taki, że lakier na wagonach już w Rosji poodpadał. Oskarżono o sabotaż...

str. 326-327, 30 czerwca 1950

Wypadki w Korei zrobiły na nas wstrząsające wrażenie, bo to jednak wygląda na początek trzeciej wojny światowej. Tak to, "w obronie pokoju", obie "miłujące pokój" strony zaczynają się grzmocić. A Korea przejdzie przez piekło.

str. 343, 16 września 1950

Dziewczyna, córka lekarza, świetna uczennica, zdaje na piątki. Potem profesorowie, zastraszone sługusy zmieniają jej piątki na dwójki - bo zię pochodzenie społeczne.

str. 369, 28 listopada 1950

Ale skorzystaliśmy wtedy z jego niebawem zaprojektowanej wyprawy na zieloną granicę i w końcu marca 1940 roku, razem z dwoma studentami, którym całą rodzinę wywieziono właśnie na Sybir, a oni sami ukrywali się niepewni dnia i nocy, oraz z jakąś panią /Żydówką/, wyjechaliśmy pociągiem do Białegostoku, a stamtąd przez Bielsk Podlaski wyruszyliśmy najętą furmanką do Ciechanowca. Była to wyprawa, w której przemysłnicy o mało nie wydali nas w ręce NKWD. Uciekliśmy wtedy z noclegu w Ciechanowcu...

Tom 4

Str. 52, 3 lipca 1951

O wpół do trzeciej zbudził mnie koszmarny sen. Zabłąkałam się w jakieś spody, spe-



lunki, kloaki życia, w ponure kulisy zakonspirowane dzisiejszej "wielkiej" polityki. Jakieś tajne gabinety, podziemia do tortur, miejsca śledztw. UB, NKWD, Gestapo i nawet Intelligence Service /którego agenci byli nie wiadomo dlaczego w czerwonych kaftanach/ zgodnie w posępnym gmachu męczą ludzi...

str. 96, 27 czerwca 1952

Od szóstej rano pasjonująca rozmowa z Anną o Polsce. Dlaczego Polska nie przyjęła Ziemi Odzyskanych? Ani ja ani Anna nie spotkałyśmy w żadnej sferze ani jednego Polaka, który by lubił czy kochał te ziemie.

str. 135-136, 30 marca 1953

Mnie się zdaje, że nastąpi w Rosji stopniowy odwrót od socjalizmu w stalinowskim ujęciu. Myślę, że nastąpią tajne pertraktacje z Ameryką o pokój, czyli o handel, przewiduję pesymistycznie, że odbędzie się to znów kosztem Polski. W każdym razie oczekuję niebywałych sensacji, i ciekawa jestem, czy mnie przeczucie nie myli.

<sup>4)</sup>Nikita S. Chruszczow /.../ 1958-64 premier ZSRR. Był inicjatorem i czołowym realizatorem polityki dążącej do przewyciężania stalinizmu. Odegrał ważną rolę w przygotowaniu XX Zjazdu KPZR w 1956 r.

<sup>5)</sup>Georgij K. Żukow /.../ 1956-57 członek prezydium KC KPZR; usunięty z władz partyjnych i państwowych za naruszenie partyjnych zasad kierowania siłami zbrojnymi [w 1958 przeniesiony w stan spoczynku].

str. 137, 19 kwietnia 1953

Dzisiaj śpiewano "Prząśniczkę" w pełnym brzmieniu i nie zmieniono nawet Królewca na Kaliningrad. Ot i piosenka "uszła cało", jak tylko umarł despota.

str. 140, 7 czerwca 1953

Entuzjazm dla zawodników polskich wyrażany krzykiem i oklaskami można tylko porównywać do huku morza w czasie sztormu. To było ogłuszające. A kiedy po piątym zwycięstwie wielotysięczny tłum zaczął grom-

wym głosem "Jeszcze Polska nie zginęła" - i śpiewał, jak my nigdy nie śpiewamy, - łyzi pociekły mi z oczu i na usta cisnęły się słowa: "a kiedy śpiewa chór, drży serce wroga!" Zrozumiałam, że to "pod boks" naród odkuwa się za wszystkie swoje upokorzenia. Śmieszne, ale to była wielka manifestacja patriotyczna.

str. 144, 28 czerwca 1953

17 VI 1953 w Berlinie i w niektórych innych miastach NRD wybuchły rozruchy robotnicze spowodowane niepewną sytuacją...

str. 232, 15 listopada 1955

Z uprzemysłowienia kraju zrobiono główne hasło socjalizmu. Cóż za nieporozumienie! Świat uprzemysłowił się bez socjalizmu i przed socjalizmem. Socjalizm miał się pojawić nie jako twórca uprzemysłowienia, lecz jako wynik szczytowego rozwoju kapitalizmu, jako rewolucja przemysłowa. W Rosji pojawiał się jako rewolucja inteligencji, w istocie rzeczy nacjonalistycznej, która posłużyła się doktryną socjalizmu dla zbudowania przemysłu narodowego. W Polsce każdy ustrój musiałby iść do uprzemysłowienia.

str. 307, 24 października 1956

Na temat Chin w Październiku 1956 wypowiedział się E. Ochab w kwartalniku "Z pola walki", 1983, nr 2:

"Chińczycy wówczas postawili sprawę tak, że należy dogadać się z Polakami, że Polacy nie stoją na gruncie antysocjalistycznym i jeśli nawet błędzą, to trzeba z nimi rozmawiać". 3/

str. 307, 29 października 1956

Od minionej środy, w którą tak ucieszyliśmy się z wydarzeń w Budapeszcie, węgierskie manifestacje przeobraziły się w tragedię. Powstańcy opanowali część kraju, ale są jakoby dwa rządy, z których jeden wezwał wojska rosyjskie czy też tak się pozoruje ich interwencję. Są tysiące zabitych...

str. 337, 17 maja 1957

A więc Gomułka uderza w twórczą myśl. Każdy, kto zgnębić chce myśl, zginie w pamięci ludzkiego świata; bo tylko myśl jest tym, co utrzymuje go na poziomie oświeceniństwa. Myśl, czy duch, zawsze zwycięży!

Ewolucja, a raczej regresja Gomułki do roli [...] antyintelektualisty zapowiedziała się już w tej rozmowie, kiedy zeszłego roku w czasie Zjazdu byłem z jego /Zjazdu/ delegacją u "człowieka narodu".

Tom 5

str. 11, 12 lutego 1958

W samej rzeczy politycy są strasznie zaco-  
fani, tak zachodni, jak i wschodni, ra-  
dzieccy. Prawie nie zauważyli, że wszystkie  
zagadnienia dziś muszą być rozstrzygane  
zupełnie inaczej, niż były dotąd.

str. 34, 15 lipca 1958

I tak jak u Słonimskiego, nikt temu  
nie wierzy. I ja też nie rozumiem, co to  
za historia. Ale fakt, że kilkaset amery-  
kańskich bombowców atomowych krąży wciąż  
nad naszymi terytoriami, że tak samo, choć  
tego się nie ogłasza, setki atomowych bom-  
bowców sowieckich krąży nad ich terytoriami  
- czyni możliwymi wszystkie mordercze sza-  
leństwa.

str. 68, 4 lutego 1959

Kardynał Kanady, Léger, zwrócił się  
do prymasa Wyszyńskiego z propozycją in-  
terwencji w sprawie oddania rządowi pol-  
skiemu arrasów wawelskich. Zwróciwszy się  
oficjalnie do czynników rządowych otrzymał  
odpowiedź, że "z tych rąk rząd arrasów nie  
przyjmie". Kardynał Wyszyński jest tak  
wielkoduszny, że rezygnuje z wszelkiej pu-  
bliczności i gotów jest całkowicie ukryć swoją  
rolę jako mediatora.

str. 112, 17 października 1959

Wszyscy mówią o strasznej sytuacji gos-  
podarczej Polski. Państwo ma 16 miliardów  
deficytu. Będzie nowa podwyżka cen, ponure  
perspektywy - a tu przyjęcia, kwiaty, uro-

czystości. Co to za fatalizm, że rząd, który doprowadził do takiej sytuacji, musi dalej być utrzymywany.

str. 113, 21 października 1959

Władysław Konwicki /.../ Wydał powieści i opowiadania /.../ Kalendarz i klepsydra, 1976, Kompleks polski, 1977, Mała Apokalipsa, 1979, Wschody i zachody księżyca, 1982, Nowy Świat i okolice, 1986.

str. 142, 8 lutego 1960

Włodzimierz Odojewski /.../ Wydał m.in. Wyspa ocalenia, 1951, Miejsca nawiedzone, 1959, Zmierzch świata, 1962, Zasypie wszystko, zawieje..., 1973.

str. 182, 4 marca 1960 - Usunięto cały zapis dzienny.

Zebranie zarządu z delegatami z Katowic - Błahutową i Baumgardtenem. Składają wręcz przerażające relacje o piątej kolumnie niemieckiej na Górnym Śląsku. Swastyki pojawiają się nagminnie nawet w Dąbrowie i Sosnowcu. Zastraszająco postępuje regermanizacja Górnego Śląska. Oczywiście nie było na tym zebraniu ani Putramenta, ani Zółkiewskiego.

str. 223, 16 kwietnia 1961

Wszystkie wypowiedzi Gagarina prócz tego, co mu kazano powiedzieć, mają w sobie delikatność i elegancję.

str. 307, 27 kwietnia 1964

Władze bardzo ostro zareagowały na ten pierwszy protest [list] uczonych i pisarzy: zakazano [wielu sygnatariuszom,] na czas nieograniczony występowania prawie wszystkim w radiu i TV, publikacji w prasie, odbywania spotkań publicznych, cofnięto paszporty. Zmniejszono też przydział papieru dla "Tygodnika Powszechnego". Dąbrowska do represjonowanych nie należała.

str. 342, 5 stycznia 1965

Bratanek generała, syn wielkiego rodu ziemiańskiego, wychowanek korpusu paziów w

Petersburgu. Po rewolucji przedarł się do Polski /bił się od dziecka, jak mówi Anna/, został lotnikiem, w drugiej wojnie brał udział w "Bitwie o Anglię", wrócił w 1947 roku, przecierpiał śmierć żony, więzienie i katowanie przez UB.

---

1/ Ten fragment "Dzienników" drukowany był w "Twórczości" /por. nr 1/1974, str.40, z pominięciem sformułowań "aż do tajników UB i wszystkich jego akt" oraz "funkcjona-  
riusze UB". W roku 1974 Wojciech Żukrowski nie był objęty ochroną ze strony cenzury.

5/ Przy pomocy [...] zaznaczane są w wydaniu książkowym opuszczenia dokonane przez autora wyboru, T. Drewnowskiego.

3/ "Ślad chiński" był przez lata kompletnie niecenzuralny. w 1979 roku NOWA wydała stenogram tajnych rozmów polsko-chińskich "Dwie rozmowy". Zapewne artykuł Ochaba był objawem jakiegoś przełomu w bulwie.



# REALIA

CZESŁAW BIELECKI

## GŁOS W DYSKUSJI

Spotkaliśmy się dzisiaj na Niezależnym Forum Kultury. Powinniśmy na chwilę chociaż - dla zdrowia naszego pluralizmu - porzucić ton Akademii Niezależnej Kultury. Chciałbym podzielić się z Państwem kilkanaście myślań, które poszerzą o głos sceptyczny wąski bukiet jarzyn jaki tu do tej pory smakujemy. Wydaje mi się, że obowiązkiem ludzi kultury jest dystans, krytycyzm, sceptycyzm.

Nasze dzisiejsze spotkanie, czy chcemy tego czy nie, jest w cieniu - dla jednych w cieniu, dla innych w blasku - okrągłego stołu. Myśląc o przyszłości, będącej owocem obrad okrągłego stołu, wyobrażam sobie sytuację, w której mój starszy syn pyta mnie: "Powiedz tato, czym był komunizm? Na czym to polegało? Ludzie mówią, że było coś takiego, jak komunizm." A ja odpowiadam: "Wiesz, to było coś tak inteligentnego i tak perfidnego, że ty nawet nie wiesz, że to nadal trwa". Wydaje mi się, że nie musimy - szczególnie w kręgach intelektualnych - mówić: "albo-albo". Ci, którzy mówią sceptycznie o okrągłym stole i jego wynikach nie mówią: "albo-albo", mówią: "i-i". Mówią: "Może to coś przyniesie, ale jeśli nie, to co będzie dalej?".

Obowiązkiem ludzi kultury jest myślenie o przyszłości i to nie w duchu takiej propagandy sukcesu jak zrobił to nasz regionalny przywódca - Zbyszek Bujak. Wydaje mi się, że istnieją dwa wielkie ryzyka i trzeba o nich mówić. Jeżeli będziemy o nich mówić to - być może sprostamy im. Jest ryzyko legitymizacji władzy i jest ryzyko utraty tożsamości. O tych zagrożeniach mówią zwykli ludzie. Jesteśmy tutaj mniejszością, choć mamy poczucie, że reprezentujemy większość. Ale istnieje prawdziwa większość, która na razie milczy, ale która może raptem powiedzieć to, co wyznaczy naszą przegraną. I na tę przegraną też trzeba się przygotować. Moim zdaniem obowiązek intelektualisty polega właśnie na tym, żeby samego siebie nie stawiać pod ścianą sukcesu, żeby nie mówić: "muszę wygrać bo przecież innego wyjścia nie ma".

Nasuwa się tu uwaga o sytuacji, która trwała do 13 grudnia, sytuacji kontraktu podpisanego na 16 miesięcy. Kiedy po 13 grudnia znaleźliśmy się w podziemiu, wówczas zadawano nam pytanie, zadawali je ci sami ludzie, których dzisiaj nie ma na tej sali: "Jak to się stało? Tylu mądrych, inteligentnych ludzi, takie głowy i nagle takie zaskoczenie?". Otóż sądzę, że w polityce nie ma ani zaskoczonych, ani oszukanych. W polityce są tylko błędy, błędów się unika, jeśli się je przewiduje.

Myślę, że na tle egocentryzmu, z którym się stykaliśmy w ciągu kilku ostatnich godzin, to jedno przypomnienie nie będzie Państwa razić: w dniu rejestracji "Solidarności" napisałem artykuł pt. "Umowa i zmowa społeczna", w którym mówiłem, że to, czy komuniści zaatakują nas na 10% czy na 90% jest drugorzędne; naszym obowiązkiem jest myśleć o takiej sytuacji, naszym obowiązkiem jest nastawić się na sprostanie jej. A zatem musimy myśleć o tym, jaki kontrakt jest dziś negocjowany, jakie będą jego skutki i jakie stoją przed nami wyzwania.

Tu chwila na refleksję architekta - ponieważ to środowisko tutaj reprezentuję: jest problem stosunku słów do czynów, słów do rzeczywistości. W kulturze rozumianej jako pisanstwo, słowo czasem bywa czynem i zawsze jest zapisem. Moi koledzy architekci, którzy są tu dzisiaj na sali, wiedzą, że u nas zapis nie jest czynem. U nas zapis, rysunek, to jest dopiero początek, to mniej nawet niż scenariusz filmowy. Słowo w polityce nie jest czynem, bywa nim bardzo, bardzo rzadko, tylko w skrajnych sytuacjach. Może być natomiast wykrętem. Kultura polityczna, w której kręgu się obracamy, to kultura, która jest - według mnie - zdeformowana przez intelektualizm, w której słowo i czyn są mylone ze sobą, mieszane. W tej kulturze pisarz, który oddaje rękopis maszynistce uważa, że już coś zrobił, a kiedy oddaje maszynopis drukarzowi, że już coś zorganizował. Tymczasem słowo czynem nie jest. A społeczeństwo będzie nas rozliczać z tego, czy słowa wygłoszone i zapisane pozwolą realizować się czynowi zwykłych ludzi. Tym czynem tylko w skrajnej postaci i tylko w ramach kulturowego perpetum mobile jest anonimowy czyn drukarzy, który słusznie podnosił mój kolega, Grzegorz Boguta. Że nie wystarczy słowo - najlepiej widać na przykładzie sprawy Havla. Nasze władze jeżdżą do Czechosłowacji i mówią: "Towarzyszu Jakesz, wypuśćcie Havla. Spójrzcie - ryśmy naszych wypuścili i dalej mamy władzę, jedno drugiemu nie przeszkadza."

Na koniec parę korekt do Karty, o której tutaj dyskutowaliśmy i mamy zdecydować o poprawkach do niej. Był tam punkt o zniweczeniu struktur organizacyjnych twórczości i konieczności ich odbudowania. Mnie się wydaje, że powinien się tam bezwzględnie znaleźć przymiotnik "dotychczasowych" struktur. Było wśród nich wiele struktur państwowych, wiele upaństwowionych i ten

czas, w którym zaczęła funkcjonować kultura niezależna, był jednocześnie czasem tworzenia się nowego rynku, rynku wartości, a także rynku nowych form organizacyjnych. Dlatego też sądzę, że nie można tu mówić o potrzebie "odbudowy" zniweczonych form, tylko o potrzebie "budowy" tych form na nowych, wolnorynkowych i pluralistycznych zasadach.

Uwaga ostatnia. Wiele osób mówiło tutaj o drugim obiegu. To jest oprócz cienia i blasku okrągłego stołu drugi "szkielet w szafie": problem ujawniania się wydawnictw niezależnych. Tak, proszę Państwa, ja - Czesław Bielecki vel Maciej Poleski - stoję przed Państwem i nie taję, siedziałem za to, że kierowałem czy kieruję /różnie to bywa - na szczęście nie tylko ja/ wydawnictwem CDN. Ale władza w ~~żaden~~ sposób nam nie zagwarantowała takiej wolności kultury, żebyśmy mogli ujawniać to, czego policja nie ujawniała. Uważam, że jest to gra do jednej bramki, że jest to gra bez wyobraźni, bez refleksji o 13 grudnia. Być może to się zmieni, ale być może będzie tak jak w kawale rodzinnym, który Państwu opowiedziałem na początku.

I uwaga techniczna: za wolność trzeba płacić, także pieniędzmi. Ta Karta jest bardzo pięknoduchowska, a jeśli kultura ma być niezależna to muszą się na nią znaleźć pieniądze. Przy okrągłym stole mówi się o ratunku wolnego rynku. Proszę Państwa, na stabilnym podziemnym rynku ryza papieru od lat utrzymuje stałą cenę - 1 dolar za 500 kartek A-4. Na wolnym, jawnym rynku w pierwszym obiegu ryza papieru importowanego osiąga cenę 29 tys. zł. Żadne wydawnictwo niezależne, które zechce się ujawnić i działać według praw rynku, gdzie będą "równi i równiejsi" nie ma szans. Tym krótkim, konkretnym wyliczeniem kończę.

Czesław Bielecki

# WYDARZENIA

## NIEZALEŻNE FORUM KULTURY

1 kwietnia w Auditorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego obradowało Niezależne Forum Kultury, zwołane przez komisję kultury Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym "Solidarności". "Po raz pierwszy od 12 grudnia 1981 roku możemy znów spotkać się w tak liczny i wspaniałym gronie" - powiedział w przemówieniu powitalnym Andrzej Wajda.

Nie była to jedyna aluzja do Kongresu Kultury z 1981 roku. Gustaw Holoubek odczytał swoje przemówienie, którego nie zdążył wygłosić na Kongresie, ponieważ został zapisany do głosu na 13 grudnia. Maciej Iłowiecki powtórzył wypowiedzianą wówczas przestrożę, że "ktoś" chce nam "ukraść duszę"... Ale to porównanie, choć narzucające się, było niezupełnie trafne. Obradom Kongresu towarzyszyło przeczucie katastrofy, końca pewnej epoki, które Jan Józef Szczepański 11 grudnia '81 wyraził przy pomocy obrazu orkiestry na tonącym "Titaniku". Forum zaś odbywało się w atmosferze może nie tryumfalnej, ale zapowiadającej zwycięstwo, a przynajmniej otwarcie nowych dróg. "Kultura niezależna istnieje" - powiedział Andrzej Wajda - "nie została złamana".

Zestawienie Kongresu Kultury i Forum Kultury wskazuje na początek i - miejmy nadzieję - koniec stanu wojennego. W liście



do zgromadzonych w Auditorium Maximum Lech Wałęsa napisał: "Ludzie z 'Solidarności' nigdy nie zapomną Waszej odważnej i konsekwentnej postawy w trudnych dniach stanu wojennego. Przyjaciół poznaje się w biedzie, swoich prawdziwych przyjaciół 'Solidarność' poznała wtedy, gdy była nie na salonach Pałacu Rady Ministrów, a w więziennych celach. W tamtych dniach Wasza postawa była dla nas źródłem otuchy i nadziei. Wasze słowa i Wasze gesty pozwoliły ocalić i przechować ideał Polski demokratycznej i pluralistycznej. Wasze książki i filmy, obrazy i spektakle teatralne, Wasza obecność wśród nas, a także Wasza nieobecność wszędzie tam, gdzie produkowano kłamstwa - wszystko to były widome znaki niezgody naszego społeczeństwa na zastępowanie argumentów czołgami. Chcemy wierzyć, że to się już nigdy nie powtórzy. Jednak z tego trudnego czasu winniśmy ocalić dla przyszłości wartość najcenniejszą: solidarność ludzi kultury ze światem, pracy, naszą wspólną solidarność i naszą przyjaźń. I ocalić winniśmy tę pewność, że jedna jest kultura polska: w obiegu oficjalnym i podziemnym, w Polsce i na obczyźnie".

Jeszcze w sprawie porównania Kongresu i Forum. Organizatorem Kongresu Kultury był Komitet, Porozumiewawczy Stowarzyszeń Naukowych i Twórczych, uczestnikami - reprezentacje tych środowisk. Był to więc jakby najwyższy organ samorządu kultury, a jego uchwały - gdyby nie stan wojenny - miałyby moc stanowiącą. W ciągu minionych siedmiu lat stowarzyszenia zostały rozbite lub ubezwłasnowolnione, środowiska podzielone a samorządność wykluczona. Forum zostało zwołane przez instytucję zaledwie symbolizującą dążenie do odbudowania samorządności kultury, organizatorzy sami mieli świadomość, że nie wszyscy, którzy powinni wziąć udział otrzymali zaproszenia. Można było oczekiwać więcej po tych obradach; sprawy samorządności i samoorganizacji

społecznej niewiele postąpiły naprzód po tym - pierwszym od siedmiu lat - mityngu ludzi kultury. O uchwałach i rezolucjach podjętych i niepodjętych na Forum, kilka uwag osobno; na razie powiedzmy tylko tyle, że okazja została zaprzepaszczona.

Przemawiało blisko pięćdziesiąt osób, słuchało - na początku blisko tysiąc uczestników, po południu liczba słuchaczy topniała z minuty na minutę. Kilku pierwszych mówców wystąpiło z referatami zamówionymi przez organizatorów. Jerzy Turowicz rozważał relację między pojęciami "kultury" i "niezależności". Jan Józef Szczepański mówił o dorobku kulturalnym emigracji. Jacek Bocheński - o tzw. drugim obiegu kultury. Jacek Woźniakowski - o kilku postaciach mecenatu kulturalnego. W dyskusji mówił kto chciał i o czym chciał; bywalcy powiadali, że to zwykle zjawisko na zebraniach jajogłowych.

Nie podzielam opinii bywalców, sądzę że z obrad Forum mogło wyniknąć więcej, a zawiniły błędy organizacyjne. Nie podano porządku zebrania ani nie określono czasu; wielu uczestników sądziło, że Forum ma trwać dwa dni. Nie zaproponowano celu dyskusji, ani tematów o których byłoby warto rozmawiać. Nie przedłożono projektów uchwał, z wyjątkiem tekstu Karty Kultury Polskiej. Zamiast tego, przewodniczący obrad narzucili, ale dopiero w popołudniowej części, surową dyscyplinę co do długości przemówień, która nie pomagała, a przeciwnie, przeszkadzała w dyskusji, bowiem przerywano głosy rzeczowe, dobrze skomponowane i zmierzające do wyraźnej konkluzji lub wniosku /przykład Janiny Jankowskiej, Juliusza Burskiego, Marka Nowakowskiego/ albo nie dopuszczano do uzasadnienia wniosku lub projektu uchwały /przykład Piotra Andrzejewskiego/.

Nawet najpilniejsi słuchacze obrad nie wiedzieli, opuszczając Audytorium Maximum, jakie uchwały i rezolucje przyjęto na Fo-

rum. W rozstrzygnięciu wątpliwości nie pomógł także sekretariat i biuro prasowe. Komisja wnioskowa nie wypełniła funkcji, jakich się podjęła, a wystąpienie jej przewodniczącego Kazimierza Dziewanowskiego w roli "mordercy wniosków" /według jego własnego określenia/ było po prostu nieprzyzwoite. Nie zostały przyjęte - bez słowa wyjaśnienia - propozycje uchwał, nawet zgłoszone na piśmie /projekt Tomasza Soldenhoffa i kilkudziesięciu osób apelu o umożliwienie "repatriacji" Teatrowi Ósmego Dnia, wniosek Stanisława Jankowskiego "Agatona" i innych o powrót do idei Pomnika Powstania Warszawskiego, wniosek Wojciecha Ziemińskiego i Zdzisława Szpakowskiego o poparcie komitetu obywatelskiego do uczczenia polskich ofiar stalinizmu/, a audytorium nie zostało powiadomione o wpłynięciu takich propozycji. Nie zostały uwzględnione prośby Włodzimierza Mokrego, Sokrata Janowicza i Bronisława Makowskiego o wypowiedzenie przez Forum opinii w sprawie sytuacji mniejszości narodowych w Polsce. Nie sposób stwierdzić, w jakim stopniu zostały uwzględnione propozycje poprawek do projektu Karty Kultury Polskiej, ponieważ najpierw nie dopuszczono do dyskusji na ten temat, następnie nie zreferowano uwag złożonych na piśmie, a ostateczna redakcja tekstu różni się od projektu jednym punktem, który dodano, i połową akapitu, którą ujęto.

Tekst projektu Karty został udostępniony na piśmie zbyt późno; wszak można było rozdać odbitki na początku obrad lub tuż przed odczytaniem. Nb. nadano temu dokumentowi chyba zbyt szumny tytuł. Następnie oklaski, którymi nagradzano wszystkie przemówienia, potraktowano jako przyjęcie projektu przez aklamację. Kiedy to spotkało się z protestem sali, a prezydium udaremniło próby dyskusji, ciężar prac redakcyjnych powinna wziąć na siebie komisja wnioskowa. Skoro ta nie wypełniła podjętych obowią-

ków, należało - nawet ryzykując nie wyczerpanie zgłoszeń do dyskusji na inne tematy - dopuścić do publicznej wymiany zdań, a nie wymuszać zgody na przekazanie projektu i poprawek do komisji kultury, stosując erystyczny chwyt poddania pod głosowanie wniosku o wyrażenie votum zaufania dla Andrzeja Wajdy i Komitetu Obywatelskiego...

Jeszcze jedna uwaga pod adresem prezydium. Owacyjnie zostali powitani i nagrodzeni aplauzem za przemówienia reprezentanci Polonii: Jan Plater Gajewski z ZSRR i Bolesław Wierzbiański ze Stanów Zjednoczonych. Chwila była wzruszająca, przemówienia ważne i niezwykle emocjonalne, ale dlatego właśnie nie należało chyba pozostawić ich bez słowa, lecz odpowiedzieć na wezwania, jakie zawierały, i ustosunkować się do pretensji, które - słusznie czy niesłusznie - wносиły.

Kilka krytycznych uwag - nie sędzę, żeby przesadnych - zgłaszam w przekonaniu, że podobne imprezy będą się w najbliższym czasie odbywać częściej, a także w nadziei, że nie będą się więcej powtarzać sytuację, w których uczestnicy zebrania bardzo przeszkadzają przewodniczącemu w jego ważnej misji, a on ostentacyjnie okazuje stali lekceważenie i znużenie.

Kilka słów o tym, co nie zostało powiedziane na Forum. W okresie odbudowywania samorządności, rekonstrukcji stowarzyszeń, można było oczekiwać informacji o poczynaniach poszczególnych środowisk, o działaniach organizatorskich przedsięwziętych przez niezrzeszonych pisarzy, dziennikarzy, plastyków, ludzi teatru. Można było więcej uwagi poświęcić materialnemu i finansowemu zapleczu zarówno twórczości jak i uczestnictwa w kulturze. Można było wykorzystać okazję do nawiązania i zacieśniania kontaktów międzyregionalnych i międzyśrodowisko-



wych. W ogóle: przyszłości. Być może, więcej w tych sprawach zrobiono w kuluarach Forum niż na sali obrad.

Kulturę niezależną subtelnie definiował Jerzy Turowicz. Ale w potocznym rozumieniu uwzględnia się przede wszystkim jej zewnętrzne przejawy /czy też może - efekty/. I ta jej postać manifestowała się właśnie w kuluarach. Kiermasz wydawnictw niezależnych. Wystawy fotograficzne. Czyli to, co świadczy o ruchu, obiegu, dialogu, percepcji społecznej. Wolność twórcza to tajemnica warsztatu i osobowości artysty /mówił o tym dobitnie i wyraziście Marek Nowakowski/, która rozgrywa się w samotności i nie podlega tak bezwzględnie ograniczeniom zewnętrznym, jak społeczne uczestnictwo w kulturze. W tej dziedzinie przede wszystkim potrzebny jest zbiorowy wysiłek, organizacja, instytucje. I te przejawy kultury niezależnej przechodzą w obecnej chwili pewien kryzys; może wzrostu, a może zagrożenia - czas pokaże... O tym jednak nie powiedziano wiele na Forum. Kilku mówców wypowiedziało słowa wdzięczności pod adresem wydawców, drukarzy, kolporterów, organizatorów życia kulturalnego, ale przemawiali oni do nieobecnych /lub za mało obecnych/ a zatem i milczących. Trochę szkoda tego dialogu, że nie znalazł swego wyrazu na Forum, choć przecież odbywa się i - miejmy nadzieję - nie wygasa...

/red. Leon Bober/

---

Wydawnictwo PoMOST dziękuje Jerzemu za 2000  
i E.L. Mastersowi za 500.



## Z DOKUMENTÓW NIEZALEŻNEGO FORUM KULTURY

### KARTA KULTURY POLSKIEJ

My, zgromadzeni na niezależnym forum twórcy kultury polskiej, w momencie świtającej nadziei na gruntowne przemiany w życiu społecznym naszej Ojczyzny, przypominamy o wolnościach i prawach obowiązujących we wszystkich dziedzinach naszej pracy i myśli.

1. Kultura polska jest jedna, nie zna podziału na krajową i emigracyjną, popieraną i zasługującą na zniszczenie.

Wszystko co jest twórczością, myślą, wzbogaceniem dorobku narodowego, pracą na rzecz przyszłości, winno być dopuszczane i pielęgnowane, bez przeszkód przekraczać granice, manifestować się w sobie właściwy sposób.

2. W minionych latach zniweczone zostały struktury organizacyjne we wszystkich niemal dziedzinach twórczości intelektualnej i artystycznej.

Ciężki kryzys, jaki zdegradował nasze życie społeczne, zarówno w dziedzinie kultury jak obyczaju, wymaga otwarcia nowych perspektyw i porzucenia anachronicznych form politycznego administrowania.

Struktury te należy odbudować na pluralistycznych zasadach i przywrócić swobodę zrzeszania się twórców zgodnie z ich aspiracjami i potrzebami.

Stowarzyszenia, grupy, orientacje, zespoły twórców uzyskać muszą możliwość powstawania i funkcjonowania bez czyjejkolwiek kurateli, na podstawie nieskrępowanego wyboru ich uczestników.

3. Zapewniona być musi wolność egzystencji wszystkiego, co służy tworzeniu i rozpowszechnianiu wartości kultury, a w szczególności powoływanych do życia przez społeczeństwo i jego środowiska - również twórców kultury - czasopism, wydawnictw, zakła-

dów poligraficznych i księgarni, teatrów, organizacji koncertowych, bibliotek i widowisk, wytwórni filmowych, stacji telewizyjnych i innych instytucji służących podobnym celom.

4. Wspólnym wysiłkiem powinny być przywrócone pamięci społecznej wydarzenia, dzieła i postacie zapomniane i często celowo skazane na zapomnienie.

W naszym życiu społecznym konieczna jest współobecność różnorodnych rodzin duchowych kultury polskiej.

5. Niezbędna jest zasadnicza przemiana obecnego systemu oświaty i wychowania. Szkoła jest własnością społeczeństwa, nie zaś administracji państwowej. Nauczyciel winien odzyskać należną mu rangę wychowawcy młodzieży i współtwórcy kultury.

6. Wyrażamy wdzięczność ośrodkom wydawniczym drugiego obiegu i wszystkim osobom, które nie zważając na represje i konfiskaty prowadzą działalność służącą kulturze polskiej i jej twórcom.

7. Ogłaszając tę kartę, uroczystie deklarujemy jedność i niepodzielność kultury polskiej, gdziekolwiek by ona powstawała, w oficjalnym i nieoficjalnym obiegu druków i widowisk, w kraju i poza krajem, we wszystkich formach nieskrępowanej wymiany myśli. Pełne poszanowanie zasad demokracji i tolerancji stanowi najwyższe dobro i wielowiekową tradycję kultury polskiej, jej pokoleń i środowisk.

## NOWOSCI WYDAWNICZE

### A. Książki

● ASKOLDOW Sergiusz, BIERDIAJEW Mikołaj i in.: "De profundis. Z głębokości. Zbiór rozpraw o rosyjskiej rewolucji". Wstęp Mikołaj Połtoracki. Tłum. zespół "Aletheia". Wyd. NOWA, Warszawa 1988. A5, s. 224, 4 nlb., 950 zł.

● BIDZIŃSKI Henryk: "Epidemia w Sopocie". Pośłowie Marek Nowakowski. Wyd. NOWA, Warszawa 1988. A5, s. 74, 2 nlb., 450 zł.

● BRANDYS Marian: "Od dzwonka do dzwonka". Wyd. Nauczycielska Oficyna Solidarności, Lublin 1988. A5, s. 82, 2 nlb., 400 zł.

● BUNIN Iwan: "Przeklęte dni". Przeł. i opr. Janina Kornel. Wyd. NOWA, Warszawa 1989. A5, s. 92, 2 nlb., 700 zł.

● CIOŁKOSZ Adam: "Ludzie PPS". Pośłowie Feliks Gross. Wyd. WS Kos, Warszawa 1989. A5, s. 144, 4 nlb., 700 zł. Przedruk za: wyd. CK PPS, Londyn 1981. "Biblioteka PPS im. K. Pużaka".

● DELATYŃSKI Lech /opr./: "Lech Zondek, bohater trzech narodów". B.m. i d. wyd. A5, s. 46, 2 nlb., 11., 130 zł.

● GÓRNY Andrzej: "Krew". Wyd. PoMOST, Warszawa 1989. A5, s. 181, 1 nlb., 1800 zł.

● HELLER Michał: "Kamienie milowe 70-letniej historii Związku Sowieckiego". Wyd. Maraton, Warszawa 1988. A5, s. 73, 1 nlb., 400 zł. Przedruk za: "Zeszyty Historyczne" z. 83, Instytut Literacki, Paryż 1988.

● KARPIŃSKI Jakub, LASOTA Irena /red./: "Sowiecki Sojuz". Wyd. PoMOST, Warszawa 1988. A6, s. 204, 2 nlb., 600 zł. Przedruk za: Instytut na Rzecz Demokracji w Europie Wschodniej, Nowy Jork 1988. "Konfrontacje 7".

● KARPIŃSKI Jakub: "Ograniczenie niesuwieredności. Wybór publicystyki 1975-1982". Wyd. OW Constans, Wrocław 1988. T.1: A5, s. 85, 3 nlb. T.2: A5, s. 130, 2 nlb.; 1300 zł. T.2 zawiera pracę "Płonie komitet". Błędnie podano pseud. Maciej /zam. Marek/Tarniewski, tytuł na okł. "Ograniczanie..."

● KARSKI Jan: "Wielkie mocarstwa a Polska". T.1 "Od Wersalu do Września". T.2 "Od Września do Jałty". Wyd. WS Kos, Warszawa 1987. T.1: A5, s. 191, 1 nlb., 700 zł. T.2: s. 115, 1 nlb., 420 zł.

● KIŚ Danilo: "Nagrobek dla Borysa Dawidowicza. Siedem rozdziałów jednej historii". Przeł. Ludwik Ring. Wyd. Studencka Oficyna Literatów i Dysydentów, Warszawa 1989. A5, s. 72, 2 nlb., 500 zł.

● KUNDERA Milan: "Kubuś i jego Pan. W hołdzie Denisowi Diderotowi". Przeł. Adam Mielczarek. Wyd. NOWA, Warszawa 1988. A5, s. 50, 2 nlb., 300 zł.

● KUŚMIEREK Józef: "Listy do Adama Michnika". Wyd. MSS"V", Warszawa 1988. A5, s. 67, 1 nlb., 500 zł.

● MIELNICKI Ludwik: "Skradzione sztandary PPS". Wyd. WS Kos, Warszawa 1987. A5, s. 127, 5 nlb., 700 zł. "Zeszyty Edukacji Narodowej - Historia".

● NOWICKI Marek A. /opr./: "Nie możemy milczeć... /Z ławy obrończej/. Przemówienia adwokatów w procesach politycznych 1981 - 1986". Wyd. OW Pokolenie, Warszawa 1989. A5, s. 130, 2 nlb., 1300 zł. "Biblioteka Komitetu Helsińskiego w Polsce".

● NOWAK Leszek: "Władza. Próba teorii idealizacyjnej". Wyd. In Plus, Warszawa 1988. A5, s. 195, 1 nlb., 1000 zł.

● OR-OT /Artur Oppman/: "Abecadło wolnych dzieci. 24 obrazki". Wyd. Skorpion, Warszawa 1989. A5, s. 28 nlb., il., 300 zł. Przedruk za: wyd. Księgarni Gustawa Szylinga, Warszawa 1926.

● PODHORETZ Norman: "Dlaczego byliśmy w Wietnamie?". Tłum. W. Wyd. Niepodległość, Warszawa 1988. A5, s. 158, 2 nlb., 1300 zł.

● RACZYŃSKI Edward: "Od Narcyza Kulikowskiego do Winstona Churchilla". Wydawnictwo Polskie, Warszawa 1989. A5, s. 145, 1 nlb., 1000 zł. Przedruk za: "Biblioteka Drogi". SKWARNICKI Marek: "Dziś ciężka noc. Dziennik 1982". Wyd. Panaceum, Kraków 1989. A6, s. 170, 700 zł.

● SZUTNIK Narcyz: "Solidarność w regionie toruńskim 13 XII 1981 - 31 VII 1984". Wyd. Wolne Słowo, Toruń 1988. A5, s. 183, 1 nlb., 900 zł. "Archiwum Solidarności" T. 13.

● TYRMAND Leopold: "Życie towarzyskie i uczuciowe. Powieść". Wyd. Oficyna Literacka, Warszawa 1989. A5, s. 514, 2 nlb., 5000 zł. Przedruk za: Instytut Literacki, Paryż 1967.

● TYRMAND Leopold: "Życie towarzyskie i uczuciowe. Powieść". Wyd. PoMOST, Warszawa 1989. A5, s. 514, 2 nlb., 4000 zł. Przedruk za: Instytut Literacki, Paryż 1967.

● WAŁĘSA Lech: "Droga nadziei". Wyd. II, OW Rytm, Warszawa 1989. A5, T.1: s. 228, 2 nlb., 14 il., T.2: s. 281, 3 nlb., 14 il., 5600 zł.

● WOJCIECHOWSKI Klemens: "Walka młodzieży o polskość w okresie zaborów". Wyd. Czuwanie, b.m. wyd., 1989. A5, s. 17, 1 nlb., 125 zł.

● ZAPROSIŃSKI Kazimierz, STARZEWSKI Stanisław: "Sprawiedliwość sowiecka". Wyd. Paza, Warszawa 1989. A5, s. 275, 1 nlb. Przedruk za: Włochy 1945, wyd. pod pseud. Sylwester Mora, Piotr Zwierniak.

## B. Czasopisma

● "Agora. Przegląd Zagraniczny" nr 1 /3/. Wyd. Baza, Warszawa 1989. A5, s. 68, 2 nlb., 400 zł.

● "Aneks" nr 49. Wyd. OW Pokolenie, Warszawa 1989. A6, s. 163, 5 nlb., 500 zł. Przedruk za: Londyn 1988.

● "Edukacja i Dialog. Wielomiesięcznik Poświęcony Głównie Tematyce Oświaty i Wychowania" nr 7, grudzień 1988. Wyd. WS Kos, Warszawa 1989. A5, s. 43, 3 nlb., 320 zł.

● "Karta" nr 6, październik 1988. Wyd. Przedświt, Warszawa 1988. A5, s. 172, 1l., 1100 zł.

● "Komentarz" nr 4. Wyd. Solidarność Walcząca, Poznań 1988. A5, s. 28, 100 zł.



500.-

100%

-WYDAWNICTWO-  
**POLNOŚĆ**  
1989  
WARSZAWA